

# Barbara Cartland

## Spragniona miłości

Hungry for love



## Rozdział 1

Rok 1871

Harry, jak mogłeś zrobić coś tak szalonego?

- Wiem, Araminto... Nie mam żadnego wytłumaczenia, oprócz tego, że byłem jakby w transie!

- Właśnie teraz, gdy nie mamy pieniędzy?!

- Wiem, wiem - odparł z rozpaczą w głosie sir Harry Sinclair.

Był to wyjątkowo przystojny, dobrze zbudowany dwudziestojednoletni mężczyzna.

Ubrany był wedle najnowszej mody w obcisłe żółte spodnie i doskonale skrojony żakiet; że na jego widok serce każdej kobiety zaczynało bić szybciej.

Jednakże na twarzy jego siostry Araminty malowało się tylko przerażenie, gdy spytała na pozór od niechcienia:

- Ile dzisiaj przegrałeś?

- Sześćset... sześćset funtów.

Araminta jęknęła. Potem, jakby walcząc o zachowanie samokontroli, podeszła do okna i wyjrzała na cichą ulicę Bloomsbury.

- Musiałem być szalony, teraz to widzę - odezwał się jej brat. - Wayne wygrywał przez cały wieczór. Miał diabelne szczęście, chociaż zgodnie z rachunkiem prawdopodobieństwa w tym rozdaniu powinien mieć słabe karty.

Araminta nic nie odrzekła. Harry mówił dalej:

- Zawsze tam siedzi, nadęty, jakby nawet wygrana zależała od jego łaskawości. Coś mi się w nim nie podoba.

- O kogo ci chodzi? - posępnym głosem spytała Araminta.

- O markiza Wayne'a. Nie sądzę, żebyś o nim słyszała, ale to on dyktuje obecną modę. Wszyscy dandysi noszą takie same krawaty jak on i każdy się stara swoim zachowaniem upodobnić do niego.

- Chyba za nim nie przepadasz...

- Nienawidzę go! - odparł z mocą Harry. - Już ci mówiłem, że mnie denerwuje. Przychodzi do „White's”, jakby kupił cały lokal, a przecież jest tam wielu członków znaczniejszych od niego.

- Nie wiem, dlaczego tak cię to rozzłościło, że musiałeś grać z nim w karty.

- Wiem, że to, co zrobiłem, było głupie, szalone... - przyznał Harry. - Wayne zawsze wygrywa. Śmieją się z tego w klubie. Ale w jego spojrzeniu, gdy siadałem do stolika, było coś takiego...

- Wyjaśnij mi dokładniej, o co chodzi.

- Byłem po prostu nierozsądny, ale to on sprawił, że poczułem się jak prostak ze wsi, jak żółtodziób, którym bez wątpienia jestem!

Harry Sinclair przełknął głośno ślinę. - Chciałem tylko bronić mojego honoru i zobacz, do czego mnie to doprowadziło!

- Nie tylko ciebie - powiedziała cicho Araminta. Jej brat usiadł ciężko na krześle i skrył twarz w dłoniach.

- Pomóż mi, Araminto. Masz prawo być na mnie zła, ale na miłość boską - pomóż mi!

Ton jego głosu zmiękczył jej serce. Nigdy nie potrafiła się oprzeć prośbom przystojnego brata.

Przebiegła przez pokój i uklękła przy krześle.

- Już w porządku, Harry - rzekła uspokajająco, jakby był dzieckiem. - To nasze wspólne zmartwienie. Wiesz przecież, że masz rodzinę.

- Mama... - wyszeptał, odkrywając twarz.

- Tak, wiem - odparła Araminta - ale nie powiemy jej tak długo, dopóki nie będziemy musieli.

Zawahala się na moment.

- Ile mamy czasu na... na zdobycie pieniędzy?

- Dwa tygodnie - wydusił Harry.

- Nie! - wykrzyknęła Araminta. - To niemożliwe! Jak zebrać tak olbrzymią sumę w takim krótkim czasie?

Opadła na pięty i spojrzała na brata. W tej samej chwili on spojrzał na nią.

Ich spojrzenia się spotkały - oboje zawzięcie coś kalkulowali; oboje przecież doskonale się orientowali w rodzinnej sytuacji finansowej.

Kiedy ich ojciec, sir Gilbert Sinclair, zmarł od ran odniesionych pod Waterloo, odkryli, że wartość ich posiadłości tylko nieznacznie przewyższała wielkość długu.

Ich dziadek, drugi baronet, był szalonym hazardzistą, który roztrwonił rodzinny majątek, zostawiając najstarszemu synowi w spadku mały dworek w opłakanym stanie i kawałek ziemi w pobliżu Ampthill w hrabstwie Bedford.

Na szczęście lady Sinclair miała małą rentę po ojcu, który nie pochwałał małżeństwa córki i dlatego postanowił nie zapisywać jej w spadku żadnych pieniędzy.

- Nie dopuszczę, aby twój mąż korzystał z moich pieniędzy - powiedział. - Będiesz dostawała drobną sumę raz na kwartał. I ani pensa więcej, choćbyś nawet miała głodować w rynsztoku!

Tak więc mały majątek lady Sinclair pozwalał im na skromne, acz całkiem wygodne życie w Bedfordshire.

Było to biedne hrabstwo i nawet ludzie z wyższych sfer nie mieli tutaj zbyt wielu okazji do jakichś szczególnych wydatków.

Sir Gilbert i jego żona byli razem tak szczęśliwi, że polubili to miejscowe bezpretensjonalne życie towarzyskie, zapominając o ekstrawagancjach i luksusie Londynu.

Ale Harry był inny.

Był młody i uważał Bedfordshire za wyjątkowo nudne miejsce, co zresztą było prawdą. Nawet konie ojca biegły stanowczo za wolno jak na jego gust.

Na początku roku przyjechał do Londynu i zatrzymał się w mieszkaniu, które w liście do rodziny nazwał „całkiem przyzwoitym”. Za poręczeniem księcia Bedforda został członkiem „White's Club”. Araminta nie mogła się powstrzymać od myśli, że właśnie to zdecydowało o jego upadku.

„White's” był najbardziej szykownym i ekskluzywnym klubem w Londynie.

Spotykali się tu nie tylko młodzi modnisie, ale także politycy, nie wyłączając samego regenta.

Pewnego razu Harry doniósł radośnie w liście, że księżę Wellington został członkiem klubu dopiero w roku tysiąc osiemset dwunastym. „Nie jestem zatem aż tak młodym członkiem, biorąc pod uwagę staż, a nie wiek” - pisał.

Mieszczący się na St James's Street klub miał wśród swoich członków takie znakomitości Beau Monde jak lord Alvanley i niepowtarzalny Beau Brummell, który niestety później musiał opuścić Anglię ze względu na ogromne długi.

Członkami byli także Charles James Fox, którego przemówienia w Izbie Gmin gromadziły najwięcej słuchaczy, oraz sir Robert Peel, który właśnie organizował w Londynie policję.

W rzeczy samej, „White's” skupiał przeróżne typy i osobowości, co sprawiało, że śmietankę towarzyską Londynu zaliczano do najwytworniejszych i najbardziej interesujących na świecie. To właśnie tutaj ujawniał się szczególnie namiętny hazard, a wielkie fortuny każdego wieczoru zmieniały właścicieli.

Harry był pełen wdzięczności dla księcia Bedforda za wprowadzenie go do tego rajy dżentelmena. Araminta jednak

ciągle myślała, że być może byłoby rozsądniej, gdyby jej brat zaczekał do chwili, aż poczuje się w Londynie nieco pewniej.

- Sześćset funtów - powiedziała na głos. - Czy zostało coś z twojej renty?

Po śmierci ojca postanowili, że będą dzielić pieniądze, które ich matka otrzymywała co kwartał. Harry brał połowę, a druga połowa musiała wystarczyć na pełne wyrzeczeń i oszczędności utrzymanie lady Sinclair i jej dwóch córek.

Pojawił się także problem debiutu towarzyskiego Araminty. Powinien on nastąpić już w zeszłym roku, ale z powodu głębokiej żałoby nie mogli nawet myśleć o jakiegokolwiek rozrywce.

Araminta miała prawie dziewiętnaście lat, postanowiła jednak pojawiać się tylko na lokalnych balach, i to rzadko. Aż tu nagle pewnego dnia księżna Bedford, przyjaciółka lady Sinclair, oznajmiła, że jej mąż jest gotów udostępnić im umebrowany dom, aby Araminta mogła urządzić bal w Londynie.

Zaskoczyła ich ta zdumiewająca propozycja, ale ani przez chwilę nie pomyśleli o odrzuceniu tak hojnego gestu.

- Księżna obiecała nawet, że przedstawi cię w klubie „Almack's” - powiedziała lady Sinclair z zachwytem w głosie. - Możemy być pewne, że przy pomocy jej miłości zostaniesz zaproszona na wszystkie ważniejsze bale.

Araminta i jej siostra Caro po raz pierwszy w życiu opuszczały oazę spokoju - Bedfordshire.

Opactwo Woburn było wprawdzie blisko ich domu, ale prawdę mówiąc nie najlepiej znali księcia i księżnę Bedford, którzy większość czasu spędzali w Londynie.

- Wypożyczenie nam domu, mamó, to jeszcze nie wszystko - rzekła Araminta. - Obie dobrze wiemy, że nie mogę się pokazać w Londynie w sukniach, które sama sobie

uszyłam. Będą się ze mnie śmiali i bez wątpienia zaczną nazywać dojarką albo równie obraźliwie.

- Może to cię zdziwi, ale już o tym pomyślałam - uśmiechnęła się lady Sinclair. - Nigdy ci o tym nie mówiliśmy, ale od wielu lat razem z ojcem oszczędzaliśmy pieniądze na twój debiut i przyszłe wesele.

- Pieniądze? - Araminta była szczerze zaskoczona.

- Nie było to łatwe, jak wiesz, bo przecież nie powodziło się nam najlepiej. Czasami sprzedawaliśmy jakieś owoce z ogrodu, a gdy ojciec miał dobry dzień na wyścigach - odkładaliśmy połowę wygranej.

Na wspomnienie o mężu zamglily się jej oczy, ale po chwili opanowała się i mówiła dalej:

- Zebraliśmy dostatecznie dużo, by wystarczyło nie tylko na suknie, ale także na zorganizowanie kilku spotkań towarzyskich w tak życzliwie udostępnionym nam domu.

- Nie mogę w to uwierzyć! - wykrzyknęła osłupiała Araminta.

- Nie jestem tak głupia, jak zapewne ty i Harry myślicie.

- W głosie lady Sinclair pobrzmiwała duma.

Prawdą było, że dzieci - bardzo kochając matkę - uważały ją jednak za osobę wyjątkowo roztargnioną. Zapomniała o spotkaniach czy danych obietnicach, a przypomnienie sobie nazwisk sąsiadów i znajomych graniczyło z niemożliwością, chyba że znała ich wyjątkowo dobrze.

Niezmiennie spóźniała się na obiad; zapominała o wszystkim, pogrążając się w malowaniu akwarel, albo zaczynała zbierać kwiaty na kolejne pot - pourri wtedy, kiedy był najwyższy czas wracać do domu.

W wielu swoich zachowaniach przypominała dziecko, które biegnie za każdym motylem. A ponieważ jej szczęście skupiało się w domu, dzieci próbowały chronić ją przed

wszystkim, co brzydkie i przykre, a zwłaszcza od kłopotów finansowych.

Araminta była więc zdumiona, że jej matka pomyślała o czymś z wyprzedzeniem, a co więcej - że udało jej się przez lata uskładać jakąś sumę na towarzyski debiut córki.

Jej zdziwienie jeszcze wzrosło, gdy się dowiedziała, że owa kwota osiągnęła niewiarygodną wysokość stu dziesięciu funtów!

- Moja najdroższa, sądzisz, że to wystarczy? - spytała lekko zaniepokojona lady Sinclair.

- Ależ oczywiście, mam! Nie wolno mi jednak wydać wszystkiego na siebie. Trzeba także pomyśleć o Caro. Ma już prawie siedemnaście lat i być może w przyszłym roku księżna nie zapomni, że ona również powinna pojechać do Londynu.

- Jesteś słodka, Araminto. Cieszy mnie, że nie jesteś egoistką - powiedziała czule lady Sinclair. - Mam jednakże nadzieję, że znajdziesz w Londynie męża.

Araminta wyglądała na zaskoczoną, lecz po chwili odrzekła cicho:

- Oczywiście, mam. Wtedy będę mogła pomóc Caro. Będzie z niej piękna dziewczyna i musimy dać jej szansę.

- Obie jesteście nadzwyczaj urocze. Zawsze z ojcem żalowaliśmy, że Bedfordshire jest naszym domem, gdyż jest to wyjątkowo nudne hrabstwo.

Tak więc dzięki uprzejmości księcia znaleźli się w jego londyńskim domu na Russell Square.

Mam dokładnie dwa miesiące, pomyślała Araminta, gdy zjechali tam ósmego kwietnia. Dwa miesiące, by się bawić, ale także, by pamiętać, że każda panna liczy na propozycję małżeństwa z bogatym kawalerem.

Jednakże już nazajutrz po przyjeździe Araminta zdała sobie sprawę, że jej wszystkie plany wzięły w łeb.



Gdy tylko Harry zszedł na śniadanie, wiedziała, że coś jest nie w porządku. Wyglądał na zmęczonego, ale mogło to być rezultatem późnych powrotów do domu i nadużywania wina. Było przecież do przewidzenia, że będzie się chciał upodobnić zachowaniem do swoich rówieśników.

Spojrzała na niego z lękiem, gdy zamiast wziąć przygotowaną dlań kawę, podszedł do kredensu i nalał sobie brandy.

Nic nie powiedziała. Wszak Harry był teraz głową rodziny, jeśli więc przyszła mu ochota pić rano brandy, nie miała prawa go krytykować.

Czuła jednak, że stało się coś bardzo złego, i zastanawiała się, co to mogło być.

Przyjechał tutaj, by pomóc im się urządzić. Drugim powodem była chęć sprawienia matce przyjemności. Dzisiaj miał wrócić do swojego mieszkania, gdzie oprócz cudownej niezależności oczekiwał go wspaniały lokaj.

W chwilę po opuszczeniu jadalni przez matkę Harry zwierzył się Aramincie ze swoich kłopotów. Sześćset funtów - wyszeptala. - Właśnie myślałem - dodał Harry - że gdybym zrezygnował z mieszkania i zwolnił lokaja, zyskałbym pewne oszczędności.

- Pytałam cię, ile pieniędzy zostało ci z ostatniej renty.

Młodzieniec zamilkł.

- Nie mam już nic - przyznał po chwili.

- Och, Harry!

Już chciała powiedzieć, co o tym wszystkim sądzi, lecz w ostatniej chwili ugryzła się w język. Gniew nic tutaj nie pomoże, pieniądze zostały przecież wydane...

- Muszę nakarmić konie.

- Konie? - zdziwiła się Araminta.

- Właśnie dlatego nie mam pieniędzy - wyjaśnił. - Nadarzyła się okazja kupna dwóch wspaniałych zwierząt.

Należały do przyjaciela, który wyjeżdżał za granicę. Sprzedał mi je całkiem tanio.

Po chwili namysłu dodał:

- Dostanę za nie więcej, niż zapłaciłem.

- Ile możesz zebrać?

- Całą noc spędziłem, robiąc obliczenia - odparł Harry. - Wydaje mi się, że razem z koźmi, zegarkiem papy, spinkami do mankietów i szpilką do krawata, którą dostałem od mamy przed przyjazdem do Londynu, powinienem zgromadzić około dwustu pięćdziesięciu funtów.

- Nie wolno ci wspomnieć przy mamie o spince i zegarku papy - wtrąciła szybko Araminta.

- Ależ oczywiście, że nie.

- To mamy prawie połowę. Jest jeszcze sto dziesięć funtów zaoszczędzonych przez mamę na moje suknie. Chyba ci już o tym mówiłam?

- Araminto, nie mogę przecież wziąć twoich pieniędzy! - zaprotestował Harry.

Dziewczyna roześmiała się cicho, a zabrzmiało to jak szloch.

- Chyba nie sądzisz, że będę się bawiła, gdy ty będziesz gnął w więzieniu.

- Nie dojdzie do tego - oznajmił Harry. - Tak mi się przynajmniej wydaje.

Ale w jego głosie czaiła się niepewność.

- Chcesz przez to powiedzieć, że markiz nie poda cię do sądu za niespłacenie długu?

- Byłby to wypadek bez precedensu, gdyby dżentelmeni tak się wobec siebie zachowali - wyjaśnił Harry. - Oboje doskonale wiemy, że długi powstałe w wyniku hazardu są długami honorowymi. Niedotrzymanie zobowiązania równa się wykluczeniu z klubu. Wątpię też, by któryś z członków odezwał się do mnie w przyszłości...

- Nie możemy do tego dopuścić - powiedziała stanowczo Araminta.

- Nie wiem, jak się od tego uchronić. - Harry był naprawdę przygnębiony.

Jeszcze raz uniósł dłonie ku twarzy.

- Na Boga, Araminto, jak mogłem być takim cholernym głupcem? Jak mogłem wplątać się w coś tak straszliwego?

- Może gdybyś wyjaśnił markizowi wszystkie okoliczności, udałoby się go przebłagać...

- Przebłagać markiza Wayne'a?! Równie dobrze mógłbym dyskutować ze skałą Gibraltaru. Markiz jest twardy jak granit, nie ma w nim nawet grama życzliwości. Podziwiają go za wygląd, majątek i osiągnięcia, ale nie sędzę, żeby znalazła się w Londynie choć jedna osoba, która go naprawdę lubi.

- Ale dlaczego? - spytała Araminta.

- Bóg raczy wiedzieć. Coś w nim jest... Ta mina świadcząca o poczuciu wyższości... Nie jestem jedynym, który uważa go za osobę absolutnie nie do zniesienia.

Po chwili namysłu dodał:

- Zachowuje się tak, jakby uważał nas wszystkich za niegodnych nawet jego pogardy.

- Skoro nie możemy z nim porozmawiać - zaczęła Araminta - powinniśmy zebrać jak największą sumę, a resztę spłacić mu w ratach.

- To mu się nie spodoba - wymamrotał Harry.

- Nie ma znaczenia, czy mu się spodoba, czy nie - odparła siostra. - Teraz chodzi o to, ile możemy mu dać. Dwieście pięćdziesiąt funtów od ciebie, sto dziesięć odłożone przez mamę na moje suknie i trzydzieści, może czterdzieści funtów, które mamy w banku. Razem będzie około czterystu funtów.

- Nie zapominaj, że musimy też z czegoś żyć.

- Wiem o tym - przytaknęła smutno Araminta. Nagłe się ożywiła.

- Jest jeszcze pierścionek zaręczynowy mamy!

- O, nie! Nie mogę jej o to prosić - sprzeciwił się Harry.

- Musi być wart jakieś sto funtów. Nigdy go nie sprzedała, nawet w najcięższych czasach, tak bardzo jest do niego przywiązana.

- To ostatnia rzecz, o jaką poprosiłbym mamę.

- Jestem pewna, że wolałaby rozstać się z pierścionkiem, niż pozwolić, byś został publicznie zhańbiony.

Araminta wstała i zaczęła niespokojnie chodzić po pokoju.

- Gdybyśmy tylko mieli coś więcej do sprzedania... Co możemy jeszcze zrobić?

- Sam się nad tym zastanawiałem - powiedział Harry. - Czyż to nie jest śmieszne, że wykształcenie pomaga mi tylko w wydawaniu pieniędzy? Może mógłbym znaleźć pracę przy koniach albo jako woźnica dyliżansu pocztowego...

- Jestem pewna, że nie zarobiłbyś zbyt wiele.

- Co więc możemy zrobić? - jeszcze raz spytał zrozpaczony Harry.

Nagle Araminta znieruchomiała na środku pokoju.

Promienie słońca wpadające przez duże okna rozjaśniły złoto jej włosów i sprawiły, że zmartwione szare oczy ponownie nabrały blasku. Wyglądała pięknie...

- Mam pomysł! - wykrzyknęła, a jej głos zdawał się odbijać echem od ścian. - Mam wspaniały pomysł!

Generał sir Aleksander Bracknell czytał właśnie „The Morning Post” w swoim mieszkaniu na Half Moon Street, gdy do pokoju wszedł jego służący.

- Sir, jakaś pani chce się z panem widzieć - powiedział szorstkim głosem, zdradzającym wcześniejszą służbę w wojsku.

Generał spojrzał na niego zdziwiony.

- Jakaś pani? - spytał.
- Tak, sir. Bardzo młoda. Mówi, że to sprawa najwyższej wagi.
- W takim razie muszę ją przyjąć - rzekł generał. - Wprowadź.
- Tak jest, sir.

Hawkins żwawo wymaszerował z pokoju. Generał odłożył gazetę i poprawił klapy marynarki.

Niegdyś był uważany za jednego z najzdolniejszych dowódców w armii Wellingtona. Jednakże to nie jego mądrość, lecz popularność sprawiła, że ciągle o nim pamiętano.

W armii Wellingtona było dwóch generałów nie tylko podziwianych, ale wręcz kochanych przez żołnierzy. Jednym z nich był lord Hill, powszechnie znany jako "papa Hill", drugim zaś sir Bracknell, którego wszyscy nazywali „wujkiem Alekssem”.

Czekając myślał, że kobieta chcąc się z nim zobaczyć na pewno jest żoną, wdową albo matką jakiegoś żołnierza niegdyś służącego pod jego dowództwem.

Mimo iż wojna skończyła się prawie dwa lata temu, nie było tygodnia, żeby nie przyszedł doń ktoś, błagając o pomoc albo - co zdarzało się zbyt często - żebrząc.

Tylko ludzie z najbliższego otoczenia generała wiedzieli, że może on w bardzo ograniczonym stopniu korzystać z posiadanych zasobów, a to z powodu żony, od pięciu lat chorej psychicznie. Większość generalskiej emerytury i pieniędzy zgromadzonych podczas wspaniałej kariery wojskowej przeznaczył na zapewnienie jak najlepszych warunków lady Bracknell i opłacenie lekarzy, którzy jednak w żaden sposób nie zdołali odmienić jej rozpaczliwego stanu.

General nie był zadowolony, że ktoś postanowił złożyć mu wizytę tak wcześnie, zamierzał bowiem udać się na poranną przechadzkę po Hyde Parku.

Drzwi się otwały.

- Sir, panna Araminta Sinclair!

Dziewczyna przez chwilę stała w drzwiach, uśmiechając się, po czym podbiegła do generała z szeroko rozłożonymi rękami.

Wyglądała nadzwyczaj ładnie w czepku zawiązanym pod szyją, ale generał był światowcem i szybko zauważył, że chociaż jest urocza, jej czepki i suknie sprawiają wrażenie bardzo prowincjonalnych.

- Araminto, najdroższa! - wykrzyknął wstając. - A toż mi dopiero niespodzianka!

- Tak się bałam, że mogę cię nie zastać w domu - powiedziała. - Wujku Aleksie, musiałam się z tobą zobaczyć!

- Harry mówił mi o twoim przyjeździe do Londynu i w rzeczy samej zamierzałem dzisiaj po południu zaprosić twoją matkę.

- Jestem pewna, że będzie zachwycona, mogąc się z tobą spotkać - odparła Araminta. - Bardzo mi jednak zależało, byśmy porozmawiali w cztery oczy.

Generał poprowadził ją do starej, ale wygodnej sofy stojącej przy kominku.

- Czy coś się stało?

Araminta zawahała się przez moment.

- Zawsze uważaliśmy, że znasz wszystkich w wielkim świecie...

Generał wyglądał na nieco zaskoczonego, ale po chwili rzekł:

- Ludzie są bardzo uprzejmi wobec mnie.,. Mogę chyba bez przechwałki powiedzieć, że bywam prawie we wszystkich liczących się domach, na większości przyjęć i zebrań.

Roześmiał się gorzko i dodał: - Człowiek na emeryturze, w moim wieku i bez rodziny nie ma zbyt wielu rzeczy do roboty oprócz chodzenia do klubu.

- Do „White's”! - dorzuciła twardo Araminta.

- Tak - przytaknął generał. - Jestem bardzo rad, że i Harry został jego członkiem. Poparłem propozycję księcia Bedforda. Nie było możliwości, by jego kandydatury nie zaakceptowano.

- Harry był tym bardzo podniecony. Wydaje się jednak, że wszystkie jego kłopoty mają swoje źródło właśnie w „White's”.

Generał zeszywniał.

- Hazard?

- Obawiam się, że tak - odparła Araminta.

Na twarzy generała zagościł wyraz, którego Araminta nie zrozumiała. Po chwili wykrzyknęła:

- Nie, nie! Wujku Aleksie, nie myślałam o tym! Sam przecież wiesz, że nigdy byśmy nie poprosili cię o pieniądze, cokolwiek by się wydarzyło. Potrzebuję twojej pomocy, ale w czymś zupełnie innym.

Generał prawie niedostrzegalnie odprężył się i powiedział:

- Jeżeli mogę być w czymś pomocny, jestem do twoich usług.

- Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć. Byłeś tak wspaniały, gdy umarł papa. On cię uwielbiał. Mówił, że żołnierze pójdą za tobą nawet do piekła, i jestem pewna, że to prawda.

- Czuję się zażenowany, najdroższa - rzekł generał, - Faktycznie, bardzo lubiłem twojego ojca, i dobrze wiesz, jak kocham ciebie i Caro. Opowiedz mi jednak o Harrym.

- Przegrał ogromną sumę pieniędzy - zaczęła Araminta  
- i mamy bardzo mało czasu na jej zebranie. Ale, wujku Aleksie, przyszedł mi do głowy wspaniały pomysł!

Generał milczał, wpatrując się w nią badawczym wzrokiem.

- Często bywałeś u nas, w Bedfordshire. Co z naszej gościnności najbardziej utkwiło ci w pamięci?

Generał się uśmiechnął.

- To proste pytanie. Twój ojciec zawsze serwował swoim gościom najlepsze dania. Nigdy nie zapomnę tych wszystkich smakołyków, które miałem okazję kosztować w waszym domu.

- Właśnie to chciałam usłyszeć - rozpromieniła się Araminta. - A czy wiesz, kto zajmował się gotowaniem po śmierci starego Bouvais?

- Podejrzewam, że ty.

- Właśnie! - przytaknęła dziewczyna. - Papa polecił Bouvais, żeby nauczył mnie wszystkiego, co potrafił. Zawsze powtarzał, że nie będzie go już stać na następnego francuskiego kucharza, a on nie miał zamiaru jadać angielskich potraw przypominających pomyje.

- Twój ojciec był prawdziwym smakoszem - przyznał generał. - Zawsze żałowałem, że nie mógł urządzić większych przyjęć.

- Może to i dobrze - uśmiechnęła się Araminta. - Inaczej bylibyśmy wszyscy strasznie grubi. A zatem smakowało ci jedzenie zawsze, ilekroć zawitałeś w nasze progi?

- Było prawdziwą rozkoszą dla podniebienia. Twój ojciec był wielkim szczęściarzem, mając tak utalentowaną córkę.

- To mój jedyny talent - rzekła Araminta. - Jedyny, ale można go sprzedać.

Generał spojrział na nią ze zdziwieniem, ona tymczasem kontynuowała:

- Tatuś mawiał, że tylko najbogatsi mogą sobie pozwolić na francuskiego kucharza.



- To prawda - zgodził się generał - ale po rewolucji i potem po wojnach napoleońskich nastąpił prawdziwy exodus doskonałych kucharzy z Francji, nie było tam już bowiem zbyt wielu grands seigneurs, którzy mogliby ich zatrudnić.

- Tatuś mówił także - ciągnęła Araminta - że w Londynie jest olbrzymie zapotrzebowanie na francuskich szefów kuchni.

- To prawda - przyznał generał. - Oczywiście, wielu przybyłych tu kucharzy, nie chcąc pracować dla innych, otworzyło własne restauracje albo zdecydowało się na pracę w klubach. Na przykład „Reform” słynie z doskonałej kuchni.

- Ale ciągle jest popyt na wyszukaną kuchnię? - dopytywała się Araminta.

- Na to zawsze jest popyt - odparł generał. - Najlepszego z kucharzy, Antoine'a Careme'a, zatrudnia sam książę regent. Jedzenie, które on przygotowuje, jest doskonałe, ale nie lepsze od twojego, moja droga. Araminta klasnęła w dłonie.

- Wujku Aleksie, mówisz dokładnie to, co chciałam usłyszeć! Teraz rozumiesz, dlaczego przyszłam do ciebie?

- Może mam dzisiaj zły dzień - odrzekł generał - ale nie mam zielonego pojęcia...

- Chciałabym, żebyś zarekomendował mnie niektórym ze swoich przyjaciół jako kucharza!

- Chyba zwariowałaś?! - wykrzyknął sir Bracknell.

- Nie, wręcz przeciwnie: jestem bardzo rozsądna - zaprotestowała Araminta. - Jeżeli zbierzemy wszystkie pieniądze, którymi dysponujemy, i jeśli to będzie konieczne, poprosimy mamę o sprzedaż jej pierścienia zaręczynowego, zabraknie nam najwyżej stu funtów do spłacenia długu Harry'ego. Jestem przekonana, że tyle mogę zarobić gotowaniem.

- Dobrze to sobie obmyślałaś - powiedział generał. - Ale czy jesteś pewna, że chcesz pracować jako służąca w kuchni jakiegoś szlachetnie urodzonego, ale obcego człowieka?

- Nie na stałe, tylko czasowo - wyjaśniła dziewczyna. - Na przykład mogłabym przygotować po jednym przyjęciu w każdym z domów. Tatuś mi mówił, jak drogi jest obiad w dobrej restauracji. Myślę, że mogłabym zażądać pięć funtów od każdego...

Niepewnie spojrzała na generała, obawiając się, że wymieniona kwota może go przerazić.

- To rzeczywiście jest dobry pomysł - przyznał starszy pan po chwili. - Gotujesz przecież równie dobrze, jeśli nie lepiej, jak ci wszyscy kucharze, którymi przechwalają się moi znajomi.

- Zatem, wujku Aleksie, pomóż mi. Proszę - błagała Araminta. - Mógłbyś powiedzieć swoim znajomym z „White's”, że znasz pierwszorzędnego kucharza, który u nich w domu przygotowuje posiłek równy najlepszym, jakie serwuje się na kontynencie.

Mówiąc to patrzyła na generała błagalnym wzrokiem.

- To pozwoliłoby mi szybko zebrać sumę wystarczającą na spłacenie długu Harry'ego.

Generał zastanawiał się nad tym, co właśnie usłyszał. Ci, którzy niegdyś służyli pod jego rozkazami, nie mieliby najmniejszego kłopotu z poznananiem po ściągnięciu brwi i charakterystycznym wysunięciu do przodu dolnej wargi, że wnikliwie analizuje problem.

Przypomniał sobie, że ktoś - nie pamiętał kto - najdalej w zeszłym tygodniu powiedział, że to francuska kuchnia broni Francję przed absolutnym krachem finansowym.

- Co masz na myśli? - spytał wtedy starszawy par. - Traktat z listopada tysiąc osiemset piętnastego roku -

brzmiała odpowiedź - nałożył na Francję obowiązek zapłacenia odszkodowań wojennych w wysokości siedmiuset milionów franków w ciągu trzech lat. - Wszyscy o tym wiedzą - warknął podirytowany par.

- Dzięki łakomstwu Brytyjczyków, którzy tłumnie ściągają do Francji, by pofolgować podniebieniu, kuchnia francuska stała się narodowym towarem numer jeden.

Generał pomyślał, że w ciągu ostatnich kilku lat w Anglii rzeczywiście bardzo wzrosło zainteresowanie francuską kuchnią.

Nie było najmniejszej wątpliwości, że gotowanie na francuską modłę zupełnie zrewolucjonizowało i odmieniło ciężką kuchnię Brytyjczyków. Zrezygnowano z tradycyjnie wielkich kawałów wołowiny na rzecz wykwintnych quenelles, pokrojonych na tournedos lub użytych jako nadzienie vol - au - vents i polanych doskonałymi sosami.

Puddingi zastąpiono pianistymi souffles, cukier przemienił się w sotelties o bajecznych kształtach kwiatów, zamków i zwierząt. Do mięsa, dziczyzny i ryb zaczęto dodawać odpowiednie sosy, a wszystko to robili utalentowani ludzie, którzy gotowanie uważali za sztukę, a nie tylko życiową konieczność.

Znaleźć takich fachowców było niezmiernie trudno.

- Pomożesz mi, wujku Aleksie? - Araminta przerwała milczenie.

Generał nie odezwał się, dziewczyna więc mówiła dalej:

- Wiesz, że nie ma nikogo innego, z kim mogłabym o tym porozmawiać. Tatuś ci zaufał i dobrze wiesz, że pieniądze, które mama otrzymuje od administratora majątku, są wypłacane kwartalnie. Żadne z nas nie ma zatem możliwości sięgnięcia po rodzinny kapitał.

- Wiem o tym - przytaknął generał.

- Jedynym więc wyjściem jest zarobienie pieniędzy gotowaniem tak szybko, jak tylko to będzie możliwe.

- To wcale nie będzie takie łatwe - stwierdził sir Bracknell.

Araminta wiedziała jednak, że jej prośba nie zostanie odrzucona, że generał jej pomoże.

- Wujku Aleksie, kocham cię! - wykrzyknęła i pochyliła się, by pocałować go w policzek.

Klub „White's” był wypełniony dżentelmenami dzierżącymi w dłoniach kieliszki i rozprawiającymi o wydarzeniach dnia.

Wchodząc do środka, generał pomyślał, że zna wszystkich obecnych.

Wnętrze klubu zmieniono sześć lat temu, dodając nowe okno, zwane od tego czasu „oknem na wykuszu klubu «White's»”.

Ci, którym dane było usiąść pod owym oknem, kpiąco przyglądali się przechodniom na St James's Street i wygłaszali o nich swoje komentarze. Mówiono, że w „White's” rodzi się połowa skandali arystokratycznego świata Londynu.

Żadnemu z braci regenta nigdy nie udało się uzyskać znaczącej pozycji w ekskluzywnym świecie mody, ponieważ książę Cumberland był zwykłym łajdakiem, a książę Yorku - nudziarzem.

Beau Brummell zawsze siedział przy oknie w towarzystwie swoich osobliwych przyjaciół, którymi byli książęta: Argyle, Dorset i Rutland, oraz lordowie: Sefton, Alvanley i Plymouth.

Ilekcroć generał przestępował progi klubu, zawsze spodziewał się zastać Beau siedzącego w jego ulubionym fotelu i dowcipnym sarkazmem rujnującego czyjaś reputację.

Wydawało się, że taki człowiek nie może być samotnym, ledwo wiążącym koniec z końcem, podupadłym szlachcicem.

Ciągle był otoczony przyjaciółmi, którym teraz właśnie przyglądał się generał, planując swoją akcję tak dokładnie jak wszystkie poprzednie, które przyniosły mu sławę wybitnego dowódcy.

Ci, którzy zauważyli jego wejście, pozdrawiali go.

- Witaj, wujku Aleksie! - wesoło wołali starsi członkowie klubu.

Generał cieszył się wśród nich dużą popularnością, tak samo jak u nieco młodszych członków, którzy jednak odnosili się do niego z większym respektem:

- Dobry wieczór, generale!

Za jego plecami wszakże nazywali go „wujkiem Aleksiem”, co bardzo schlebiało generałowi.

Przydomek wiele znaczył w snobistycznym świecie bywalców klubu, gdzie przyjmowano osoby, które się lubiło, a nie tylko ze względu na błękitną krew płynącą w ich żyłach czy też wysokość drzewa genealogicznego.

- Gdzie byłeś wczoraj wieczorem? - generał usłyszał, jak lord Sefton spytał lorda Alvanleya.

Alvanley był powszechnie znany jako smakosz, a oprócz tego słynął ze swojego poczucia humoru.

Członkowie klubu ustanowili niegdyś nagrodę dla osoby, która przygotowuje najdroższe danie. Zwycięzcą został właśnie lord Alvanley za potrawę przyrządzoną z trzystu serc ustrzelonych na polowaniu ptaków: stu bekasów, dwudziestu bażantów i tak dalej... Łącznie z trzynastu gatunków.

Wszystko razem kosztowało sto osiem funtów i pięć szylingów.

- Byłem w Carlton House - odparł lord Alvanley.

- Szczęściarz z ciebie! - stwierdził lord Sefton. - Ja jadłem w pałacu królewskim. Stracony wieczór! Doprawdy, lepsze jedzenie podają w drugorzędnych przydrożnych zajazdach!

- Król, zanim oszalał, cenił sobie dobrą kuchnię - skomentował lord Alvanley. - Wczoraj wieczorem Careme był w doskonałej formie. Od chwili jego przybycia do Anglii regentowi przybyło z piętnaście kilo!

Generał tylko czekał na moment, w którym mógłby się włączyć do rozmowy.

- Owszem, Careme jest dobry - odezwał się głębokim głosem - ale znam kucharza lepszego od niego.

- Lepszego niż Careme? - zdziwił się lord Alvanley.

Powiedział to głośniejszym niż zwykle, toteż wielu gości zamilkło, chcąc usłyszeć, o co chodzi.

- O, tak - odparł generał. - Kucharz, o którym mówię, jest jednak za drogi dla każdego z was. Gdyby mnie było na niego stać, założyłbym się, że po tej stronie kanału nikt nie gotuje lepiej.

- Lepszy niż Careme? - powtórzył lord Alvanley z niedowierzaniem. - Regent dostałby ataku, gdyby to usłyszał!

- Też tak sędzę - zgodził się generał - ale fakty pozostają faktami. Przyznaję, że dania przygotowywane przez Careme'a są znakomite, ale ja znalazłem mistrza przewyższającego go.

- Nie wierzę - wtrącił się lord Sefton. - Gdzie jest ten geniusz? Spróbujmy jego potraw i osądźmy sami!

- Chciałbym móc zaprosić was na kolację i udowodnić, że mam rację - oświadczył generał - ale, jak już powiedziałem, mój „geniusz” jest bardzo drogi.

- Wiem, co zrobimy - oznajmił lord Alvanley podekscytowanym głosem. - Jeden z nas wyda kolację, którą przygotowuje twój protegowany, a po skończonym posiłku zdecydujemy przez głosowanie, czy masz rację, wujku Aleksie!

- Wchodzę do zakładu - powiedział lord Sefton.

- Ja także - wtrącił lord Plymouth.

- Pozostaje zatem pytanie: u kogo będzie ta kolacja? - spytał niepewnie lord Alvanley

Generał wiedział, że Alvanleya nie stać na to, gdyż jako nałogowy hazardzista tkwił po uszy w długach. Od chwili odziedziczenia majątku stracił ponad pięćdziesiąt tysięcy funtów. Większa część tej sumy przepadła przy stołach karcianych znajdujących się na pierwszym piętrze.

- Ja wydam kolację - odezwał się głos za generałem.

Sir Bracknell odwrócił się i wzdrygnął na widok stojącej za nim osoby.

Był to markiz Wayne, którego wcześniej nie zauważył.

Araminta wyznała w końcu generałowi, komu Harry był winien pieniądze, i fakt, że to właśnie u markiza miała się odbyć kolacja, sir Bracknell uznał za szczególnie niekorzystną okoliczność.

Wayne był dziwnym, nieprzewidywalnym człowiekiem. Miał wiele szlacheckich cech charakteru i uchodził za doskonałego żołnierza. Zarazem jednak był dumny, powściągliwy w stosunku do innych, a przy tym nieco bezczelny. Jak dobrze zauważył Harry, traktował ludzi z wyższością, czego wiele osób nie mogło w nim znieść.

Nie słyszano, by kiedykolwiek zrobił coś szlacheckiego, ale - by sprawiedliwości stało się zadość - należy dodać, że nigdy też nie słyszano, by zrobił coś wyjątkowo podłego.

Był twardym mężczyzną i generał, człowiek o gorącym sercu, nie potrafił polubić markiza, choć zdawał sobie sprawę, że to nie fair oceniać jego osobę wedle jej popularności. Na liście osób, u których Araminta mogłaby wykazać swoje umiejętności, nazwisko Wayne'a nie figurowało.

Jedno natomiast było pewne: kucharz, którego zatrudniał markiz, był szeroko znany wśród arystokracji i powszechnie wysoko oceniano jego kulinarne umiejętności.

Poza tym Wayne rzadko się zakładał, co w klubie „White's” było rzeczą nieczęsto spotykaną.

Ale nie tylko generał był zdumiony propozycją markiza - podobnie zareagowali lordowie Alvanley i Sefton.

- Ty, Wayne, ty chcesz wydać kolację? - zdziwił się Alvanley. - Ale dlaczego? Co się stało z Gustave?

- Zwolniłem go dziś rano - odparł chłodno markiz.

- Zwolniłeś go?! - powtórzył głucho lord Alvanley. - Na Boga, za co?!

- Kradł - wyjaśnił markiz - a ja nie zamierzam trzymać w swoim domu złodziei, bez względu na okoliczności łagodzące.

- Wielkie nieba! - wykrzyknął lord Sefton. - Nie mogę sobie wyobrazić Wayne House bez Gustave. Przecież pracował u ciebie od wielu lat!

- Dokładnie od ośmiu - odparł markiz. - Nie powinno się trzymać służącego dłużej niż osiem lat. Stał się leniwy, niedbały, a co najważniejsze - nieuczciwy.

- Hm, zaskoczyłeś mnie - oświadczył lord Alvanley.

- Zatem rozumie pan, generale, że będę zachwycony, mogąc zatrudnić rekomendowanego przez pana kucharza, jeżeli rzeczywiście jest tak dobry, jak pan twierdzi.

- Powiedziałem, że jest lepszy od Careme'a, i podtrzymuję moje słowa - oświadczył sir Bracknell.

- Jestem gotów postawić dużą sumę na to, że się pan myli, generale - powiedział lord Sefton.

- Chciałbym wyjaśnić jeszcze jedną rzecz - dodał generał. - Mój kucharz będzie pracował u pana tylko tymczasowo: przez jeden, może dwa wieczory.

- Zatrudnię go na jeden wieczór - odrzekł markiz. - Na wypadek, gdyby miało się okazać, że nie jest tak doskonały, jak pan twierdzi. Co powie pan na jutro? Proszę mu przekazać, żeby jutro rano odwiedził mojego sekretarza. Mam



nadzieję, że kolacja okaże się odzwierciedleniem „geniuszu” pańskiego kucharza.

Odwrócił się, by wyjść, ale lord Alvanley zawołał:

- Wayne, nie możesz tak po prostu wyjść! Musisz mnie zaprosić!

- I mnie! - dodał skwapliwie lord Sefton.

- Jesteście zaproszeni - oświadczył markiz. - I oczywiście generał, i Plymouth.

To rzekłszy opuścił lokal. Generał patrzył za nim w zamyśleniu.

Wydawało mu się sprawiedliwe, że to właśnie od markiza Araminta uzyska trochę pieniędzy na spłatę długu jej brata. W rzeczy samej rozśmieszyła go ta myśl i z uśmiechem na ustach odwrócił się ku lordowi Alvanleyowi.

- Czegoś takiego się nie spodziewałem - - stwierdził lord Sefton. - Wayne zwalnia swojego kucharza i wydaje kolację, przyjmując nowego szefa kuchni, nie pytając ani o jego referencje, ani o cenę!

- Dlaczego miałby niepokoić się o cenę? - spytał lord Alvanley. - Jest wystarczająco bogaty, by nie zawracać sobie głowy takimi drobnostkami. Chciałbym mieć jednego pensa z każdego funta, które on ma.

- Gdybyś miał te pieniądze, od razu byś je przegrał! - zaśmiał się lord Plymouth. - A propos, wujku Aleksie, ile sobie życzy twój kucharz?

Generał się zawahał.

- Dwadzieścia gwinei - odpowiedział.

- Dwadzieścia gwinei! - wykrzyknął lord Alvanley. - Dobry Boże, to naprawdę przesada...

- Niezupełnie - odrzekł generał. - Obaj doskonale wiemy, że wydatek dziesięciu gwinei na jedną z pięknych Cypryjek ze „Świątyni Flory” madame Hayes uważacie panowie za drobnostkę.

A po krótkiej pauzie dodał z szelmowskim uśmiechem:

- Akurat tak się składa, że wiem, ile kosztują tak zwane dziewice od madame Hayes - dwadzieścia gwinei!

- Nie więcej niż damy odwiedzające nasze obozowiska w Portugalii, prawda, generale? - spytał ktoś.

Generał zignorował tę uwagę i dalej mówił do Alvanleya:

- Jestem przekonany, że doskonałość kolacji, którą jutro wspólnie zjemy, znacznie przewyższy wszystko, co mogą zaoferować wspomniane przed chwilą panie.

Lord Alvanley wybuchnął śmiechem.

- Do diabła, wujku Aleksie, temu argumentowi nie potrafię się oprzeć!

- I bardzo dobrze - powiedział generał.

- Spodziewam się, że na tej kolacji będzie tylko męskie towarzystwo? - wtrącił się lord Sefton.

- Oczywiście, ty bałwanie! - odrzekł lord Alvanley - Która kobieta potrafiłaby docenić dobre jedzenie?

- Czy to dlatego nigdy się nie ożeniłeś?

- To był jeden z powodów - odparł lord. - Nigdy nie było mnie stać na żonę, a poza tym z dobrego jedzenia można czerpać znacznie więcej satysfakcji.

- Francuzi mówią, że jest to jedyna rzecz, którą można robić trzy razy dziennie i nie zanudzić się na śmierć! - dorzucił lord Plymouth.

- Zgłodniałem od tego rozmawiania o jedzeniu - oświadczył lord Sefton. - Ale dzisiaj muszę powściągnąć swój apetyt, żeby mieć lepszy jutro.

Uśmiechnął się do generała i dodał:

- Czy sądzi pan, że ten kucharz - cudo przygotuje trzydzieści sześć dań, jak niegdyś Careme dla regenta w Royal Pavilion w Brighton?

- Na miłość boską, mam nadzieję, że nie! - przerwał lord Alvanley, nim generał zdążył otworzyć usta. - Jeszcze w

tydzień później byłem chory. Stałem się prawie tak gruby jak książę!

- Codziennie się do niego upodabniasz. A zwłaszcza twój brzuch - zakpił lord Sefton. - Musisz jednak przyznać, że książę ma niesamowite możliwości. Założę się, że następnego dnia bynajmniej nie czuł się chory i był gotów do spożycia kolejnych trzydziestu sześciu dań!

- Pokażę ci jutro, na co mnie stać! - obiecał lord Alvanley. - Chodź, Sefton, zapiszemy nasze zakłady, nim upijesz się tak, że nie będziesz mógł utrzymać pióra w ręku.

Gdy opuszczali salę, generał patrzył za nimi, blado się uśmiechając.

Wszystko szło zgodnie z jego planem.

Jednocześnie nie mógł się powstrzymać od myśli, że to wszystko może wpędzić Aramintę w kłopoty, chociaż pozornie wydawało się, że dziewczyna nie ma nic do stracenia, a dwadzieścia gwinei było kwotą nie do pogardzenia.

Niechybnie będzie się czuła zażenowana, pracując w kuchni w Wayne House, pomyślał. Nikt jednak nie będzie wiedział, kim jest, i nie ma szans, by natknęła się na markiza.

Generał absolutnie świadomie zasugerował, iż kucharzem, którego rekomenduje, jest mężczyzna. Z pewnością nikt nawet przez chwilę nie pomyślał, że dobrym szefem kuchni może być osoba odmiennej płci. Kobiety uważano przecież za coś gorszego i stąd wynikała ich mała popularność w Londynie.

W niektórych wiejskich rezydencjach trzymano jeszcze kucharki, które wcześniej były pomywaczkami, a następnie pomocami kuchennymi. Ale w Londynie, w kuchniach Beau Monde, zatrudniano tylko kucharzy, którzy jeśli nie byli Francuzami, to ich udawali.

Przynajmniej zrobiłem to, o co prosiła mnie Araminta, powiedział do siebie generał, siadając w swym ulubionym fotelu.

Czuł się jednak nieswojo.

## Rozdział 2

- Jak ci idzie? - spytała Caro.

Araminta spojrzała na nią z końca stołu, gdzie siedziała, otoczona papierami.

Zanim odpowiedziała, odłożyła gęsie pióro do kałamarza.

- Zdecydowałam, co przygotuję dla markiza i jego gości - powiedziała. - Cała trudność polega na tym, że nie wiem, czy z Hannah znajdziemy na Covent Garden wszystkie niezbędne produkty.

- Zawsze słyszałam, że jest to najlepsze targowisko na świecie - rzekła Caro.

- Tatuś nie zgodziłby się z tobą - uśmiechnęła się Araminta. - Uważał, że francuski rynek oferuje znacznie większy wybór niż to, co możemy dostać u nas w kraju.

- Wszystko zależy od menu - zauważyła rezolutnie Caro.

Podniosła kartkę papieru, mówiąc:

- Właśnie znalazłam to wśród przepisów taty. Napisano tu, że cesarz Napoleon jadł kiedyś w Afryce obiad, na który podano zupę z żółwia oraz jeżozwierza, gazelę, comber z dzika, kotlet z antylopy i pieczonego strusia w galarecie z granatu.

Araminta wybuchnęła śmiechem.

- Nie będę się wysilała na nic równie egzotycznego - odrzekła. - Czy masz tutaj wszystkie przepisy taty?

- Przywiozłam je do Londynu, ponieważ sądziłam, że gdybyśmy miały czas, mogłybyśmy je zebrać i wydać w formie książki.

- Caro, cóż za cudowny pomysł! - wykrzyknęła Araminta. - Mogłybyśmy je wydać! Czemu wcześniej o tym nie pomyślałam?

- Rozważałam to przez pewien czas - przyznała Caro - mając w pamięci lekceważenie, z jakim papa wyrażał się o książkach pani Hannah Glasse.

- Powiedział, że jej Gotowanie jest proste było raczej prostackie, a większość proponowanych przez nią dań do niczego się nie nadawała - wybuchnęła śmiechem Araminta.

- Jeżeli chcesz, bym zrobiła dla ciebie słodczy, to muszę przyznać, że Domowy cukiernik okaże się w tym całkiem pomocny.

- Robisz je o niebo lepiej ode mnie - przyznała Araminta. - Tatuś twierdził, że twoje wyroby są najlepsze na świecie.

Caro zarumieniła się, usłyszawszy ten komplement.

Była urocza, ale w sposób nieco inny niż jej siostra.

Obie miały jasne włosy, lecz w wyrazie twarzy Araminty było coś niemal natchnionego, podczas gdy zawsze roześmiana Caro ukazywała wszystkim rozkoszne dołeczki na różowobiałych policzkach, działające tak samo ponętnie jak pełne iskierek oczy.

Dziewczęta miały arystokratyczne rysy z małymi prostymi noskami, ale w spojrzeniu Caro było coś psotnego; coś, co sprawiało, że każdy, na kogo spojrzała, uśmiechał się do niej.

Araminta wyglądała dokładnie tak samo jak jej matka, gdy sir Gilbert Sinclair padł do jej stóp, zakochawszy się od pierwszego wejrzenia. Przez krótką chwilę na jej gładkim czole gościła zmarszczka, po czym rzekła:

- To bardzo ważne, żeby jutrzejsza kolacja się udała. W przeciwnym razie, Caro, już nikt mnie nie zaangażuje.

Westchnęła.

- A tylko w ten sposób możemy zarobić pieniądze, by uratować Harry'ego.

- Ciągle nie mogę uwierzyć, że generał przekonał kogoś, by zapłacił aż dwadzieścia gwinei za przygotowanie jednej kolacji - powiedziała Caro z podziwem w głosie.

- Mnie także trudno było w to uwierzyć - wyznała Araminta. - A co się stanie, jeśli nie dam sobie rady...?

- Ależ na pewno sobie poradzisz - zapewniła siostra. - Dobrze wiesz, że zawsze doskonale gotowałam... Nie sądzę, by w tym kraju cokolwiek mogło dorównać przepisom, które tatuś przywiózł z zagranicy, no może z wyjątkiem tego, co serwują w Carlton House.

- Wydaje mi się, że wybrałam dania, które potrafię przygotować najlepiej - rzekła Araminta, przesuwając stertę papierów. - Zerknij na nie jeszcze raz, bo może się okazać, że coś przeoczyłam.

- Cały czas to robiłam - odparła Caro. - I jeżeli nie planujesz czegoś naprawdę nadzwyczajnego, to proponuję, byśmy zaufały daniom, które papa uważał za swoje ulubione.

- Dokładnie tak zamierzałam zrobić - przyznała Araminta. - Ale wujek Aleks mówił, że kucharz markiza był bardzo dobry. Muszę więc zrobić coś, co wszystkich zadziwi.

- A co byś powiedziała na dania z „Hell - Fire Club”? - spytała Caro. - Tatuś często tam bywał w młodości - oto menu.

- Jestem pewna, że mama doznałaby szoku, gdyby się dowiedziała, że w ogóle słyszałaś o tak niegodnym miejscu!

- A może wolałabyś jakieś rzymskie potrawy, na których temat papa sporządził specjalne notatki? - nieco złośliwie zaproponowała Caro. - Na przykład taki cesarz Heliogabal kazał zabić sześćset strusi, żeby móc ugotować ich głowy i zjeść mózgi.

- To brzmi strasznie, a nawet okrutnie! - wykrzyknęła Araminta.

- Stopy wielbłądzie także uznawał za wielki przysmak - ciągnęła Caro. - Według taty bogaci Rzymianie cierpieli na gastronomiczną monomanię i wydawali astronomiczne sumy na każdy posiłek.

- Osobiście wolę czytać o Grekach - powiedziała Araminta. - Tatuś mówił, że to oni wymyślili sosy, a poza tym mieli siedmiu mędrców kuchni.

- Tak, słyszałam o tym - przytaknęła Caro. - Jeden z nich, mieszkający w Koryncie, przyrządził bogom morskiego węgorza.

Na jej twarzy pojawił się przelotny grymas.

- Nie powiem, żeby tak bardzo zależało mi na zjedzeniu morskiego węgorza.

- Ja też - zgodziła się Araminta - i dlatego jutro na kolację markiz będzie miał łososia.

- Nie, tylko nie łososia! - wykrzyknęła Caro. - To przecież takie banalne! Papa mówił, że na każdy angielską kolację, na którą był zaproszony, podawano indyjską zupę, łososia i comber barani.

- Ale tylko co do łososia z Tamizy mogę mieć pewność, że będzie świeży - zaoponowała Araminta.

Obie doskonale wiedziały, że nawet ryby przywożone na targ specjalnymi powozami traciły świeżość na długo przedtem, nim znalazły się na straganie. Tylko mięso było zawsze świeże, ale przybywało ono z odległych zakątków w nieco inny sposób - na własnych nogach Podobnie drób - regularnie sprowadzany z nizin Norfolk i Suffolku.

Araminta zdawała sobie sprawę, że powodzenie jej kolacji w ogromnej mierze zależy od jakości produktów.

Całe szczęście, że była z nimi Hannah, stara służąca pozostająca przy rodzinie od czasu zamążpójścia ich matki. Ona dokładnie wiedziała, czego potrzebowały.

Araminta już jej powiedziała, że bardzo wcześnie będą musiały się udać na Covent Garden, by dokonać niezbędnych zakupów.



Zrazu Hannah była przerażona wiadomością, że panienka z dobrego domu zniży się do gotowania za pieniądze, w dodatku w domu jakiegoś dziwnego dżentelmena.

- Zastanawiam się, co powie twoja matka, kiedy się o tym dowie - cierpko skomentowała cały plan Araminty

- Nie wolno ci nic powiedzieć! Proszę, Hannah zachowajmy to w tajemnicy przed mamą! - błagała dziewczyna. - Nie ma sensu martwić jej bez powodu. Sama wiesz, jak by ją zasmuciła wiadomość, że Harry tonie w długach.

Szczęśliwie się składało, że Hannah uwielbiała Harry'ego. Był jej niekwestionowanym ulubieńcem i gdyby tylko o to poprosił, położyłaby się na podłodze i pozwoliła przejść po sobie.

W ten sposób Araminta zyskała pewność, że służąca nie tylko nie piśnie słówka, ale także pójdzie z nią na Covent Garden i pomoże jej przygotować wiele potraw, zanim zostaną one zabrane do domu Wayne'a.

Tak ustalono z generałem, kiedy odwiedził je po obiedzie, by poinformować Aramintę, że jej pomysł spotkał się z zainteresowaniem. Dowiedziała się wówczas także, że jej pracodawcą będzie nie kto inny, tylko markiz Wayne, który zgodził się zapłacić niewyobrażalną sumę dwudziestu gwinei za przygotowanie jednej kolacji.

Lady Sinclair spała, gdy obie jej córki siedziały w salonie i z szeroko otwartymi oczami słuchały opowieści generała, jak to przeprowadził swoją kolejną kampanię, tym razem w klubie „White's”.

- Wujku Aleksie, jesteś geniuszem! - wykrzyknęła Araminta. - Ale dwadzieścia gwinei! Wstyd mi na myśl, że zażądałam tak olbrzymiej kwoty.

- Przecież zapracujesz na nią, najdroższa - odparł chłodno generał.

- Ale to markiz Wayne - spieszyła się Araminta. - Jeżeli się dowie, kim jestem... Co wtedy?

- Trzeba zrobić tak, żeby się nie dowiedział - rzekł generał. - Jestem pewien, że już postanowiłaś wystąpić pod przybranym nazwiskiem...?

- Oczywiście - odparła Araminta. - Podam się za Francuzkę, mademoiselle Bouvais. Tak nazywał się nasz drogi kucharz, który nauczył mnie wszystkiego, co potrafię.

- Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi tego za złe - zaczął generał - ale w ogóle nie wyglądasz na Francuzkę.

- Lepiej, żebyś została miss Bouvais - zaproponowała Caro. - Gdyby cię ktoś pytał, zawsze możesz powiedzieć, że ojciec był Francuzem, a matka Angielką.

- Tatusz mawiał, że jak się już chce kłamać, trzeba to robić dobrze - uśmiechnęła się Araminta. - Nie wolno wdawać się w nieistotne szczegóły.

- Miss Bouvais brzmi świetnie - zawyrokował generał.

- Mam nadzieję, że markiz nie dowie się, iż kolację przygotowała kobieta, dopóki nie będzie po wszystkim. Czy to możliwe?

- Sądzisz, że zakwestionowałyby twoje zdolności kulinarne? - spytał generał.

- Przecież wiesz, jacy są mężczyźni - w głosie Araminty słychać było lekceważenie. - Nigdy nie przyznają, że kobieta może dorównać mężczyźnie kucharzowi. Nawet tata uważał, że jestem tak doskonałą kucharką tylko z powodu znakomitego nauczyciela, starego Bouvais.

Generał wybuchnął śmiechem.

- Obawiam się, że kobiety nigdy nie dorównają lepszym mężczyznom!

- A niby dlaczego miałyby to robić? - spytała obojętnie Araminta. - Jeżeli jednak chcemy, by markiz miał świadomość dobrze wydanych pieniędzy, pozwólmy mu

sądzić, że jego zwolnionego kucharza zastąpił inny mężczyzna.

Postanowiono, że generał odwiedzi Wayne'a w drodze do domu. Wujek Aleks obiecał skontaktować się z sekretarzem markiza, majorem Brownlowem, i wyjaśnić, że kucharz, którego polecił, pojawi się dopiero po południu.

- Istnieje duże prawdopodobieństwo, że pozostaniesz nie zauważona - powiedział generał - gdyż major Brownlow stracił nogę we Włoszech i ma zrozumiałe kłopoty z poruszaniem się po domu.

- Biedaczysko! - wykrzyknęła Araminta.

- Był bardzo walecznym żołnierzem - ciągnął generał - jednym z lepszych, jakimi kiedykolwiek dowodziłem. Jestem wdzięczny panu Wayne'owi, że dał mu pracę. W przeciwnym razie nie wiem, jak by sobie poradził...

- Z tego, co mówisz, wynika, że jest mało prawdopodobne, by major Brownlow zszedł do kuchni, żeby ze mną porozmawiać?

- Jeżeli będziesz wystarczająco sprytna - pouczał generał - to z łatwością unikniesz z nim spotkania aż do końca posiłku. Jeśli będzie cię wzywał, powiedz, że nie możesz przyjść, ponieważ zupa ci wykipi, czy coś podobnego. Rozumiesz?

Araminta klasnęła w dłonie.

- Wujku Aleksie, jesteś urodzonym intrygantem! Mam nadzieję, że nie przyniosę ci wstydu.

- Ależ oczywiście, że nie - uspokoił ją generał. - Jeżeli tylko nasz plan się powiedzie, będę jeszcze z ciebie dumny.

- Musi się udać! - przytaknęła ochoczo Araminta. - Zobaczysz, że już jutro zasypią cię prośby o skontaktowanie z tą wspaniałą „Francuzką”.

- Mam nadzieję - tym razem głos generała brzmiał poważnie.

Następnie przekazał jej, że rozmawiał z markizem w klubie i dowiedział się, że na kolacji będzie nie więcej niż dziesięć osób.

- Zapraszam tylko smakoszy, generale - powiedział markiz. - Rzucił pan wyzwanie i dlatego zapraszam sędziów, którzy znają się na rzeczy.

- Nie boję się tego, markizie Wayne - odparł spokojnie generał. - Wiem, że postąpiłem słusznie, stawiając na tego kucharza.

- Jest pan bardzo pewien swego - zakpił markiz.

Generał odniósł wrażenie, że jego lordowska mość był przekonany, iż kolacja się nie uda.

Oczywiście nie wspomniał o tym Aramincie, ale patrząc na siedzące przed nim dwie panienki, zastanawiał się, czy przyszła bitwa nie została już przegrana. Czy na pewno dadzą sobie radę...?

Dopiero po chwili przypomniał sobie te wszystkie smakołyki, które serwowano niegdyś w Bedfordshire, i pomyślał, że jeżeli teraz Araminta ugotuje tak dobrze, jak robiła to wtedy, nikt nie będzie miał powodów do najmniejszych nawet zastrzeżeń.

Mimo to od opuszczenia Russell Square towarzyszył mu niepokój.

Caro przeglądała notatki ojca.

Sir Gilbert Sinclair przed ślubem wiele podróżował. Przed wojną był we Włoszech, potem we Francji, w Hiszpanii, Portugalii, by wreszcie znaleźć się w Brukseli.

Nawet kiedy został ranny, każde danie, które wzbudziło jego zainteresowanie, skrupulatnie odnotowywał w swojej kolekcji przepisów.

- O, to będzie doskonałe! - wykrzyknęła Caro. - Może właśnie to powinniśmy przygotować? „Tarczę Minerwy”

wymyślił Witeliusz, który - jak wynika z opisu taty - był wspaniałym rzymskim kucharzem.

Najwyraźniej miała ochotę nieco się podroczyć z Aramintą, ta jednak wcale jej nie słuchała.

Niezrażona Caro mówiła dalej:

- Potrzebne są: wątroba jazęgi, pawie i bażancie mózdzki, języki flamingów i minogów.

Otworzyły się drzwi i wszedł Harry.

Już mu doniesiono, że starania generała o znalezienie pracodawcy dla Araminty zostały uwieńczone sukcesem, i zdążył wyrazić swoje niezadowolenie z faktu, iż pierwszym klientem będzie markiz Wayne.

- Nie mogłem mu odmówić - wyjaśnił generał.

- Wiem, sir, ale jeżeli ktokolwiek się dowie, że pozwoliłem, by moja siostra najęła się do pracy u obcych, żeby spłacić moje długi, nigdy więcej nie będę mógł chodzić z wysoko podniesioną głową.

- Nikt się nie dowie - zapewniła Araminta. - Obiecuję.

Wiedziała jednak, że nie przekonało to Harry'ego. Gdy ich oczy się spotkały, serce zabiło jej mocniej.

- Co się stało? - spytała cicho. Harry usiadł.

- Właśnie wracam z klubu.

Dziewczęta milczały. Po chwili Harry mówił dalej:

- Przyjmują zakłady, czy kolacja się uda, i z tego, co zrozumiałem, wynika, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, następnego dnia markiz wyda przyjęcie ponownie.

Przez chwilę Araminta z osłupieniem wpatrywała się w brata, po czym rzekła:

- To będą czterdzieści dwa funty! Harry, pomyśl tylko - czterdzieści gwinei!

Harry skrzywił się nieznacznie.

- Wiem, że to dużo pieniędzy - powiedział - ale nie mam prawa pozwalać ci na to.

- Nikt się nie dowie - uspokajała go Araminta. - Gdybyśmy tylko mieli trochę więcej czasu, zarobiłabym wystarczająco dużo, byśmy nie musieli prosić mamy o jej pierścionek zaręczynowy.

- Może mógłbym postawić jakąś drobną sumkę w dzisiejszym zakładzie? - zaproponował Harry.

Araminta jęknęła.

- Ani się waż! Obiecałeś, Harry, że zerwiesz z hazardem. Jeżeli złamiesz dane słowo, nigdy ci nie wybaczę, nigdy!

W jej głosie brzmiała taka siła, że brat pospiesznie zadeklarował:

- Już dobrze, Araminto. Dałem słowo i obiecuję, że go dotrzymam. Jestem ci niezmiernie wdzięczny. Po prostu bardzo się martwię.

- Tak jak my wszyscy - wtrąciła Caro. - Nie mogę jednak uwolnić się od myśli, że tatuś byłby tym wszystkim raczej rozbawiony.

Następnego ranka Araminta pomyślała sobie, że jej ojciec byłby nie tyle rozbawiony, ile raczej bardzo zainteresowany produktami, które kupiła na rynku.

Wiadomo było, że rynek jest miejscem drogim, toteż większość ludzi robiła zakupy na straganach.

Araminta i Hannah skierowały swe kroki najpierw do Newgate, gdzie można było zaopatrzyć się w mięso i drób najwyższej jakości.

Według szacunków, w końcu ubiegłego stulecia do Londynu sprowadzano ponad sto tysięcy sztuk bydła rocznie.

Araminta nigdy nie widziała tyle wołowiny, baraniny, cielęciny i dziczyzny, tyłu zajęcy, kur, kaczek i gęsi.

Zawahała się przez chwilę, widząc tłuste indyki i delikatne młode perliczki, ale w ułożonym przez nią menu znalazły się gołębie nadziewane gęsiami wątróbkami, z kasztanami i

oliwkami, toteż postanowiła nie wprowadzać już żadnych zmian.

W sprzedaży były także łabędzie, uważane przez niektórych za wielki przysmak. Często jednak zdarzało się, że ich mięso było nieco łykowate, z tego więc względu markiz mógł za nimi nie przepadać.

Postanowiła zatem pozostać przy rybach i niewyszukanym drobiu, lecz przygotować je na francuski sposób, dzięki czemu każde danie musi smakować tak wybornie, że jest mało prawdopodobne, by jakikolwiek Anglik jadł przedtem coś równie wspaniałego.

Na Newgate był duży wybór, ale kolorowe sterty wszelkich warzyw i owoców na Covent Garden robiły leszcze większe wrażenie.

Gdy Araminta przyglądała się wszystkiemu z szeroko otwartymi oczyma, Hannah - z wyrazem wyraźnego lekceważenia na twarzy - dokładnie wszystko wahała. Od czasu wyjazdu z domu cały czas narzekała na jakość jedzenia w Londynie.

Kapusta, rzodkiewki i szpinak uprawiane wokół miasta miały dla niej wyjątkowo nieprzyjemny smak, gdyż były przesiąknięte dymem. Jednakże szparagi uważała za wyjątek i zważywszy na ich niską cenę, a także wyjątkową obfitość, zdecydowała się pozwolić Aramincie na ich zakup.

Sprzedawcy, zdaniem Hannah, usuwali kurz z owoców, plując na nie! Powiedziano też jej kiedyś, że krowy londyńskie trzyma się w ciemnych, zatłoczonych i brudnych oborach. Od czasu więc przyjazdu z prowincji ani razu nie kupiła mleka od mleczarek chodzących od drzwi do drzwi z otwartymi bańkami.

Teraz jednak musiała przyznać, że sosy, które Araminta zamierzała przygotować, wymagają śmietany, i wreszcie

udało im się znaleźć sprzedawcę przysięgającego, iż gęsta, żółta śmietana została właśnie przywieziona prosto z farmy.

Araminta zakupiła także najlepsze masło, przybyłe statkiem ze wschodniej Anglii, i jajka, o których mówiono, że kury zniosły je poprzedniego dnia.

- Lord jest pewien, że wszystkie niezbędne składniki zostaną przysłane z jego wiejskiej posiadłości - powiedziała Hannah.

- A gdyby mi czegoś zabrakło? - zaniepokoiła się Araminta. - Na sam krem będę potrzebowała ze dwa tuziny jaj.

Wybór serów był oszalamiający, toteż Araminta przez długi czas nie mogła się zdecydować, co wybrać cheshire, gloucester, wiltshire, cheddar, a może stilton?

Na Leadenhall znalazły łososia - sprzedawca przysięgał, że rybę złowiono z samego rana. Nabyły także mule, krewetki, małże i ostrygi - niezbędne składnik sosów.

Do domu wróciły wyładowaną po brzegi dorożką i od razu zabrały się do pracy.

Dobrze się złożyło, że lady Sinclair, zmęczona podróżą do Londynu, postanowiła spędzić cały dzień w łóżku.

- Tak mi cię żal, mamó - powiedziała Araminta, odwiedzwszy ją w sypialni.

Jednocześnie jednak zdawała sobie sprawę, że taka sytuacja jest dla niej nad wyraz korzystna. Dzięki temu mama nie będzie miała najmniejszego pojęcia o tym, co się dzieje w kuchni.

Araminta i Hannah postanowiły, że wszystko co możliwe przygotowują w domu. Znaczyło to, że w kuchni markiza odbędzie się tylko ostateczne dekorowanie i podgrzewanie potraw. Podobnie będzie z sosami.

Caro tymczasem, od chwili ich wyjścia na Covent Garden Market, przygotowywała desery, od których była specjalistką.



Były to cukrowe smakołyki o wymyślnych kształtach, które miały stanowić artystyczne zakończenie posiłku.

Sir Gilberta bawiło opisywanie niektórych słynnych przysmaków, o których czytał w wielu książkach.

Dziewczęta pamiętały jego opowieść o słodkich ozdobach stołu króla Henryka V, kiedy sprowadził do Anglii swą żonę, królową francuską Catherine. Szczególnie wyróżniały się figurki siedzącego na gnieździe pelikana oraz świętej Katarzyny otoczonej aniołami.

- Musiały być zbyt piękne, by je zjeść - powiedziała niegdyś Caro.

- Mogę sobie wyobrazić, jak musiały smakować, kiedy zostały już ozdobione i pomalowane brudnymi paluchami - zauważył chłodno sir Gilbert.

Mimo to sotelties były bardzo intrygujące.

Caro przygotowała mały koszyczek cukrowy, ozdobiony różowymi różyczkami i wypełniony posypanym cukrem truskawkami, fiołkami oraz marcepanowymi petit fours.

Dziewczyna zrobiła także oryginalny pudding w formie jeża, złożony ze śmietany, jaj, cukru, pomarańczy, wody, kanaryjskiego wina i proszku z rogów jelenia.

Kiedy nadała mu już odpowiedni kształt, powkładała migdały tak, że wyglądały niczym kolce, i zrobiła oczy z dwu czarnych porzeczek, Araminta wybuchnęła śmiechem.

- To naprawdę danie dla dzieci - powiedziała.

- A kimże innym są ci panowie? - spytała Hannah. - Napychają brzuchy dobrym jedzeniem i nawet nie pomyślą, kto to wszystko przygotował!

- Akurat w tym wypadku wołałabym, żeby markiz o tym nie myślał - odparła Araminta.

Zaplanowała, że Hannah pojedzie razem z nią dorożką do Wayne House, wioząc z wielką ostrożnością gotowe już dania.

Araminta weźmie ze sobą także rachunek za wszystkie poczynione sprawunki. Widniejąca na nim suma wydawała się dziewczynie wręcz astronomiczna.

- Mam nadzieję, że lord nie uzna jej za zbyt wysoką - wymamrotała, podliczywszy dokładnie wszystkie wydatki.

- Jeżeli chce dobrze zjeść, musi za to zapłacić - zauważyła praktycznie Hannah. - I nie zapomnij o swoim wynagrodzeniu... To do ciebie całkiem podobne.

- Nie zapomnę - zapewniła Araminta. - Robimy to przecież dla Harry'ego i wszystko od tego zależy.

Harry zaproponował, że podwiezie ją do Wayne House, ona jednak uznała, że byłoby to zbyt niebezpieczne.

- Gdyby zobaczono nas razem, wzbudziłoby to czyjeś podejrzenia - wyjaśniła. - Hannah pojedzie ze mną.

- I wróci razem z tobą?

- Oczywiście - odparła Araminta.

Odpowiedź zadowoliła Harry'ego i o nic więcej już nie pytał.

Araminta nie sądziła jednak, że Hannah będzie jej potrzebna przez cały wieczór. Była stara i wystarczająco się dziś napracowała: wstała wcześniej rano i pomagała jej w kuchni, na dodatek usługując lady Sinclair.

Gdy Araminta weszła do sypialni matki, ta powiedziała:

- Jutro, kochanie, musimy zacząć kupować nowe suknie dla ciebie.

- Nie ma pośpiechu, mamó - odparła dziewczyna. - Wydaje mi się, że najpierw powinniśmy nieco pomieszkać w nowym domu i rozejrzeć się, nim wydamy jakiegokolwiek pieniądze.

- Jesteś taka praktyczna - uśmiechnęła się lady Sinclair.

- Muszę taka być. - Araminta odwzajemniła uśmiech.

Pocałowała matkę i rzekła:

- O nic się nie martw, mamó. Po prostu odpoczywaj. Wiem, że podróż do Londynu była dla ciebie bardzo męcząca.

- Wszyscy jesteście dla mnie tacy dobrzy... Brakuje mi jednak twojego ojca - westchnęła lady Sinclair.

- Wiem o tym - przytaknęła Araminta. - Połóż się zatem spać i niech on ci się przyśni.

- Zawsze mam na to nadzieję - przyznała lady Sinclair.

Araminta opuściła pokój matki, szybko narzuciła ciemną pelerynę i wyszła na zewnątrz, gdzie w dorożce czekała już na nią Hannah.

- Opiekuj się mamą - poleciała Caro. - Ani przez chwilę nie może podejrzewać, że nie ma mnie w domu.

- O nic się nie martw - odrzekła Caro.

I pomachała na pożegnanie jej i Hannah, kiedy te powoli odjeżdżały, trzymając na kolanach najdelikatniejsze dania.

Araminta spodziewała się, że Wayne House jest duży ale nie wyobrażała sobie, że aż tak duży i piękny, jak okazał się w rzeczywistości.

Mieszczący się przy Park Lane budynek zbudowany w zeszłym stuleciu dziadek markiza.

Z tyłu domu znajdował się ogród, porośnięty olbrzymimi drzewami i mnóstwem rozkwitających krzewów. Bzy i rododendrony sprawiły, że na moment zatęskniła za wsią

Gdy dorożka podjechała do bocznych drzwi, dziewczyna przypomniała sobie, że jest przecież służącą zatrudnioną przez właściciela domu.

Kuchnia, jak oczekiwała, znajdowała się w suterenie. Zeszła na dół po kamiennych stopniach i zadzwoniła do drzwi. Po chwili zjawił się służący w koszuli i kamizelce ze srebrnymi guzikami.

Mimo że miała na sobie prostą pelerynę, a włosy skryła pod głębokim kapturem, chłopak wpatrywał się w nią w osłupieniu.

- Jestem nowym kucharzem - oznajmiła szorstko. - Będę bardzo zobowiązana, jeżeli przyniesiesz z dorożki jedzenie, które ze sobą przywiozłam.

Chłopiec nadal gapił się na nią. Potem, jakby ze zdziwienia postradał mowę, wybiegł, by wypełnić jej dyspozycję.

Araminta przeszła przez kamienny hall i znalazła się w kuchni.

Odczuła ulgę, gdy zobaczyła tam najnowocześniejsze urządzenia kuchenne.

Często słyszała o staroświeckich i brudnych kuchniach. Obawiała się, że markiz, jako kawaler, mógł nie mieć „pieca Rumforda”. Ten amerykański wynalazek zrewolucjonizował gotowanie i sprawił, że wszystkie prace kuchenne stały się o wiele prostsze. Regent ustanowił wysoki standard, urządzając przepiękne i doskonale wyposażone kuchnie w Royal Pavilion w Brighton.

Rozglądając się wokół, Araminta zgañała siebie, że nie domyśliła się, iż ktoś tak bogaty i dobrze urodzony jak markiz Wayne zechce pójść za przykładem jego wysokości.

Jadąc tutaj była trochę niespokojna, że zastanie patelnie, blachy i kociołki wiszące na łańcuchach nad otwartym ogniem, różna do pieczenia mięsa i straszną maszynę na trzech nogach do podgrzewania mięsa. Teraz śmiała się z siebie i ze swoich wyobrażeń. Kuchnia markiza była nie tylko jasna i dobrze wywietrzona, ale także niezaprzeczalnie czysta. Araminta miała jednak zbyt mało czasu, by rozejrzeć się dokładniej, gdyż pomieszczenie zaczynało się wypełniać służącymi i pomocnikami, wpatrującymi się w nią ze zdziwieniem. Wśród nich było kilka kobiet w białych fartuchach i czepkach na głowach - wiedziała, że są to pomoce kuchenne i pomywaczki. Byli także dwaj chłopcy podobni do tego, którego przed chwilą wysłała do dorożki,

oraz dwóch starszych mężczyzn wyglądających na pracowników „do wszystkiego”. Przynieśli węgiel, rozpalili w piecu i pomogli naostrzyć noże.

Matka Araminty opowiadała jej kiedyś o bardzo skomplikowanej hierarchii panującej w olbrzymich domach, lecz dziewczyna nie miała dotychczas okazji doświadczyć tego osobiście.

Spostrzegła kilku bardzo wysokich, przystojnych młodych mężczyzn i po ich bordowo - złotych liberiach zorientowała się, że są lokajami.

Wszyscy milczeli, Araminta zatem uśmiechnęła się i rzekła miłym głosem:

- Dobry wieczór! Nazywam się Bouvais i jestem nowym szefem kuchni.

- Szefem kuchni? - powtarzano zewsząd. Potem, nim ktokolwiek zdołał powiedzieć coś więcej, głęboki, stanowczo brzmiący głos spytał:

- Co się tu dzieje? Nie było wątpliwości, że ten starszawy pan o posturze arcybiskupa jest majordomusem.

Służba rozstała się, by mógł podejść do Araminty. Wyglądał na jeszcze bardziej zaskoczonego niż jego podwładni.

- Jesteś nowym kucharzem? - spytał. - To nie możliwe!

- Niemniej jednak jest to prawda - odparła Araminta. - Pan zaś, jak sądzę, jest majordomusem.

- Nazywam się Henson.

- A ja - panna Bouvais.

Z niejakim wysiłkiem Henson wyciągnął dłoń.

- Bardzo miło mi panią poznać, miss Bouvais. Nie będę jednak taił, że pani obecność tutaj stanowi dla mnie zaskoczenie.

- Spodziewałam się tego - odparła dziewczyna. - I ponieważ wszyscy jesteście tak zaskoczeni, chciałabym prosić o pewną przysługę.

Zgromadzeni stali nieruchomo, wpatrzeni w nią, czekając, co powie.

- Ponieważ pragnę, by jego lordowska mość rozkoszował się dzisiejszą kolacją bez żadnych uprzedzeń - zaczęła Araminta - proszę, byście aż do końca posiłku nie wspominali mu, iż to kobieta gotuje.

Zauważyła niepewność malującą się na twarzy pana Hensona, szybko więc dodała:

- Nie proszę was, byście kłamali, nie sądzę jednak, by markiz pytał o płęć kucharza.

Przerwała na chwilę, chcąc, by do wszystkich dotarło to, co powiedziała.

- Jeżeli major Brownlow będzie chciał się ze mną widzieć, proszę mu powiedzieć, że nie mogę do niego przyjść, ponieważ muszę czegoś dopilnować w kuchni.

Mówiła tak poważnie, z błagalnym spojrzeniem w szarych oczach, a przy tym wyglądała tak dziewczęco, że całkiem niespodziewanie majordomus zaczął się śmiać.

- Widzę, panno Bouvais - rzekł - że zamierza pani zaskoczyć naszego markiza.

- Czemu nie, panie Henson? - odpowiedziała Araminta.

- Zapewniam pana, że choć jestem kobietą, gotuję równie dobrze jak mężczyzna.

- Mam nadzieję, że to prawda - skomentował pan Henson.

Dziewczyna wiedziała, że cokolwiek zarządzi majordomus, zostanie skrupulatnie wykonane przez podwładnych.

W drzwiach pojawił się chłopiec, którego Araminta wysłała do dorożki po jedzenie; w rękach trzymał olbrzymi talerz, na którym spoczywał cukrowy jeż.

- Pani już przygotowała jakieś dania? - spytał majordomus.

- Kilka - odparła z uśmiechem Araminta. - Nie mogłam przyjść tu wcześniej i ufam, że major Brownlow został o tym poinformowany.

- Tak jest - przytaknął pan Henson.

- Może zatem ktoś jeszcze pomógłby przynieść resztę jedzenia z dorożki?

Majordomus strzelił palcami i dwóch chłopców, dotychczas gapiących się na Aramintę, oraz dwóch lokajów pospieszyło, by wypełnić jego rozkaz.

Wkrótce duży stół stojący pośrodku kuchni zappełnił się i Araminta, zdjawszy płaszcz, instruowała pomoce kuchenne, co mają zrobić.

- Jest tu gdzieś chłodziarka - bardziej stwierdziła, niż spytała, „szefowa kuchni”.

- Tak, proszę pani - odparła jedna z pomocy i otworzyła boczne drzwi.

Właśnie taką chłodziarkę - wyłożoną marmurowymi płytami - Araminta spodziewała się znaleźć. W środku były misy ze śmietaną, pieczona wołowina, baranina oraz kurczaki.

Niektóre z przywiezionych przez nią dań poukładano na wolnych płytach.

Majordomus i służący, którzy jej nie pomagali, wpatrywali się w łososia, kupionego rano na targu.

- Czy to łosoś? - spytał pan Henson.

- Tak! - przytaknęła Araminta.

- Zapieczony w cieście?

- Jak widać.

- Nigdy czegoś takiego nie widziałem!

- Jest przyrządzony na sposób rosyjski - wyjaśniła Araminta.

Nie powiedziała, że przepis na to danie przywiózł jej ojciec z jednej ze swoich podróży i że była to jego ulubiona potrawa.

Wiedziała, że ryba w specjalnym sosie, obłożona drobno posiekanymi grzybami i zawinięta w lekkie ciasto, wzbudzi należne zainteresowanie nawet na stole takiego smakosza, jakim był markiz.

To samo dotyczyło każdego przygotowanego przez nią dania.

Baranina była nadziana mulami oraz śledziami i polana sosem z rzeżuchy.

Araminta zamierzała także drobno posiekać jabłka i wymieszać je z chrzanem, żeby uzyskać sos do mięs.

Cotelettes d'agneau Maintenon, wymyślone na cześć madame de Maintenon, były delikatne i pyszne - doprawdy godne grands seigneurs, którzy niegdyś je jedli.

Rozpoczęła pracę od ułożenia dań w kolejności, w jakiej będzie ich potrzebowała. Potem przygotowała odpowiednie sosy.

Następnie ozdobiła niektóre z dań winogronami, pomidorami, pomarańczami, cytrynami, pieprzem angielskim, zielonymi oliwkami i selerem. Inne otoczyła liśćmi i kwiatami.

- Nigdy w życiu nie widziałam kwiatów na talerzu! - wykrzyknęła jedna z pomocnic.

- Teraz widzisz, jak ładnie wyglądają - powiedziała Araminta. - Ozdóbmy ten pudding różami różowymi, a ten mus czekoladowy - białymi.

Pracowały razem około półtorej godziny, gdy służące oświadczyły, że już czas na ich posiłek. - Zawsze jemy



wcześniej - wyjaśniły. - Potem możemy lepiej służyć jego lordowskiej mości.

Araminta udała się z nimi do jadalni, gdzie było przygotowane jedzenie, które wzbudziłoby uśmiech politowania na twarzy jej ojca i którego zawsze starał się unikać.

Olbrzymie kawały czerwonej wołowiny, świeżo ugotowany salceson, grubo pokrojona szynka, kurczaki. które mężczyźni uważali za „babskie jedzenie”, oraz ciężkie puddingi nadziewane rodzynkami...

Był także świeżo upieczony chleb, masło i piwo dla każdego, kto miał na nie ochotę.

Służący zaczęli jeść zachłannie i głośno, ale Araminta uszczknęła tylko kawałek kurczaka i kawałek ozorka była bowiem zbyt niespokojna, by odczuwać głód.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziała nieśmiało - ale chciałabym dokończyć sosy.

- Nie będziemy pani zatrzymywali, panno Bouvais - rzekł majordomus. - Wszyscy widzimy, jak bardzo chce pani zaskoczyć naszego pana. Jestem pewien, że to się pani uda!

Araminta uśmiechnęła się do niego i wróciła do kuchni.

Jest jeszcze dużo do zrobienia, pomyślała i podeszła do chłodziarki, by zerknąć na pozostawione tam potrawy.

Z jej gardła wyrwał się okrzyk przerażenia: w środku siedział rudy kot i wylizywał krem!

- Psik! Psik! Wynoś się stąd! - krzyknęła.

Kot zeskoczył na podłogę i wówczas zajrzała do środka, by zobaczyć, jakich narobił szkód.

W misce były jajka i śmietana, będące podstawą creme brulee. Araminta zamierzała zmieszać je z cukrem i podgrzać, aż warstwa cukru stopi się w złotobrazowy karmel o konsystencji toffi. Ale w tej sytuacji trzeba było wszystko wyrzucić i nie było czasu na przygotowanie kremu od nowa.

Postawiła miskę na podłodze i powiedziała do stojącego w kącie kota:

- Teraz możesz tu przyjść, żarłoku, i dokończyć, co zacząłeś. Miejmy nadzieję, że niczego więcej nie ruszysz!

Gruby kocur zbliżył się do miski i z nie ukrywaną przyjemnością zaczął wylizywać krem.

- To wyjątkowo drogie danie dla kota - ciągnęła Araminta. - Nadwątliliś moje menu i powinnam być na ciebie bardzo zła.

Pomyślała jednak, że sotelties, które przygotowała Caro, wyglądały tak okazale, że goście nie powinni być zainteresowani niczym innym.

Oprócz olbrzymiego jeża i cukrowego koszyczka były także inne słodczyce, sporządzone według przepisów, które ojciec znalazł w siedemnastowiecznych książkach kucharskich.

Szkoda, że nie miałam więcej czasu, pomyślała Araminta. Mogłybyśmy z Caro zrobić jeszcze „grecką świątynię”, taką jaką kiedyś zrobiłyśmy na urodziny taty, a może i nawet „zamek” z toczącą się wokół bitwą.

Spojrzała na kota, myśląc, że musi go wypędzić, nim zdoła jeszcze coś spsocić.

Nie mogła uwierzyć własnym oczom: kot leżał nieruchomo na boku obok miski!

Jak to możliwe, że tak szybko zasnął?, zastanowiła się. I w chwili, kiedy zadała sobie to pytanie, wiedziała już, że coś jest nie w porządku.

Pochyliła się, by dotknąć zwierzę. Jego ciało było ciepłe, ale wargi - w nienaturalny sposób wygięte - zdecydowanie za bardzo odstawały od zębów. Zielone oczy miały wyraz, który Araminta kiedyś już widziała.

To zdawało się niemożliwe, ale rudy kot był martwy!

Przez kilka sekund klęczała obok niego. Potem spojrzała na opróżnioną do połowy miskę i przyszło jej na myśl straszne podejrzenie: do kremu dosypano trucizny!

Ale kto to zrobił? I dlaczego?

Przez chwilę nie mogła pozbierać myśli.

Wiedziała jedno - jeżeli ktokolwiek podczas kolacji podzieliliby los kota, było oczywiste, na kogo padłoby podejrzenie o morderstwo.

Dla nikogo nie ulegałoby wątpliwości, że jako siostra Harry'ego miała powody, by otruć człowieka, który był wierzycielem jej brata.

Powtarzała sobie, że to wszystko jest jedną wielką niedorzecznością, ale przecież obok niej leżał martwy kot; kot, który jeszcze kilka minut temu był jak najbardziej żywy i łakomy!

Wstała.

Cokolwiek by się działo, pomyślała, nikt się nie może dowiedzieć o losie kota, postanowiła.

Wszyscy by długo rozprawiali, a najmniejsze podejrzenie, że w jedzeniu może być trucizna, wzbudziłoby niebывały popłoch i zamieszanie.

Nie mogła także uciec, by uniknąć nieprzyjemnej sytuacji, bo naraziłaby na szwank dobre imię generała

Z niepokojem przyglądała się pozostałym potrawom. Czy coś jeszcze mogło zostać zatrute?

Dosypanie trucizny do jeża, cukrowego koszyczka i innych słodczy wymagałoby naruszenia ich kunsztownego kształtu. Wszystko jednak wyglądało dokładnie tak, jak w chwili gdy wkładała desery do chłodziarki.

Tylko creme brulee pozostawiła nie dokończone łątwo więc było dosypać do niego trucizny.

Gdyby nie zachłanność kota, nikt by niczego nie podejrzewał.

Araminta była przerażona, ale wiedziała, że musi coś zrobić, i to szybko. Tylko co?

Po pierwsze, trzeba się pozbyć martwego kota.

Podniosła go i zauważyła, że zaczął już sztywnieć, co przypomniało jej śmierć własnego kota dwa lata temu. Był stary i chory, matka więc orzekła, że trzeba go uśpić.

Ogrodnik podał mu trutkę na szczury, która zadziałała prawie natychmiast.

Martwy Humbo wyglądał bardzo podobnie do tego rudzielca, którego teraz trzymała w rękach.

Został otruty! - pomyślała. Jestem tego pewna!

Zaniosła kota do zmywalni i zamknęła w szafce pod zlewem.

Wróciła do chłodziarki, wzięła miskę, szybko wyrzuciła z niej resztki kremu i umyła naczynie.

Właśnie je wycierała, gdy do zmywalni weszła jedna z pomocnic.

- Przyszłam zobaczyć, czy mogę panience w czymś pomóc.

- Dziękuję - odparła Araminta. - Ciągłe jest dużo do zrobienia.

- Co było w tej misce? - spytała dziewczyna, patrząc na naczynie w jej rękach.

- Miał być creme brulee - odpowiedziała Araminta - ale składniki się zsiadły i musiałam wszystko wyrzucić.

- To wielka szkoda, panienko, ponieważ creme brulee należy do ulubionych potraw markiza. Monsieur Gustave przygotowywał go raz, dwa razy w tygodniu. Araminta odstawiła miskę i spytała:

- Czy monsieur Gustave już opuścił dom?

- Tak, panienko. Poszedł sobie wczoraj, a jaki był zły!

- I już nie wracał?

- To zabawne, że panienska pyta. Henry, jeden z lokajów, właśnie mówił, że Gustave wróci dziś po południu, bo zostawił jeszcze jakiś bagaż.

- Gdzie był ten bagaż?

- W korytarzu - wyjaśniła służąca. - Monsieur Gustave miał go dziś odebrać.

- Czy bagaż był tam, kiedy przyjechałam? - wypytywała dalej Araminta.

- Tak. Widziałam go, zanim Jim poszedł otworzyć paniencie drzwi.

Araminta ruszyła w kierunku kuchni.

- Możesz pójść zobaczyć, czy ciągle tam jest?

Służąca spojrzała na nią ze zdziwieniem, ale nauczono ją, by nie zadawać żadnych pytań.

Wyszła kuchennymi drzwiami i po chwili wróciła, oznajmiając:

- Nie ma! Monsieur Gustave musiał zabrać wszystko, kiedy jedliśmy.

Araminta milczała.

Już wiedziała, kto zatrzał creme brulee. Gustave domyślał się, że - mając wybór - markiz na pewno zażyczy sobie ten właśnie przysmak.

Nie mogła powstrzymać się od myśli, że niechybnie zostałaby oskarżona o otrucie Wayne'a. Jeżeli nawet markiz nie umarłby, jak mogłaby dowieść, że jest niewinna i że nie była zainteresowana w jego śmierci?

Przez chwilę było jej słabo, gdy pomyślała o skandalu, jaki by to wywołało.

Mogliby zamknąć ją w Old Bailey, w sprawę zostałby zamieszany Harry, a podejrzenie, że to właśnie brat poprosił ją o pomoc w spłaceniu swojego długu, przyniosłoby hańbę całej rodzinie.

Już wszystko w porządku, powtarzała sobie, walcząc z ogarniającymi ją zawrotami głowy. Jesteś uratowana!

Uratowana, ponieważ rudy kot okazał się wyjątkowym łakomczuchem!

### Rozdział 3

- Jesteś dziwnym człowiekiem, mój panie.

Markiz Wayne uśmiechnął się do swojej rozmówczyni i pomyślał, jak wiele razy przedtem, że dziewczyna wygląda uroczo.

Jej ciało było idealne: jędrne piersi i wąska talia...

- Co jest we mnie dziwnego? - spytał. Harriette Wilson zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Trudno to wyrazić, ale jest coś, co nas dzieli, nawet w najbardziej intymnych momentach. Odnoszę wrażenie, że między nami jest jakaś bariera...

- Jeżeli jest jakaś bariera - odparł markiz - to pragnę cię zapewnić, że istnieje ona dla każdego i nie dotyczy tylko ciebie.

- Właśnie to podejrzewałam - odparła Harriette - i zastanawiałam się nad tym. Dlaczego trzymasz nas wszystkich, a może i cały świat, na dystans?

- Naprawdę tak jest? - zdziwił się markiz.

Ale sposób, w jaki mówił, bezbłędnie zdradzał, że doskonale zdaje sobie sprawę z prawdziwości jej słów.

- Każda kobieta - odezwała się znów Harriette - uważałaby cię za najbardziej atrakcyjnego mężczyznę, najbardziej zadowolającego i doświadczonego kochanka...

- Dziękuję, Harriette - odparł markiz. - Wysoce sobie cenię tego rodzaju komplementy, szczególnie gdy pochodzą od takich ekspertów sztuki miłosnej jak ty.

- Tak sobie myślę... - powiedziała cicho Harriette.

Rozbawiona, wesoło przewracała oczyma, a jej ponętne czerwone usteczka złożyły się w prowokujący uśmiech.

- Wydaje mi się - skończyła po chwili - że pod maską zwycięzcy coś skrywasz. Tylko co?

Markiz nie odpowiedział, dziewczyna więc mówiła dalej:

- Rozumiem, co twoi przyjaciele, a może powinnam powiedzieć: wrogowie, mają na myśli, gdy mówią, że jesteś nieznośnie pewien siebie. Czasami zastanawiam się, czy w głębi serca też jesteś tak wszechmocny, jakim

chcesz, by cię widziano?

- Nie podoba mi się takie wkładanie mojej osoby pod mikroskop - rzucił ostro markiz. - Poza tym, jak dobrze wiesz, nigdy nie mówię o sobie.

- Zdziwiająca, ale to prawda - zgodziła się Harriette. - Jesteś bodajże jedynym mężczyzną spośród moich znajomych, który nie lubi o sobie mówić.

- Cieszę się, że jestem wyjątkiem - uśmiechnął się markiz. - A teraz porozmawiajmy o tobie.

Objął ją, przyciągnął do siebie i gdy już miał ją pocałować, dziewczyna odwróciła głowę.

- Chcę poznać prawdę - zażądała. - Dlaczego nie jesteś taki nieskomplikowany, jak ci wszyscy mężczyźni, z którymi się kochałam? Dlaczego tak trudno cię przeniknąć?

- Może po prostu lubię zagadki! - wybuchnął śmiechem markiz, po czym zręcznym ruchem odwrócił ją ku sobie i przykrył jej usta pocałunkiem.

Początkowo miał zamiar zabrać Harriette Wilson na przejażdżkę swym nowym powozem, ale ponieważ padało, spędzili całe popołudnie w nieco bardziej zabawny i o wiele intymniejszy sposób.

Harriette była jedną z lepiej znanych osób w Londynie. Wywodziła się z całkiem przyzwoitej rodziny i oprócz wyjątkowej urody natura obdarzyła ją także nieprzeciętną inteligencją.

Mówiła płynnie po francusku i doskonale orientowała się w literaturze.

Jeden z jej pierwszych kochanków, czcigodny Frederick Lamb, syn lorda Melbourne'a, pomógł jej rozwinąć wrodzone



talenty, czytając na głos Szekspira, Wergiliusza, Milтона i Johnsona.

Harriette uwiódł lord Craven, kiedy miała piętnaście lat. Po nim przyszło wielu innych, z równie wyśmienitych rodzin.

Była wyjątkowo wybredna i ostatnio - od kiedy ksiązę Wellington zapłacił pani Porter sto funtów za przedstawienie go Harriette - prawie nieosiągalna.

Pani Porter zbiła majątek na poznawaniu arystokratów z młodymi, pięknymi kobietami o wątpliwej cnocie.

Ustalono wszystkie szczegóły pierwszego spotkania księcia i Harriette, ale gdy już do niego doszło, dziewczyna potraktowała gościa wyjątkowo nieuprzejmie.

Długo opowiadano w klubie „White's”, jak to wielki wódz udał się do domu Harriette, gdzie został odprawiony przez księcia Argyle'a.

Wychylając się z okna, ubrany w czepek Harriette, żartowniś udawał, że jest jej niańką, zbyt głuchą i ślepą, by poznać dystyngowanego gościa.

Harriette opowiedziała markizowi, jak, Wellington zdjął kapelusz i, stercząc na deszczu, krzyknął do Argyle'a:

- Ty stara idiotko! Jeszcze mnie nią poznajesz?

- Nie, panie! - padła odpowiedź. - Nie mam najmniejszego pojęcia, kim jesteś!

Po czym rzekoma niania zaśmiała się i dodała:

- Jakkolwiek by było, dwie osoby w łóżku wystarczą!

Pomimo całej swojej złośliwości panna Wilson nigdy jednak nie unikała markiza.

Co więcej, przez pewien czas sama nawet dążyła do spotkań z nim, gdyż . - w przeciwieństwie do wielu ubiegających się o jej względy mężczyzn - Wayne, traktując ją zawsze uprzejmie, zachowywał przy tym dystans i rezerwę.

Było w nim coś, co ją pociągało o wiele bardziej, niż przyznawała przed samą sobą.

Nie była to jego uroda, mówiła sobie, chociaż był równie przystojny jak lord Ponsonby, w którym od kilku lat się kochała.

Nie było to także jego bogactwo, jako że otaczało ją wielu mężczyzn gotowych spełnić wszelkie jej zachcianki.

Nie chodziło również o jego konie, szpady czy pistolety...

W końcu doszła do wniosku, że chodzi o dwie rzeczy: o jego doskonałe maniere, gdyż jej własne były odwrotnie proporcjonalne do urody, i o tę właśnie nieopisaną wręcz rezerwę, z jaką traktował cały świat.

Mając tylu mężczyzn u swoich stóp, Harriette - tak jak wszystkie kobiety - pragnęła, by oczarował ją ktoś inny, ktoś wyjątkowy. Bez wątpienia tym kimś z powodzeniem mógł być markiz.

Jako że większość jej kochanków należała do klubu „White's”, znała ona wszystkie skandale, zanim zdołały dotrzeć do salonów Mayfair, a także opinie mężczyzn na swój temat.

Lord Alvanley, do którego miała słabość i którego darzyła przyjaźnią, lord Yarmouth i lord Worcester - wszyscy rozprawiali o markizie.

Na długo nim go poznała, intrygował ją; wiedziała, że jest coś, co odróżnia go od innych członków klubu.

A gdy wreszcie udało jej się zaciągnąć go do swojej sypialni, stwierdziła, że w przeciwieństwie do reszty kochanków, markiz wymyka jej się nadal. Miała dość inteligencji, by zauważyć, że było w nim coś poza jej zasięgiem, coś jak błędny ogień, czego nie uda jej się nigdy osiąść.

Lubiła przebywać w towarzystwie markiza, gdyż był nie tylko wspaniałym kochankiem, ale także bardzo inteligentnym partnerem do konwersacji. Ceniła jego dowcip, wykształcenie i miała doń tylko jedno zastrzeżenie - że nie spędzał z nią

tyle czasu, ile by chciała. Niemniej szkoła życia nauczyła Harriette cieszyć się tym, co się ma.

Trzy siostry świadomie wybrały taki sposób na życie i utworzyły - jak to trafnie nazwał jeden z członków klubu - diabelską trójkę.

Sophie, młodszą siostrę Harriette, sprowadził na złą drogę lord Deerhurst, przy wydatnej pomocy lorda Berwicka. Udało jej się przekonać tego ostatniego, by się z nią ożenił, i od dwóch lat z olbrzymiego pałacu na Grosvenor Square roztaczała opiekę nad pozostałymi siostrami.

Amy, po nieudanym małżeństwie, znowu była „na mieście”. Często widywano ją w operze, w otoczeniu wielu modnych i szlachetnie urodzonych kawalerów. Od jej towarzystwa nie stronił nawet Beau Brummell.

Jednakże to Harriette bez wątpienia była najatrakcyjniejszą z sióstr i żadna kobieta w Londynie nie mogła z nią konkurować pod względem urody i wdzięku.

- To całkiem normalne, że Wayne, z tym swoim diabelnym szczęściem, zdobył względy Harriette - gorzko komentowano ich znajomość. - Do czasu pojawienia się markiza, była zainteresowana mną! - zapewniało wielu.

- Nie masz szans rywalizować z Wayne'em, przyjacielu. Obaj dobrze wiemy, że on zrobi wszystko, by się okazać zwycięzcą.

- Dałbym tysiąc funtów, żeby zobaczyć, jak ktoś utrzyma mu nosa.

Z tonu głosu mówiącego łatwo jednak było poznać, że wiedział on, iż to płońne nadzieje.

Markiz, pocałowawszy Harriette, uwolnił się z jej objęć i powiedział:

- Muszę cię teraz zostawić. Wieczorem goszczę regenta na kolacji, czas więc wrócić do domu.

- To będzie duże przyjęcie? - spytała dziewczyna.

- Około dwudziestu osób - odpowiedział markiz. - Mam nowego kucharza i chcę widzieć wyraz twarzy księcia, kiedy uświadomi sobie, że mój szef kuchni jest lepszy niż jego.

- Czy to możliwe?

- Tak, ale ja sam nie wierzyłem w to do wczoraj.

- A cóż takiego wydarzyło się wczoraj? - zainteresowała się Harriette.

- Generał Bracknell oznajmił w klubie, że ma kucharza lepszego niż Careme - wyjaśnił markiz.

Uśmiechnął się, nim zaczął mówić dalej:

- Musiałem podjąć to wyzwanie, ponieważ zawsze wierzyłem, że Careme nie ma sobie równego w tym kraju.

- Ja też byłam o tym przekonana - przytaknęła skwapliwie Harriette.

- Otóż myliliśmy się. Jest pewien człowiek o nazwisku Bouvais, który gotuje lepiej niż wszyscy kucharze, jakich do tej pory znałem.

- Jak to więc możliwe, że nie zostałam jeszcze zaproszona na dzisiejsze przyjęcie?

- To przyjęcie jest tylko dla prawdziwych smakoszy, najdroższa - odparł markiz. - A ty przecież nie interesujesz się jedzeniem?!

- Lubię dobre jedzenie - odparła z przekonaniem Harriette.

- Jednakże jest różnica pomiędzy tym doskonałym jedzeniem, którym ty mnie uraczyłaś, a tym, którym mam zamiar rozwścieczyć regenta dziś wieczór.

- Jestem coraz bardziej zaciekawiona i - muszę przyznać - lekko zazdrosna.

- Zaproszę cię na kolację w przyszłym tygodniu - obiecał markiz. - I przyrzekam, że nie będziesz rozczarowana.

- Nigdy nie byłam rozczarowana czymkolwiek w twoim domu - odparła Harriette. - Jedzenie, tak jak i cały dom, jest znakomite.

Uśmiechnęła się i po chwili dodała:

- To interesujące, że każdy mężczyzna ma bzika na jakimś punkcie. Twoim jest wyszukane jedzenie.

- Nie zaprzeczam - uśmiechnął się markiz.

- A lord Yarmouth uwielbia antyki. Kiedy ostatnio byłam u niego na obiedzie, pokazał mi swoją kolekcję złotych i srebrnych monet, obrazów i tabakierok, z których był bardzo dumny.

Markiz wyglądał na znudzonego.

- Lord Yarmouth ma także „gniazdko miłości” w Hyde Parku - dodała Harriette.

Wayne nieco się ożywił.

- Mały pokój i sypialnia - wyjaśniła dziewczyna - Wszystko jest utrzymane w najgłębszej tajemnicy - wybuchnęła śmiechem.

- Kiedyś mi opowiedział, jak odkrył przypadkiem, że pewna bardzo ważna dama miała romansik z młodym dragonem. Obiecał jej utrzymanie tego w tajemnicy pod warunkiem, że owa dama uczyni go tak samo szczęśliwym, jak uczyniła dragona.

- Czy to uczciwe? - spytałam go.

- Może i nie - odparł - ale nie mogłem się powstrzymać?

Markiz się roześmiał.

- Obaj z regentem uwielbiacie dobre jedzenie - stwierdziła Harriette. - Nie wiem zatem, dlaczego chcesz go zdenerwować. On tak nie lubi przegrywać! Wychwalał zdolności Careme'a od czasu, kiedy sprowadził go z Francji.

- Słyszałem to już dziesiątki razy - odparł markiz.

- I zamierzasz sprawić, by jego królewska wysokość zajął drugie miejsce - raczej stwierdziła, niż zapytała Harriette. - Szczerze mówiąc, wydaje mi się to po prostu nieuprzejme z twojej strony.

Po chwili wybuchnęła głośnym śmiechem.

- To chyba jest jednak typowe dla ciebie zachowanie! Czy zawsze masz to, czego chcesz?

- Zawsze! - odparł krótko markiz.

Na twarzy Harriette zawitał grymas niezadowolenia.

- Jesteś nieznośnie zarozumiała - oświadczyła. - Choć przyznaję, że masz mnóstwo powodów, by takim być.

Wayne uniósł jej dłonie do swych ust.

- Dziękuję, Harriette,

Dobrze wiedziała, że dziękował jej nie tylko za komplement.

Markiz podszedł do drzwi. Była wściekła, że to ona musi zadać pytanie, które powinno, jak sądziła, paść z jego ust:

- Kiedy się znowu zobaczymy?

- Będziemy w kontakcie - odparł sucho. - Zapewniam cię, że w najbliższych dniach będziesz miała okazję poznać kuchnię mistrza Bouvais.

Zamknął za sobą drzwi. Harriette wsłuchiwała się w odgłos jego kroków, gdy schodził po schodach. Potem rzuciła się na pogniecione jedwabne prześcieradła okrywające jej łożo. Drażniło ją, że markiz znowu był górą, i takiego uczucia nie wywołał w niej dotąd żaden inny mężczyzna.

Mimo że padał deszcz, markiz pojechał do Wayne House swoim odkrytym powozem. Jeżeli bowiem było coś, czego naprawdę nie lubił, była to jazda zamkniętym powozem. Czuł się wtedy niemiłosiernie skrepowany, ograniczony, a tego uczucia nie mógł ścierpieć.

Deszcz i chłodny wiatr smagający jego twarz zdawały się dodawać mu sił, toteż gdy zatrzymał się przed portykiem swego domu, wyglądał jak okaz zdrowia.

Rzucił lokajowi cylinder i płaszcz i natychmiast skierował swe kroki do biblioteki.

- Powiedz majorowi Brownlowowi, że chcę z nim mówić  
- rozkazał lokajowi, który otwierał mu drzwi.

- Tak jest, jaśnie panie.

Na biurku markiza leżała, jak się tego spodziewał, lista osób, które przyjęły jego zaproszenie na dzisiejszą kolację. Nie był zdziwiony stwierdziwszy, że mimo iż zaproszenia wystosowano dopiero dziś rano, nikt nie odmówił swojego udziału w wieczerzy.

Regent przyprowadzał ze sobą dwóch znakomitych zagranicznych gości, przebywających chwilowo w Carlton House. Na przyjęcie zostali też zaproszeni najbliżsi przyjaciele markiza, wśród nich lord Alvanley, z którym jadł wczoraj kolację, oraz generał.

Wayne wahał się, czy umieścić nazwisko Bracknella na liście gości. Doszedł jednak do wniosku, że niezaproszenie go na kolację przygotowaną przez jego własnego kucharza byłoby przejawem złych manier.

Markiz był niezmiernie ciekaw, w jaki sposób generałowi udało się pozyskać tak wyśmienitego szefa kuchni. Był świadom kłopotów finansowych swojego byłego dowódcy, wczoraj wieczorem próbował dociec, gdzie wcześniej pracował Bouvais, ale niczego nie udało mu się dowiedzieć.

Planował poprosić księcia regenta o zadanie generałowi kilku pytań, na które trudno mu będzie odmówić odpowiedzi. Jeżeli zawiedzie księżę, pozostanie jeszcze lord Yarmouth.

Lord Yarmouth, syn markiza Hertforda, był bliskim przyjacielem jego wysokości, chociaż jego matka uchodziła za kochankę regenta. Niektórzy utrzymywali, że gdyby lord był

prawdziwym dżentelmenem, zrzekłby się wszelkich pretensji do tronu.

Lord Yarmouth miał wrogów i w tajnym głosowaniu zdecydowano nie przyjmować go w poczet członków klubu „White's”. To wydarzenie jednak bynajmniej nie zaszkodziło jego towarzyskiej pozycji, gdyż był człowiekiem obdarzonym wielkim urokiem osobistym, hojnością i rozległą wiedzą na temat wszystkiego, co było wielką sztuką.

Lord i regent spędzali razem wiele czasu, kupując obrazy i gromadząc kolekcję, która pewnego dnia - markiz był tego pewien - stanie się bogactwem narodowym.

Markiz wpatrywał się w listę gości, gdy otworzono drzwi i stanął w nich major Brownlow.

Jeszcze niedawno chodził o kulach, lecz teraz miał już drewnianą protezę i laskę do podpierania. Poruszał się wolno i gdy tylko znalazł się w pokoju, markiz wskazał mu krzesło po drugiej stronie biurka.

- Mam nadzieję, Brownlow - zaczął markiz - że dzisiejsza kolacja dorówna wspaniałością wczorajszej.

- Ja również, panie.

- Powiedziałaś kucharzowi, że spodziewamy się jego królewskiej wysokości?

Major Brownlow wahał się przez chwilę, nim odrzekł:

- Poinformowano go, panie.

- A widziałeś menu?

- Mam je przy sobie - odparł major. - Henson dał mi je jakieś pół godziny temu, gdy przybył kucharz.

Markiz wyglądał na zaintrygowanego.

- Gdy przybył kucharz? - powtórzył. - Czy chcesz przez to powiedzieć, że nie było go tu rano?

- Bouvais przynosi ze sobą wiele dań już gotowych - wyjaśnił Brownlow. - Taką ma metodę pracy, a ponieważ



jest zatrudniony tylko czasowo, nie widziałem żadnego powodu, żeby na to nie przystać.

- Oczywiście - zgodził się markiz. - Ale to dziwne... I zakładam, że to on kupuje produkty, a potem zawiąza rachunki?

- Nie sądzę - odparł major. - Wczoraj przysłał mi część rachunków, dzisiaj otrzymałem kilka następnych. Wszystko zakupiono na targowiskach. Mimo że za towar w najlepszym gatunku płacił gotówką, rachunki nie budzą najmniejszych zastrzeżeń.

Markiz uniósł brwi.

- W takim razie, skoro nie oszukuje przy rachunkach, jest zupełnie inny niż wszyscy poprzedni kucharze, których zatrudnialiśmy.

- To prawda!

- Coś ci powiem, Brownlow - powiedział markiz, siadając za biurkiem. - Chociaż ten kucharz jest drogi, to chyba zatrzymamy go na stałe.

- Już o tym myślałem. Dobrze byłoby, gdyby został u nas do końca sezonu, kiedy to, jak sądzę, uda się pan na wieś lub do Brighton wraz z jego wysokością.

- Błędem byłoby pozwolić mu odejść - zauważył markiz. - Jeżeli nie zechce wyjechać z Londynu na lato, może tu zostać i nic nie robić przez te kilka miesięcy. Lepsze to niż strata na zawsze.

- Myślałem dokładnie tak samo - przyznał major Brownlow.

- Jakim jest człowiekiem ten nasz nowy kucharz? - spytał markiz.

Major znowu się zawahał. Wiedział jednak, że markiz oczekuje odpowiedzi, odrzekł więc:

- Prawdę mówiąc, panie, jeszcze go nie widziałem.

- Nie widziałeś?! - zdziwił się markiz. - Jak to?

- Prosiłem, żeby przyszedł do mojego biura wczoraj przed kolacją, po wypłaceniu mu honorarium i zwróceniu kosztów produktów. Bouvais przekazał jednak przez Hensona, że akurat nie może opuścić kuchni.

- To zrozumiałe - przytaknął Wayne.

- Kiedy po pierwszym daniu zdecydowałeś, panie, że dzisiaj także wydasz kolację, powiedziałem Hensonowi, że chciałbym porozmawiać z Bouvais, zanim opuści ten dom. Niestety, było już za późno - kucharz właśnie wyszedł.

- Być może jest nieco nerwowo - domyślał się markiz. - Tylko go niczym nie zdenerwuj przed kolacją, Brownlow. Wiesz, jacy są ci Francuzi.

- O, tak! - przytaknął skwapliwie major.

- Jeżeli jest taki skromny i chce takim pozostać, pozwól mu na to. Powiadom go, że pragnę, aby pozostał z nami na czas nieokreślony, pod warunkiem, że jedzenie będzie równie doskonale jak teraz.

- Jestem pewien, że się ucieszy, ale będzie nas to kosztowało astronomiczną sumę. Być może zgodzi się na mniej, jeśli zostanie na stałe.

- To bez znaczenia - stwierdził markiz znudzonym głosem. - Jeżeli chce się najlepszego, trzeba za to płacić!

- To prawda, panie.

W kuchni przygotowane przez Aramintę dania stały się obiektem zachwyty z gromadzonej wokół stołów służby. Wczoraj wszyscy zachwycili się koszyczkiem cukrowym, przygotowanym przez Caro, ale dzisiaj jeszcze większe wrażenie zrobił olbrzymi biały łabędź z wiśniami na grzbiecie, pływający po jeziorze zielonej galaretki, otoczony złotymi kaczeńcami i liśćmi dzięgielu.

Caro miała czas, by przygotować maleńki domek z lukru, przybrany cukrowymi muchomorami. Było to danie dla dzieci, ale - dowiedziawszy się, że jeż okazał się tak wielkim

sukcesem - Araminta pomyślała, iż ta bajkowa chatka również się spodoba.

Wybrane przez nią potrawy należały do ulubionych jej ojca, zwłaszcza Rognons Sautes au Champagne - cynadry gotowane w szampanie, i Timbale de filets de Sole Cardinal, czyli plasterki homara z grzybami, owinięte solą i otoczone truflami.

Araminta obawiała się, że sola może być nieświeża, ale Hannah stwierdziła, że wszystko jest w zupełnym porządku, a jej opinii nie wypadało kwestionować.

Dziewczyna żałowała, że nie był to sezon na kuropatwy, bażanty, bekasy czy słonki; potrafiła je przyrządzać na zupełnie nowy sposób, który niewątpliwie przypadłby do gustu markizowi.

Na szczęście były jeszcze przepiórki - a la Richelieu albo z Chateau Yquem i sosami z różnych części Europy, którymi zamaskowała też zwyczajne kaczki, gęsi i kurczaki.

Co zapewne spodobałoby się jej ojcu - markiz miał doskonale wyposażoną piwnicę. Majordomus był nieco zaskoczony, gdy Araminta zażyczyła sobie do przyprawienia dań nie tylko dobrego szampana, ale także najlepszego czerwonego wina, najprzedniejszej brandy i porto, które jego pan smakował z wielkim nabożeństwem.

- Gustave używał tylko najtańszych win - zaproponował z wyrzutem.

- Nie jestem Gustave - odparła dziewczyna - a moje potrawy wymagają najlepszych win.

Rad nierad, narzekając cicho, pan Henson przyniósł butelki i powoli postawił je na stole.

- Dla mnie to czyste marnotrawstwo - powiedział. - Wina powinny być pite oddzielnie, a nie mieszane z jakimiś tam kremami!

- Kiedy popróbujesz sosów, które zrobię z ich dodatkiem, zrozumiesz, dlaczego były takie ważne - uśmiechnęła się Araminta.

Doskonale zdawała sobie sprawę, że majordomus - będący postrachem całej służby - wobec niej zupełnie skapitulował.

W rzeczy samej, był dumny, że przygotowane przez Aramintę dania, które wnosił do jadalni, otrzymywały tyle komplementów od dżentelmenów zgromadzonych przy stole markiza.

Opowiedział jej, że kiedy postawił przed markizem cukrowy koszyk, ten uniósł swój kieliszek w kierunku generała i rzekł:

- Poddaję się, generale! Jesteś zwycięzcą tego turnieju i nikt z obecnych tutaj temu nie zaprzeczy!

- Cieszę się, że jesteś zadowolony - odparł generał, nieco zakłopotany. Nie potrafił jednak ukryć cisnącego mu się na usta uśmiechu zadowolenia.

- Co zamierzasz powiedzieć regentowi? - spytał lord Alvanley. - Musisz przecież coś powiedzieć, bo każdy w klubie czeka na ocenę dzisiejszego posiłku.

Markiz wybuchnął śmiechem.

- Mogę po prostu powiedzieć: Le Rod wor mort! Vive le Roi!

- On nie spocznie, dopóki nie odbije ci tego kucharza - zachichotał lord Alvanley.

- Chyba po moim trupie! - odparł markiz.

Wszyscy śmiali się z tego, a majordomus pospieszył do kuchni, by powtórzyć Aramincie to, co usłyszał.

Henson mógł porozmawiać z nią tylko przez chwilę, toteż odwracając się, rzucił przez ramię:

- I proszę nie zapomnieć, panno Bouvais, że major Brownlow chce się widzieć z panią przed jej wyjściem.

Araminta odczekała, aż zniknął w drzwiach, i zwróciła się do Jima, chłopca, który wprowadził ją do domu:

- Czy możesz wezwać mi dorożkę?

- Oczywiście, panienko.

Chłopcy byli już jej niewolnikami, ponieważ dała im resztki puddingu, pozostałe po dekoracji dań.

- Monsieur Gustave nigdy nie pozwalał nam niczego dotykać w kuchni - powiedział jeden z nich.

- Ja także nie chciałabym, byście czegokolwiek dotykali - odparła Araminta - ale to, co wam daję, jest czymś zupełnie innym. W misce zostało jeszcze sporo musu czekoladowego; myślę, że możecie się nim podzielić.

Nie musiała tego powtarzać dwa razy - po chwili mus czekoladowy zniknął w otchłaniach młodych gardeł.

Pomyślała, że jeśli przyjdzie do Wayne House jeszcze raz, przygotuje wraz z Hannah więcej puddingów, by wystarczyło dla chłopców.

Wymknęła się z domu, jak tylko Jim oznajmił, że zajechała dorożka. A kiedy majordomus przyszedł przypomnieć, że major Brownlow czeka na nią - już jej nie było.

Wiedziała jednak, że wróci tutaj następnego dnia, i w drodze do domu układała w myślach listę rzeczy, których będzie potrzebowała.

Opowiedziała Hannah o swoim sukcesie, wypisała, co muszą kupić na targu, i wskoczyła do łóżka.

Muszę szybko zasnąć, pomyślała. W przeciwnym razie nie wstanę o piątej rano.

Nie spodziewała się jednak, że Hannah, zamiast obudzić ją wcześniej, tak jak to zrobiła poprzedniego dnia, pozwoli jej spać.

Gdy wreszcie Araminta otworzyła oczy, stara służąca odsuwała właśnie zasłony, a obok łóżka czekało już śniadanie.

- Która godzina? - spytała.

- Prawie dziewiąta.

Araminta usiadła na łóżku i jęknęła.

- Jak mogłaś pozwolić, żebym tak długo spała? Wiesz przecież, że musimy pójść na rynek.

- Już tam byłam - odparła Hannah.

- Nie powinnaś była tego robić - powiedziała z wyrzutem Araminta.

- Panienka musi się teraz wysypiać. Dobrze wiem, co to znaczy stać na kamiennej podłodze przez pół nocy!

- Nie jest to bardziej męczące niż wstawanie o piątej rano i targowanie się z tymi wszystkimi ludźmi na rynku - odparła Araminta.

- Niech już panienkę o to głowa nie boli - ucięła Hannah.

- Wszystko jest na dole, niczego nie zapomniałam.

- Jestem tego pewna - uśmiechnęła się Araminta. - To bardzo miło z twojej strony, naprawdę. Ale nie jest w porządku, że obarczam cię całą tą dodatkową pracą.

- Robimy to z tego samego powodu: dla panicza Harry'ego. Pozostaje tylko mieć nadzieję, że będzie nam za to wdzięczny.

Służąca wyszła z pokoju, głośno zamykając za sobą drzwi. Araminta nie mogła się powstrzymać od śmiechu: tylko Hannah potrafiła skrzyknąć Harry'ego, złościć się na niego, a jednocześnie być gotowa dać się zabić w obronie młodego panicza.

- A więc dziś wieczorem będziemy miały czterdzieści funtów! - powiedziała do siebie Araminta, z zadowoleniem myśląc o kopercie, którą wczoraj wręczył jej majordomus.

Jeszcze raz pomyślała, jakby to było wspaniałe, gdyby uzbierała całą sumę na czas i nie musiała prosić matki o sprzedaż jej pierścionka zaręczynowego.

Nic bardziej nie zraniłoby lady Sinclair niż rozstanie z pierścionkiem, który nosiła przez wszystkie lata jej małżeństwa.

Muszę zarobić tyle, żeby mama nie musiała się go pozbywać, postanowiła Araminta.

Wiedziała, że dzisiaj będzie bardzo trudno utrzymać wszystko w tajemnicy przed lady Sinclair.

Po pierwsze, matka chciała właśnie dzisiaj zabrać ją na zakupy. Po wtóre, Araminta musiała znaleźć wytłumaczenie, dlaczego opuszcza dom wczesnym popołudniem i wraca dobrze po północy.

Okazało się, że wyjście z tej trudnej sytuacji znalazła Caro.

- Wiesz, że Harry próbuje dzisiaj sprzedać swoje konie? - spytała, siadając na łóżku Araminty.

- Wiem - odparła siostra. - Mam nadzieję, że uda mi się uzyskać dobrą cenę.

- Wydaje mi się - zaproponowała Caro - że możesz powiedzieć, iż jedziesz razem z nim spotkać się z jego przyjaciółmi. A kiedy ty i Hannah będziecie pakowały wszystko do dorożki, ja zajmę mamę rozmową w saloniku na tyłach domu.

Po krótkiej przerwie dziewczyna dodała:

- I jeszcze jedno: to niebezpieczne, żebyś brała ze sobą Hannah. Mama na pewno o nią zapyta.

- Doskonale dam sobie radę sama - oświadczyła Araminta. - Na miejscu służba chętnie pomoże mi we wszystkim. Przygotujemy dla niej specjalny biszkopt w winie z kremem.

- Doskonale - powiedziała Caro. - Ponieważ mama ciągle czuje się nieco zmęczona, z łatwością uda mi się wyperswadować jej pomysł pójścia z tobą na zakupy.

- A co powiemy jutro, jeśli okaże się, że będę miała jeszcze jakieś zlecenie?

- Nie zastanawiamy się, jak przejść przez most, gdy jeszcze nie widać rzeki! To ciągle planowanie i wymyślanie wymówek jest bardzo męczące.

Araminta wybuchnęła śmiechem.

- Wydaje mi się, siostrzyczko, że mieszkając na wsi, nie za często używałyśmy naszych mózgów. Przyda nam się ta drobna intryga i wyostrzy naszą inteligencję.

- By zaskoczyć Beau Monde? - spytała z ironią Caro.

Araminta westchnęła.

- Nie ma sensu myśleć o tym, co mogłybyśmy zrobić. Gdy tylko Harry będzie bezpieczny, wrócimy na wieś. Nie będzie nas stać, by tutaj mieszkać. Poza tym... po co?

- Musimy powiedzieć mamie.

- Oczywiście, że będziemy musiały jej powiedzieć - zgodziła się Araminta. - Ale szczerze mówiąc, to Harry powinien przyznać się jej do wszystkiego.

- Obawiam się, że nie spodoba mu się ten pomysł.

- On też, chociaż od czasu do czasu, powinien się nieco wysilić - nalegała Araminta.

Ale potem, jak zwykle, jej miękkie serce zwyciężyło. - No, dobrze... Ja powiem mamie. Wiadomo, że potrafię być bardziej wzruszająca od Harry'ego. Mama bardzo go kocha i nie powinna się na niego złościć.

- Nie mam nic przeciwko temu, żeby była na niego zła - odparła Caro. - Nie mogę jednak patrzeć, kiedy jest smutna i ma złamane serce.

Araminta myślała tak samo, postanowiła jednak być praktyczna; jedyną rzeczą, jaką musi się teraz zająć, jest wyciągnięcie Harry'ego z długi.

Szybko się ubrała i zeszła do kuchni.



Pracowała przez cały ranek. W porze obiadu mogła już nieco odpocząć i porozmawiać z matką, nie martwiąc się zbytnio nadchodzącym wieczorem.

Chwilami jednak przypominał się jej ten okropny moment, kiedy w chłodziarce znalazła martwego kota i zdała sobie sprawę, że do creme brulee dosypano trucizny. Chociaż starała się o tym nie myśleć, lękała się, że coś mogło zostać dodane do innych dań.

Poczuła ulgę, gdy dojeżdżając do Wayne House, zobaczyła uśmiechy na twarzach oczekujących ją służących - znaczyło to, że nie mieli dla niej żadnych złych wiadomości.

Niemniej jednak, gdy wszystko zostało już przeniesione do kuchni, Araminta nie mogła się powstrzymać od zapytania o zdrowie markiza.

- Mam nadzieję, że kolacja, którą przygotowałam, nie zaszkodziła panu markizowi? - spytała.

- Ależ skąd! - odparł jeden ze służących. - Pan Jenkins, kamerdyner, powiedział, że nigdy nie widział naszego pana w tak dobrym humorze. Był bardzo zadowolony z kolacji, tak powiedział pan Jenkins.

- I ci, którzy postawili pieniądze na panienkę, też będą zadowoleni - dodał lokaj.

- Zastanawiam się, jak duże to były zakłady - rzekła Araminta.

- Pan Jenkins mówi, że panowie z klubu „White's” są zawsze chętni postawić olbrzymie sumy. Nie tylko w grze w karty. Lubią się zakładać o każdą, nawet najgłupszą rzecz.

- Na przykład? - zainteresowała się dziewczyna. Właśnie ozdabiała jedno z dań drobnymi listkami sałaty, układając je obok pomidorów i rzodkiewki tworzącej wzory kwiatów.

Uprzednio kazała dwom służącym pokroić pomarańcze i cytryny, by i innym potrawom dodać koloru.

- Pewien dżentelmen - ciągnął lokaj - założył się pewnego deszczowego dnia o to, która kropla wody szybciej spłynie po szybie. O trzy tysiące funtów!

- Cóż za absurd! - wykrzyknęła Araminta.

- A pan markiz założył się kiedyś o datę wkroczenia Napoleona do Paryża - włączył się drugi lokaj.

- Wygrał? - zainteresowała się Araminta.

- Nasz pan zawsze wygrywa! Czy to są wyścigi, czy karty!

Araminta zacisnęła usta.

Przez ostatnie dni zdołała wyrobić sobie opinię o markizie i nie pałała do jego osoby szczególną sympatią. Nie do zniesienia wydawała się jej myśl, że ktoś może odnosić aż tyle sukcesów i być z tego aż tak zadowolony.

Nie mogła jednak nie zauważyć dumy pobrzmiwającej w głosie lokaja.

Wszyscy myślą, że markiz jest wspaniały, pomyślała pogardliwie. Była zbyt mądra, by cokolwiek powiedzieć, i po prostu dalej dekorowała potrawy, sprawiając, że wyglądały tak atrakcyjnie, iż wszyscy je głośno podziwiali.

Nastał czas gotowania. Gdy służba udała się do jadalni na kolację, Araminta została sama w kuchni.

Nie chciała ryzykować powrotu Gustave czy kogokolwiek innego, kto mógłby dosypać trucizny do przygotowanych przez nią potraw. Była pewna, że za drugim razem eks - kucharz wymyśliłby coś innego, nie powtarzając scenariusza z poprzedniego dnia, nie chciała jednak ponosić żadnego ryzyka.

Zastanawiała się, czy nie kręcił się rano w pobliżu, czekając na wiadomość o śmierci markiza albo o tym, że jego plan się nie powiódł i zmarł któryś z gości Wayne'a.

Nieprzyjemna była myśl, że niedoszły zabójca mógł być gdzieś tutaj, patrzeć i czekać z nadzieją na zemstę.

Po chwili powiedziała sobie, że to nie jej interes. Musi tylko uważać, by nie popełniono zbrodni, w którą mogłaby zostać wmieszana, i aby podczas jej bytności w Wayne House nie wydarzyło się nic, co mogłoby zaszkodzić Harry'emu.

Nie przerywała więc zajęć w kuchni, szybciej też, niż się spodziewała, wróciły służące, zawstydzone faktem, że zostawiły ją samą z takim ogromem pracy.

Po posiłku służby pojawił się też w kuchni pan Henson, majordomus. Obejrzał przygotowane dania i wyraził swoje zadowolenie.

- Dziś wieczorem stoi przed panią trudne zadanie - powiedział. - Słyszałem plotki z Carlton House, że jego królewska wysokość jest tak zachwycony Antoine'em Careme, iż pragnie przyznać mu medal!

Araminta się roześmiała.

- Może i mnie się należy medal?!

- Hmm... - zastanowił się pan Henson. - Z tego, co widzę, należy się pani... Szczerze mówiąc, nigdy nie nosiłem tak wspaniale wyglądających potraw!

- Przesadza pan, panie Henson - odparła Araminta. - Niemniej jednak, dziękuję za komplement.

- To nie komplement, tylko najczystsza prawda. Myślę, że markiz nie uwierzyłby, gdyby się dowiedział, że to wszystko pani przygotowała.

- Ciągle sądzi, że jestem mężczyzną? - zapytała Araminta.

- A jakże! Tak samo jak major Brownlow - odpowiedział majordomus. - Major był wczoraj trochę niezadowolony, że opuściła pani dom, nie porozmawiawszy z nim. Wyjaśniłem mu, że jest pani bardzo nieśmiała w kontaktach z obcymi.

- To bardzo miłe z pana strony - podziękowała Araminta.

Wyciągnęła rachunki za produkty kupione rano na rynku.

- Czy mógłby pan zanieść to majorowi Brownlowowi? - spytała. - Chciałabym wyjść zaraz po kolacji.

- Wydaje mi się, że major ma pieniądze dla pani - wyjaśnił pan Henson - ale pójde i sprawdzę. - Bardzo dziękuję. Majordomus wyszedł z kuchni. Powrócił po piętnastu minutach i położył przed Aramintą kopertę.

- W środku jest honorarium za dzisiejszy wieczór - oznajmił. - Major Brownlow prosi jednak, żeby wstąpiła pani do niego po skończonej kolacji, by odebrać pieniądze za produkty.

Dziewczyna znieruchomiała.

- Nie dał ich panu? - zdziwiła się. Majordomus pokręcił głową.

- Chciałem go przekonać, naprawdę, ale on życzy sobie rozmawiać z panią osobiście.

- Co pan o tym sądzi? - spytała nieco lękliwie.

- Wydaje mi się, że proponuje pani pozostanie tu na stałe.

Araminta spojrzała na niego zdziwiona.

- Na stałe? - powtórzyła cicho.

- Tak, miss Bouvais.

Miała nadzieję otrzymać wystarczająco dużo zamówień na następny tydzień, by spłacić dług Harry'ego, ale nawet przez chwilę nie przypuszczała, że markiz może chcieć ją zatrudnić na stałe.

Majordomus zauważył jej wahanie, po chwili więc dodał:

- Radzi bylibyśmy mieć panią tutaj. Jestem pewien, że świetnie by się nam razem pracowało.

- Dziękuję, panie Henson - uśmiechnęła się Araminta - ale obawiam się, że to niemożliwe. Proszę powiedzieć majorowi Brownlowowi, że będę bardzo szczęśliwa, przychodząc tu przez kilka następnych wieczorów, aż do

końca przyszłego tygodnia, potem jednak nie mogę niczego obiecać.

- Czy mówi to pani poważnie? - spytał pan Henson. -  
Ma pani jakieś inne, lepsze propozycje?

- Nie, oczywiście, że nie... Chodzi po prostu o to, że...  
Gorączkowo zastanawiała się, co wymyślić.

- Być może wyjadę za granicę. Może wrócę do Francji.

- Przykro mi to słyszeć.

- Jest pan bardzo uprzejmy, panie Henson, ale zapewniam  
pana, że będąc tu znudziłabym się panu.

Po chwili milczenia majordomus spytał:

- Czy mam to powtórzyć majorowi Brownlowowi?

- Poczekajmy, aż sam o to zapyta - postanowiła  
Araminta. - Proszę jednak spróbować przekonać go, aby  
zapłacił mi za kupione dziś rano produkty. Będę potrzebowała  
pieniędzy na jutrzejsze sprawunki.

Mówiąc to zastanawiała się, jak długo ona i Hannah będą  
mogły wstawać tak wcześnie rano i chodzić na rynek.

Jutro, postanowiła, muszę pójść sama albo z Caro. Nie  
mogę wymagać aż tyle od Hannah.

Zdawała sobie jednak sprawę, że będzie bardzo zmęczona,  
jeżeli przez tydzień przyjdzie jej wstawać o piątej rano, a  
potem pracować do późna w nocy w Wayne House.

To praca dla mężczyzny, pomyślała. Ciekawa jestem, co  
by się stało, gdyby tak Harry zrobił jutrzejsze zakupy?

Majordomus powrócił z wyrazem triumfu na twarzy.

- Major Brownlow dał mi pieniądze. Nalega wszakże, by  
przyszła pani do niego jutro po południu.

- Czy jutro markiz także wydaje kolację? - spytała.

- Tego major nie powiedział - odparł pan Henson. -  
Spróbuję się tego dowiedzieć przed końcem dzisiejszego  
przyjęcia.

- Muszę to wiedzieć, zanim rano udam się na rynek - wyjaśniła Araminta.

- Monsieur Gustave zawsze kazał sobie dostarczać produkty - zasugerował majordomus. - Na początku każdego tygodnia składał zamówienie na tyle a tyle ryb, mięsa i innych rzeczy, których potrzebował. Jeżeli czegoś nie zużyliśmy, wyrzucaliśmy to.

- Nie wydaje mi się, żeby był to dobry pomysł - stwierdziła Araminta. - Poza tym w ten sposób nie zawsze otrzymuje się produkty najświeższe.

- To prawda - zgodził się pan Henson. - Nie wszyscy jednak kucharze są tak sumienni i skrupulatni jak pani. Poleją wszystko sosem i jeżeli smakuje, nie martwią się, co jest w środku!

- W ten sposób można jeść nawet trociny - skomentowała Araminta. - To po prostu nieuczciwość, ot co!

- Już powiedziałem, miss Bouvais, że jest pani innym kucharzem niż ci wszyscy, którzy dotychczas tu pracowali.

- Dziękuję za ten komplement - odrzekła z uśmiechem Araminta.

Majordomus zerknął na zegar wiszący na ścianie i krzyknąwszy pobiegł na górę.

Kolacja okazała się wielkim sukcesem - nie było co do tego żadnych wątpliwości.

Lokaje roznoszący półmiski z nie ukrywanym zadowoleniem rozprawiali o zaskoczeniu regenta na widok przygotowanych przez Aramintę potraw. Dokładnie powtarzali wszystkie pochwały pod jej adresem, które padały przy stole markiza.

- Wygląda na to, że szlachetnie urodzeni potrafią rozmawiać tylko o jedzeniu - powiedział jeden z nich.

- Obżerają się tak, jakby nigdy żarcia, nie widzieli niczym świnie przy korycie - dodał drugi.

Araminta się roześmiała.

Gdy wreszcie kolacja dobiegła końca, poczuła się bardzo zmęczona. W kuchni było okropnie gorąco. Jej policzki płonęły, a od gorąca i pary włosy na czole poskręcały się w drobne loczki.

Wreszcie, gdy piec był pusty, a stół uprzątnięty, dziewczyna wzięła płaszcz i zwróciła się do Jima:

- Znajdziesz mi jakąś dorożkę?

- Oczywiście.

Kiedy chłopiec wyszedł, usiadła na jednym z ciężkich drewnianych krzeseł. Hannah miała rację, pomyślała. Stanie przez wiele godzin na kamiennych płytach jest bardzo męczące.

Po kilku sekundach pojawił się Jim. Araminta spojrzała na niego zaskoczona.

- Dorożka była tuż za drzwiami. Nie musiałem więc daleko iść - wyjaśnił.

- Dziękuję, Jim.

Nasunęła kaptur na głowę i po kamiennych schodkach wbiegła na górę.

Na zewnątrz czekała dorożka zaprzężona w chudego, zmęczonego starego konia, jakie spotyka się najczęściej w nocy.

Spojrzała na woźnicę.

- Russell Square numer trzy.

Jim otworzył drzwiczki i Araminta szybko weszła do środka, ponieważ ciągle padało.

Zamknięto drzwiczki, dorożka ruszyła i dziewczyna oparła się o siedzenie.

Natychmiast krzyknęła, gdyż uświadomiła sobie, że nie jest sama.

Obok niej, w ciemności, siedział jakiś mężczyzna!

## Rozdział 4

- Już dobrze - usłyszała. - Niczego się nie bój.

- Kiedy ja się właśnie boję! - zawołała Araminta. - Co robisz w moim powozie?

- Czekałem na ciebie - odparł mężczyzna.

- Czekałeś na mnie?

Przerażenie nieco zmalowało. Ciągle jednak drżała, a najgorsze było to, że w ciemności nie widziała jego twarzy.

Głos mężczyzny brzmiał młodo. Po chwili Aramincie udało się opanować drżenie własnego głosu, jednakże serce ciągle waliło jej jak oszalałe.

- Czego ode mnie chcesz? - spytała.

- Musisz mi pomóc.

- Pomóc... tobie? - powtórzyła zaskoczona. - Dlaczego zatem czekałeś na zewnątrz i zaskoczyłeś mnie w tak nieprzyjemny sposób?

- Nie znałem twojego nazwiska. Prawdę mówiąc, spodziewałem się spotkać mężczyznę.

- Ale jak... - zaczęła, lecz siedzący obok nieznajomy natychmiast jej przerwał:

- Wczoraj wieczorem słyszałem, jak służący mówił woźnicy, by czekał na kucharza. Kiedy wsiadłaś, nie mogłem uwierzyć, że to jesteś właśnie ty! Dlaczego czekałeś?

Była prawie pewna, że zna odpowiedź, zanim mężczyzna odparł:

- Miałem powód, diabelnie dobry powód! Araminta wstrzymała oddech.

- Czy to ty jesteś Gustave?

- Nie - padła odpowiedź. - Ale chyba wiesz, na co czekałem?

- Ty... ty wiedziałeś, że Gustave dosypał trucizny do jedzenia? - spytała z wahaniem.

- To ja go nakłoniłem!



- Ale dlaczego? Dlaczego? - dziwiła się Araminta. -  
Dlaczego chcesz zabić markiza? Potrafię zrozumieć  
rozgoryczenie i gniew Gustave - został przecież zwolniony,  
ale ty... Jaka jest twoja rola?

Nastąpiła chwila ciszy, po czym mężczyzna powiedział  
wolno i wyraźnie:

- Jeżeli markiz nie umrze, będę musiał się zabić!  
Dziewczyna znieruchomiała.

Dorożka wolno jechała ulicami. Nagle, w bladym świetle  
latarni ulicznej, udało się Aramincie zerknąć na twarz  
siedzącego obok mężczyzny.

Nie myliła się: był młody. Jego wygląd i sposób mówienia  
zdradzały dżentelmena.

- Może zechcesz wyjaśnić mi, o co ci naprawdę chodzi? -  
powiedziała spokojnym głosem.

- Chcę zabić markiza i mam nadzieję, że szczególnie on w  
piekle!

- Cóż takiego ci uczynił? Zapadło złowieszcze milczenie.

- Jestem mu winien dwadzieścia tysięcy funtów!

Araminta nie mogła powstrzymać się od okrzyku  
zaskoczenia.

- Dwadzieścia tysięcy! Aż tyle przegrałeś w karty?

- A czy na tym cholernym świecie jest jakiś inny sposób  
tracenia tak wielkich sum? - spytał z pasją młodzieniec.

- Ale jeżeli... zabijesz markiza... - zaczęła Araminta.

- Musi być martwy przed końcem przyszłego tygodnia.  
Domyślałam się, że to ty wczoraj uratowałeś go przed śmiercią.  
Jak sprawiłaś, że zatrute danie nie trafiło na stół?

- Kot je zjadł i... Mężczyzna jęknął ze złości i  
bezsilności.

- Nawet przeznaczenie jest przeciwko mnie! Gdybym był  
odważniejszy, strzeliłbym sobie w łeb i skończył z tym  
wszystkim!

- Nie! Nie! Nie wolno ci tego zrobić! - wykrzyknęła Araminta. - Musi przecież być jakieś wyjście.

- Jedynym dla mnie wyjściem jest zabić siebie albo markiza. On i tak już zasłużył sobie na śmierć!

- Jak to?

- Zastawia pułapki na takich głupców jak ja. Ma diabelne szczęście i zawsze wygrywa! To chyba zrozumiało, że ktoś musi przerwać jego pasmo zwycięstw, ktoś musi położyć kres temu wszystkiemu!

Araminta milczała.

Wydawało jej się, że już raz słyszała te same słowa z ust swego brata.

- Zabiję go - ciągnął młodzieniec - i uchronię od zguby nie tylko moją rodzinę, ale także niezliczone rzesze innych młodych głupców.

- Zrobiłeś to, żeby uchronić swoją rodzinę? - spytała Araminta.

Mężczyzna głęboko wciągnął powietrze.

- Jak mogłeś być tak nierozsądny, grać tak wysoko, kiedy wiedziałeś, że nie masz pieniędzy do stracenia?

Mówiła ze złością; na moment zapomniała, że ma do czynienia z obcym - to samo mogła przecież powiedzieć bratu.

- Nie wiesz, jakie to jest uczucie siedzieć za stołem i patrzeć na kolejne rozdania kart - powiedział cicho mężczyzna. - Wpadasz w trans i tracisz wszelkie poczucie wartości. Pieniądze nic nie znaczą! Liczy się tylko podniecenie zrodzone ze zwycięstwa lub chociażby z oczekiwania na nie.

Młodzieniec zamilkł. Koń z mozołem ciągnął dorożkę... Jeszcze raz w mijanym świetle latarni Aramincie udało się zerknąć na profil towarzysza podróży.

Był bardzo młody... Wyobraziła sobie, że pewnie tak samo jak Harry chciałby prowadzić wystawny tryb życia, ubierać się w najmodniejsze rzeczy, dobrze jadać...

- Musi być jakiś sposób zdobycia pieniędzy bez uciekania się do morderstwa - powiedziała.

- Chciałem prosić, żebyś to ty zabiła markiza! Spojrzała na niego z pogardą.

- Sądziłem, że jesteś mężczyzną... Wiem, że ty nigdy byś się na to nie zgodziła.

- Oczywiście, że nie! - wykrzyknęła. - Jak mogłeś sobie w ogóle pomyśleć, że jakikolwiek uczciwy człowiek zniży się do zbrodni?

- Większość ludzi w twojej sytuacji zrobiłaby wszystko dla pieniędzy - wyjaśnił cynicznie mężczyzna. - Gustave był zachwycony, gdy zaproponowałem mu sto fantów.

- Zdajesz sobie sprawę, że gdyby twój plan się powiódł, ja byłabym podejrzana o zabójstwo markiza, a nie Gustave?

- Myśleliśmy o tym - przyznał młodzieniec. - W rzeczy samej, Gustave powiedział, że ma nadzieję, iż powieszą nowego kucharza.

- To odrażające - wyszeptała Araminta.

- Gustave nie przypuszczał, że nowym kucharzem może być kobieta.

- To niczego nie zmienia! - odrzekła ostro Araminta. - Nie masz prawa nakłaniać służącego, zwłaszcza obcokrajowca, do zrobienia w twoim imieniu tego, czego... - nagle przerwała.

- Czego sam bałbym się zrobić - dokończył mężczyzna.

- To chciałaś powiedzieć, prawda?

- Uważam morderstwo, bez względu na motywy, za największą zbrodnię! - odparła Araminta.

- Markiz musi umrzeć!

- A jeżeli rzeczywiście tak się stanie i zostaniesz oskarżony o zabójstwo, powieszają cię!

- Nie oskarżą mnie! - wymamrotał mężczyzna.

- Oczywiście, oskarżą mnie! - krzyknęła dziewczyna. -  
Prawdę mówiąc, nie mam najmniejszej ochoty umierać za ciebie!

- Zatem zastrzelę go! A jeżeli to mi się nie uda -  
zastrzelę siebie!

Mówiąc to, wyciągnął coś z kieszeni. Araminta była pewna, że to pistolet.

- Proszę... Znowu mnie przerażasz - powiedziała drżącym głosem.

- Nic mam takiego zamiaru - wyjaśnił mężczyzna. -  
Czy przyjmiesz dwieście funtów, a może pięćset, za dodanie trucizny do któregoś z dań, które markiz będzie jutro spożywał?

Araminta milczała, młody człowiek więc ciągnął dalej:

- Jesteś mi to winna, bo to przecież ty zniweczyłaś wysiłki Gustave.

- Chyba żartujesz! Nie mam najmniejszego zamiaru mordować markiza. Gdyby oskarżono mnie o zabójstwo i nie powieszono, to najprawdopodobniej zesłano by do Australii.

- To się nie może stać - rzekł mężczyzna. - A zatem najlepiej będzie, jak zastrzelę się natychmiast. Już nigdy nie będzie ze mną żadnych kłopotów.

Mówił z taką gwałtownością, że Araminta była naprawdę przestraszona. Czuła, iż młodzian w każdej chwili może zamienić słowa w czyn. Musiałaby potem wyjaśnić przed sądem, dlaczego późno w nocy jechała dorożką z nie znanym jej mężczyzną, który nawet nie raczył się przedstawić.

- Proszę odłożyć ten pistolet - powiedziała łagodnie. -  
Porozmawiajmy spokojnie. Może uda mi się jakoś pomóc panu.

- Naprawdę? Czują, że jest jego ostatnią deską ratunku... Zastanawiała się, jak może mu pomóc i uchronić go od samobójstwa.

- Oddaj mi ten pistolet - zażądała, wyciągając dłoń.

Sądziła, że mężczyzna odmówi. Po chwili jednak poczuła coś ciężkiego i zimnego na swojej dłoni. Położyła broń obok siebie, mając nadzieję, że nie wystrzeli przez przypadek.

- Zacznijmy od początku - zaproponowała. - Jak się nazywasz?

- Yeoman - padła odpowiedź. - Lord Yeoman. chociaż tytuł nie na wiele mi się teraz zda...

- Araminta... Bouvais.

- Z pewnością jesteś śliczna. Jedno spojrzenie na ciebie wczoraj wystarczyło mi, by stwierdzić, że nie jesteś ot, takim zwyczajnym kucharzem.

- Porozmawiajmy lepiej o tobie - powiedziała łagodnie.

- Czy masz jakąś inną możliwość zdobycia dwudziestu tysięcy funtów oprócz sprzedaży domu?

- Raczej nie... Mój ojciec ma siedemdziesiąt lat i jest już schorowany, matka jest nieco młodsza, ale też słabego zdrowia... Boję się, że gdy się dowiedzą, jakiego głupca zrobił z siebie ich syn, to... to ich zabije.

- Wiem, co musisz teraz czuć - odrzekła, myśląc o własnej matce.

Lord Yeoman uniósł dłonie do twarzy.

- Nie mogę wrócić do domu i po prostu powiedzieć ojcu, co uczyniłem.

- Jestem pewna, że okaże się bardziej wyrozumiały, niż ci się zdaje.

- Przecież wie, że to dług honorowy, który muszę spłacić - powiedział lord.

Przez chwilę jechali w milczeniu.

- Gdyby Gustave się udało, albo gdybyś ty była kimś innym, markiz już by nie żył i byłbym uratowany!

I Harry też, pomyślała Araminta i zawstydziała się na tę myśl.

- Jeżeli nie zgładzę markiza, pozostanie mi tylko strzelić sobie w łeb - powtórzył młodzieniec z rozpaczą w głosie. - Wydaje mi się, że gdybym był martwy, Wayne nie zmuszałby moich rodziców do uznania długu. Może nawet udałoby mi się upozorować wypadek.

- To głupio myśleć w ten sposób - rzekła Araminta. - Czy możesz sobie wyobrazić coś bardziej nonsensownego niż samobójstwo młodego człowieka za długi karciane? Masz przed sobą całe życie. Jest wiele lepszych rzeczy od umierania jak tchórz.

- Wiedziałem, że uznasz mnie za tchórze - powiedział gniewnie lord Yeoman.

- Bo samobójstwo jest rozwiązaniem na miarę tchórze, ot co.

- Gdybym musiał martwić się tylko o siebie, zapłaciłbym mu co do pensa, a potem usiadł w łachmanach na progu jego domu i zebrał o resztki jedzenia, mając nadzieję, że wstydziliby się tego, do czego mnie doprowadził.

Zaśmiał się, lecz w jego śmiechu nie było ani krzty radości.

- Zamiast tego będę go straszył po nocach. Jak sądzisz, czy boi się szczekania łańcuchów i upiorów bez głów?

Araminta milczała.

- Nienawidzę go! Brzydzę się nim! - krzyczał lord. - Nie cierpię tej gnidy, tego potwora! Przeklinani go! Przeklinam go za wszystko, co zrobił mnie i innym takim jak ja.

Gwałtowność, z jaką mówił, zdawała się wprost fizycznie wisieć w powietrzu i długo jeszcze dźwięczała w uszach Araminty.

Dziewczyna wiedziała, że zbliżają się do Russell Square, i musiała szybko coś wymyślić, nim zostawi go samego z jego myślami. Była pewna, że znajdując się w tak oplakanyim stanie ducha, był absolutnie zdolny do spełnienia swej groźby.

Jeżeli to zrobi, na zawsze będzie go miała na sumieniu. Do końca życia będzie sobie wyrzucała, że nie próbowała go ratować.

Po chwili zdała sobie sprawę, że lord Yeoman szłocha.

Instynktownie wyciągnęła ku niemu rękę i położyła mu na ramieniu.

- Bardzo mi przykro - wyszeptała. - Tak mi przykro...

Lord milczał. Płakał, zasłaniając twarz dłońmi. Muszę mu pomóc... Muszę, myślała. W tej chwili dorożka zatrzymała się przed jej domem. Araminta podjęła decyzję.

- Powiem ci, co zrobię - oznajmiła. - Porozmawiam z markizem. Postaram się go przekonać, by anulował twój dług przez wzgląd na twoich rodziców.

- On nigdy tego nie robi - odparł chrapliwie lord Yeoman. - Dług karciany musi być spłacony.

- Ale nie wtedy, kiedy wierzyciel postanowi, że nie chce pieniędzy - rzekła stanowczo Araminta.

- To będzie dla mnie hańbiące.

- O wiele bardziej hańbiące będzie zabicie go.

- Markiz nie zechce cię wysłuchać.

- Może jednak mi się uda...

- Nie powinienem pozwolić ci na to. Aramincie udało się jednak uchwycić nutkę nadziei w jego głosie.

- Pozwól mi się tym zająć - powiedziała stanowczo. - Jeżeli mi się nie powiedzie, pomyślimy o czym innym. Musisz

jednak obiecać mi, że nie zrobisz nic drastycznego, dopóki nie zobaczę się z markizem.

- Naprawdę chcesz z nim porozmawiać?

- Naprawdę - obiecała Araminta. - Jak mogę się z tobą skontaktować?

- W klubie „White's” - odparł lord Yeoman. - Albo może u ciebie w domu?

- Nie, nie wolno ci tu przychodzić - odparła szybko. - Przyślę ci wiadomość: poinformuję cię o decyzji markiza albo o miejscu naszego następnego spotkania.

- To bardzo uprzejme z twojej strony.

- Raczej bardzo odważne - poprawiła go Araminta. - Nigdy z nim nie rozmawiałam, ale mam wrażenie, że jest człowiekiem wzbudzającym strach.

- Dokładnie tak! - skwapliwie przytaknął lord. Było coś chłopięcego w jego sposobie mówienia,

Araminta więc spytała:

- Czy mogę wiedzieć, ile masz lat?

- Dwadzieścia jeden i dwa miesiące... Zatem nie mam wymówki, że jestem niepełnoletni.

- Może i szkoda...

- Tak, jestem mężczyzną - powiedział - i muszę ponieść odpowiedzialność za swoje czyny. Jestem także głupcem, w dodatku bezradnym głupcem.

- Zrobiłeś to, co robi wielu młodych ludzi, gdy przyjeżdżają do Londynu. Sam mówiłeś, że hazard niezmiernie wciąga.

Zdała sobie sprawę, że musi już iść, dodała więc cicho:

- Mam twoją obietnicę, że nie popełnisz żadnego głupstwa, zanim znów się zobaczymy?

- Dałem ci przecież słowo. I zapomnisz, gdzie zatrzymała się ta dorożka? Mam ważne powody ku temu, by nikt w Wayne House nie wiedział, gdzie mieszkam.



- Możesz mi zaufać, nikt się o tym nie dowie.

- Muszę już iść - oznajmiła Araminta. - Pozwolisz, że zapłacę woźnicy?

- Poczytałbym to za zniewagę, gdybyś to ty, pani, zapłaciła - oświadczył lord Yeoman.

- Zatem dziękuję za podwiezienie - powiedziała. - Ponieważ myślę, że mogę ci ufać, a także ponieważ nieco się boję, zostawię to niebezpieczne... narzędzie na siedzeniu obok ciebie.

- Powiedziałem już, że możesz mi zaufać - odparł lord.

Otworzył drzwiczki, wysiadł i pomógł jej wyjść.

Hannah powiesiła lampę nad drzwiami, by Araminta nie miała kłopotów ze schodkami.

Teraz oboje przypatrywali się sobie w słabym świetle.

Lord Yeoman był przystojny, może tylko nieco za chudy, i sprawiał wrażenie nazbyt wrażliwego jak na swój wiek.

- Tak jak myślałem: jesteś bardzo ładna - powiedział. - Jestem ci bardziej wdzięczny, niż zdołają to wyrazić me słowa.

Uniósł jej dłoń do swoich ust, pocałował ją i odczekał, aż dziewczyna podeszła do drzwi i otworzyła je kluczem, który dała jej Hannah.

Odwróciła się, by pomachać lordowi na dobranoc, i zamknęła drzwi.

Dopiero wewnątrz poczuła, jak strasznie jest zmęczona i wyczerpana.

Już opuszczając Wayne House, była zmęczona, ale opowieść lorda Yeomana podkopała jej siły do tego stopnia, że trudno jej było wejść po schodach.

Trzymając się kurczowo poręczy, wdrapała się na piętro, na którym mieściła się jej sypialnia.

Było bardzo cicho; wiedziała, że cały dom śpi.

Poczuła nagłą potrzebę pójścia do matki, tak jak to robiła w dzieciństwie, i podzielenia się z nią wszystkimi kłopotami. Razem na pewno by coś wymyśliły. Zaraz jednak powiedziała sobie, że nikt nie może wiedzieć o tym, co się wydarzyło tego wieczoru.

Była pewna, że Caro - o wiele od niej praktyczniejsza - uznałaby za nonsens martwienie się sprawami lorda Yeomana, szczególnie teraz, kiedy miały dosyć własnych problemów.

Jak mogła prosić markiza o darowanie dwudziestu tysięcy funtów obcemu człowiekowi, gdy one obie starały się zdobyć sześćset funtów dla własnego brata?!

Wiedziała jednak, że nie wolno jej było odmówić pomocy nieszczęśliwemu młodzieńcowi. Gdyby się zabił, czułaby się za to odpowiedzialna.

Jednocześnie myśl o rozmowie z markizem przerażała ją. Kładąc się do łóżka, zdała sobie sprawę, że cała się trzęsie.

Jeśli bała się czegoś zeszłej nocy, to jeszcze bardziej była przestraszona następnego dnia, kiedy to po obiedzie minia się udać do Wayne House.

Nie wiedziała, czy chodziło o przyjęcie, czy też nie, ale sądziła, że gdyby to miało być przyjęcie, markiz albo major Brownlow uprzedziliby ją przez generała.

Była szczęśliwa, że nie musi zrywać się wcześniej rano i ciągnąć Hannah na rynek.

Wiedziała, że w chłodziarce markiza było wystarczająco dużo jedzenia dla co najmniej tuzina gości. Jeżeli po rozmowie z majorem Brownlowem okaże się, że potrzeba czegoś nadzwyczajnego, kupi to w jednym ze sklepów na Shepherds Market, gdzie zwykła zaopatrywać się arystokracja.

O jedenastej piła właśnie kawę w towarzystwie matki i Caro, gdy Hannah zaanonsowała generała.

Lady Sinclair się uśmiechnęła. Zawsze z zadowoleniem gościła u siebie generała, który chętnie rozmawiał o jej

zmarłym mężu i opowiadał o jego służbie w wojsku. Araminta wstała, by pocałować gościa w policzek, Caro uczyniła to samo.

- Proszę spocząć, generale - powiedziała lady Sinclair, gdy ten ucałował jej dłoń. - Napije się pan kawy, czy może ma pan ochotę na szklaneczkę madery? - Z przyjemnością napiję się kawy - odparł generał.

Lady Sinclair nalała do filiżanki kawy, a Caro dodała śmietanki i cukru.

Generał znacząco spojrział na Aramintę i ta zrozumiała, że ma jej coś ważnego do powiedzenia. Będzie musiała tak zrobić, żeby chociaż przez chwilę zostać z generałem sam na sam.

Nie było to jednak takie łatwe... Gdy wreszcie gość podniósł się do wyjścia, Araminta zaproponowała:

- Ja odprowadzę generała. Ty, Caro, zostań z mamą.

Caro zrozumiała, o co chodzi siostrze. Araminta wyszła z salonu na korytarz i poprowadziła generała do małego pokoiku na tyłach domu.

- Przyszedłem zobaczyć się z tobą - zaczął gość - ponieważ mam dla ciebie specjalne zlecenie na jutrzejszy wieczór.

Dziewczyna czekała na szczegóły.

- Przyjęcie odbywa się u lorda Rothinghama, który był obecny na wczorajszej kolacji.

Generał uśmiechnął się i dodał:

- Być może powinienem zacząć od tego, co pewnie już wiesz: kolacja okazała się wielkim sukcesem i książę regent przyznał, że Bouvais pobił na głowę mistrza Careme'a.

- Naprawdę?!

- A może sądzisz, że zastraszył go markiz i musiał coś takiego powiedzieć?

Oczy generała błyszcząły, gdy mówił dalej:

- Jak dobrze wiesz, regent nie lubi przyznawać się do porażki i już powziął decyzję o wydaniu kolacji, na którą Careme przygotowuje dania do tej pory w Londynie nie znane.

- Rozumiem - przytaknęła Araminta. - Takie konkursy mogą się ciągnąć bez końca.

- Z korzyścią dla ciebie, najdroższa!

Araminta spojrzała na niego pytająco, a generał wyjaśnił:

- Właśnie to przyszedłem ci powiedzieć. Lord Rothingham jest zdecydowany prześcignąć markiza i pytał mnie, czy mistrz Bouvais mógłby przygotować coś tak niezwykłego i egzotycznego, żeby zaćmiło wczorajsze przyjęcie.

- Myślałam, że zostanę już u markiza Wayne'a... - zaczęła Araminta, pomna ostatniej rozmowy z majordomusem.

- Nie słyszałaś jeszcze wszystkiego - przerwał jej generał. - Lord Rothingham zapewnił, że jeżeli spełnisz jego wymagania co do kolacji, na której będzie księżę, gotów jest podwoić sumę, którą teraz otrzymujesz!

- Podwoić?! - wykrzyknęła Araminta z niedowierzaniem w głosie,

- Zapłaci ci czterdzieści gwinei!

- Nie może być!

- Dla takich ludzi jak Rothingham pieniądze nic nie znaczą. Każdego wieczoru za stołem do kart ryzykują sumy tysiąckroć większe. Lord chce udowodnić księciu, że stać go na podjęcie jego wysokości lepszą kolacją niż ta, którą spożył u Wayne'a.

Araminta wybuchnęła śmiechem.

- Ależ są dziecinni!

- Bardzo dziecinni - poprawił ją generał - zważywszy, że Rothingham i markiz mieszkają obok siebie i tę dziwną rywalizację prowadzą już od kilku dobrych lat.

Araminta myślała o czymś intensywnie.

- Czy dam sobie radę? - zastanowiła się.

- To już ty musisz odpowiedzieć na to pytanie - rzekł generał. - Ale wydaje mi się, że są jakieś dania, znane ci z przekazów ojca, które niezbyt często pojawiają się na angielskim stole.

- Czterdzieści gwinei - wyszeptała Araminta. - Nie mogę odmówić, prawda?

- To oznacza, że będziesz mogła spłacić dług Harry'ego szybciej, niż się tego spodziewałaś.

Wszystko dzięki tobie, wujku Aleksie - powiedziała szybko dziewczyna. - Oboje doskonale wiemy, że na początku nie spodziewałam się dostać więcej niż pięć gwinei za obiad.

- A zatem powiem Rothinghamowi, że przyjmujesz jego propozycję. A przy okazji: lord wspomniał, byś - kupując rzadkie produkty - w ogóle nie zwracała uwagi na ich cenę.

Jesteś bardzo uprzejmy, wujku Aleksie! Żałuję tylko, że nie jestem wystarczająco bogaty, żeby ci pomóc i oszczędzić udręki przechodzenia przez to wszystko.

W jego głosie było tyle dobroci i serdeczności, że Araminta postanowiła wspomnieć mu o swoim spotkaniu z lordem Yeomanem.

Generał to zrozumie, na pewno będzie mógł jej w czymś doradzić...

Już otwierała usta, gdy posłyszała jakieś poruszenie w salonie na górze - mogła to być Caro albo matka.

Jeżeli lady Sinclair zauważy, że generał ciągle u nich jest, może nabrać jakichś podejrzeń. Araminta podeszła więc do drzwi i wyszeptała:

- Proszę powiedzieć lordowi Rothinghamowi, że się zgadzam, tylko przed wieczorem muszę wiedzieć, ile osób zostało zaproszonych.

- Przyślę ci liścik - obiecał generał. - Kolacja odbędzie się przed balem u księżnej Beaufort.

- Zatem nie będzie trwała zbyt długo - stwierdziła Araminta.

- Jakość, nie ilość! - uśmiechnął się generał. - Tym razem będą obecne także kobiety. Regent przybędzie w towarzystwie lady Hertford.

Araminta otworzyła drzwi.

- Jeszcze raz dziękuję, wujku Aleksie - wyszeptała. Generał uśmiechnął się do niej. Stąpając na palcach, podszedł do drzwi frontowych.

Czterdzieści gwinei, powtarzała sobie Araminta. Ciekawa jestem, czy mnie kiedykolwiek będzie stać na zapłacenie tylu pieniędzy za jedną kolację!

Zanim po lekkim obiedzie udała się do Wayne House, poinstruowała Caro, co ma robić.

Błagała ją, by natychmiast zaczęła przygotowywać sotelties i puddingi, które byłyby na tyle doskonałe, by zadowolić lorda Rothinghama.

- Zacznę, jak tylko mama się położy - obiecała Caro.

Po czym, by się podroczyć z siostrą, dodała z uśmiechem:

- W końcu i tak będziemy musiały znaleźć sto strusi, jeżozwierzka czy nogę dzika!

- Wątpię, by udało się to nam na jakimkolwiek rynku w Leadenhall - odparła Araminta.

- Wujek Aleks był bardzo miły, prawda?

- Najlepszy przyjaciel, jakiego kiedykolwiek mogliśmy spotkać.

Araminta wyruszyła do Wayne House z duszą na ramieniu. Żałowała, że nie zwierzyła się ze swoich kłopotów generałowi. Jednocześnie zdawała sobie sprawę, że starszy pan w niczym nie mógł jej pomóc. Z pewnością doradziłby

zostawić lorda Yeomana w spokoju i zająć się sprawami Harry'ego.

Wayne House w popołudniowym słońcu wydawał się jeszcze potężniejszy niż za pierwszym razem, kiedy go zobaczyła.

Położona w sąsiedztwie posiadłość lorda Rothinghama nie była tak wspaniała. W tej wielkiej budowli z ciemnego szarego kamienia było coś ponurego, podczas gdy greckie portyki Wayne House przydawały mu lekkości i elegancji.

Sąsiadowały ze sobą również ogrody i Araminta z uśmiechem pomyślała o rywalizacji pomiędzy obu właścicielami.

Jeżeli okaże się, że kolacja u lorda Rothinghama była lepsza niż wydana przez markiza, czy następnym razem zostanę poproszona o przygotowanie czegoś jeszcze wspanialszego? - zastanawiała się Araminta.

W ten sposób mogłoby się to ciągnąć w nieskończoność, a gdyby jej honoraria za każdym razem wzrastały dwukrotnie, wkrótce byłaby równie bogata jak jej pracodawcy!

Rozbawiła ją ta myśl, toteż uśmiechała się do siebie, zstępując po schodach prowadzących do kuchni.

- Panienska przyszła bardzo wcześnie - powiedział Jim, otwierając jej drzwi. - Nie spodziewaliśmy się pani przez najbliższe kilka godzin.

- Chcę się zobaczyć z majorem Brownlowem - oświadczyła Araminta. - Czy ktoś może zaprowadzić mnie do niego?

- Zapytałbym pana Hensona, ale on teraz odpoczywa.

- Zatem nie przeszkadzaj mu - odparła szybko. Jim przyprowadził Henry'ego, przystojnego osiemnastolatka, mającego z metr osiemdziesiąt wzrostu - tacy byli wszyscy lokaje w Wayne House.

- Major Brownlow jest w swoim biurze, miss Bouvais - powiedział. - Proszę pójść ze mną na górę. Zapytam, czy panią przyjmie.

- Dziękuję - odparła dziewczyna.

W pewnej chwili idący przed nią chłopak zatrzymał się, spojrzał na jej czepek i rzekł:

- Bardzo przepraszam, ale powinna panienka zdjąć czepek. Nie wypada służbie przychodzić do części mieszkalnej w służbowym stroju.

- Ależ oczywiście - zgodziła się Araminta. Miała nadzieję, że nie popełni już żadnego faux pas. Zdjęła czepek, przyglądała włosy i poprawiła sukienkę.

Uszyta z taniego muślinu i przewiązana w pasie niebieskim paseczkiem, wyglądała bardzo skromnie, ujawniając jednocześnie delikatne krągłości jej figury.

Jako że dzień był gorący, Araminta przyniosła ze sobą płaszcz, w którym zamierzała wrócić wieczorem do domu, i teraz wraz z czepkiem położyła go na krześle stojącym w korytarzu.

Wymykając się z Russell Square, poleciała Caro powiedzieć matce, że wyszła gdzieś z Harrym.

- Wprawdzie nie wiemy, co on robi - dodała - miejmy jednak nadzieję, że nie wróci do domu niespodziewanie. Uprzedź Hannah, by wyglądała na niego i nie pozwoliła mu rozmawiać z mamą, dopóki nie będzie miał gotowego wytłumaczenia, dlaczego nie ma mnie razem z nim.

- Dobrze - odparła Caro. - Wydaje mi się, że Harry nie sprzedał wczoraj swoich koni za cenę, jakiej oczekiwał, i dzisiaj próbuje jeszcze raz.

- Tak, to bardzo możliwe - zgodziła się Araminta. Idąc za Henrym po wąskich schodach, myślała, że jest mało prawdopodobne, by markiz był w domu o tej porze.



Postanowiła jednak, że po rozmowie z majorem Brownlowem poprosi o widzenie z Wayne'em.

Gdy obudziła się rano, wydarzenia poprzedniego wieczoru wydawały jej się wytworem zmęczonej wyobraźni.

Zadawała sobie pytanie, jak to możliwe, żeby młody człowiek był na tyle głupi, by przegrać w karty taką fortunę? Potem doszła do wniosku, że suma, jaką stracił Harry, także była bardzo duża, wzięwszy pod uwagę sytuację finansową ich rodziny.

Pokój majora Brownlowa przylegał do biblioteki, w której zwykł przesiadywać markiz, ilekroć był sam.

Araminta nie wiedziała o tym... Czekala w hallu, Henry tymczasem poszedł zapytać majora, czy ją przyjmie.

Przyglądała się kosztownym meblom w ogromnych korytarzach. Zerknęła także na olbrzymi, pełen marmurów hall. Stały tam połączane stoły z marmurowymi blatami, wykonane przez wielkich mistrzów zeszłego stulecia. Wielkie lustra Chippendale'a zdobiły chińskie pagody i egzotyczne smoki. Na tle jasnozielonych ścian projektowanych przez braci Adamów wspaniale wyglądały piękne rzeźby greckie.

Henry ciągle rozmawiał z majorem Brownlowem i Araminta podeszła do okazałego obrazu. Było to malowidło olejne przedstawiające mężczyznę opartego o skałę. Na drugim planie widać było przepiękny dom pośród zielonych drzew nad jeziorem.

Pod obrazem znajdowała się tabliczka: „Pierwszy markiz Wayne. Malował Thomas Gainsborough.

Dziewczyna z zainteresowaniem przyglądała się obrazowi. Nie ulegało wątpliwości, że pierwszy markiz był przystojnym mężczyzną. Musiał być dziadkiem, a może nawet pradziadkiem obecnego posiadacza tego tytułu.

Wyglądał dumnie, ale sympatycznie i Araminta zastanawiała się, co by czuł, gdyby wiedział, ile osób pałało nienawiścią do jego potomka.

Była tak pochłonięta kontemplowaniem obrazu, że nie zauważyła Henry'ego aż do momentu, gdy stanął obok niej.

- Długo mnie nie było - powiedział - ale to dlatego, że major rozmawiał z markizem.

- Czy przyjmie mnie teraz? - spytała dziewczyna.

- Markiz chce się widzieć z panią. Czeka w bibliotece. To te drzwi. - Pokazał ręką.

- Markiz?

Poczuła przyspieszone bicie serca. Chciała wprawdzie rozmawiać z markizem, ale dopiero po spotkaniu z majorem Brownlowem. Henry poprowadził ją w głąb korytarza.

- Jest przejście z pokoju majora do biblioteki - wyjaśnił - ale lepiej będzie, jeśli oficjalnie zaanonsuję panią,

Dopiero teraz oczom Araminty ukazały się ciężkie, rzeźbione mahoniowe drzwi. Wyglądały imponująco.

Henry wyciągnął rękę w kierunku klamki, po czym na moment zamarł w bezruchu i powiedział:

- Markiz będzie zaszokowany. - Uśmiechnął się niepewnie. - Ciągle myśli, że kucharz jest mężczyzną.

I impertynencko puścił do niej oko, by dodać jej otuchy.

Otworzył drzwi:

- Nasz kucharz, panie markizie!

Biorąc głęboki oddech, Araminta wolno weszła do biblioteki.

Było to najpiękniejsze pomieszczenie, jakie kiedykolwiek przedtem widziała.

Książki wyrastały od podłogi i sięgały sufitu; gdzieś stały rzeźbione pozłacane stoliczki i francuskie komódki.

Okna były przysłonięte czerwonymi aksamitnymi zasłonami, doskonale pasującymi do eleganckiego dywanu przykrywającego podłogę.

Zdażyła tylko pobieżnie zlustrować wnętrze, gdyż mężczyzna stojący przy oknie i przyglądający się ogrodowi odwrócił się.

W tym samym momencie usłyszała zamykające się za nią drzwi.

Stała nieruchomo: jej jasne włosy na tle ciemnych ścian, jej szare oczy, szeroko otwarte, niemal wypełniające całą twarz...

Mężczyzna przyglądał się jej z niedowierzaniem.

Był wyższy, niż Araminta przypuszczała.

Spodziewała się spotkać kogoś władczygo i przytłaczającego, lecz nie aż tak przystojnego.

Musiała przyznać, że nigdy przedtem nie widziała, nie wyobrażała sobie, przystojniejszego mężczyzny.

Był znakomicie ubrany. Każdy element jego stroju pasował do niego tak idealnie, jakby stanowił jego integralną część, czego przypuszczałnie nie był nawet świadom. Pod tym względem stanowił przeciwieństwo Harry'ego.

Jednakże w jego ustach i we wzroku było coś twardego.

- Kim jesteś? - zdecydował się w końcu przerwać ciszę.

- Jestem... kucharzem... w - w - wasza miłość. Jej głos brzmiał słabo i nieefektownie.

- To znaczy: Bouvais?

- Tak, wasza miłość.

- Zaskoczyłaś mnie! - wykrzyknął markiz. Odszedł od okna, by oprzeć się o rzeźbiony marmurowy kominek.

- Może powinnaś usiąść - zaproponował po chwili.

- Dziękuję, wasza miłość.

Była bardzo wdzięczna markizowi za tę propozycję, gdyż właśnie zastanawiała się, jak długo jeszcze zdoła ustać o własnych siłach.

Podeszła do kominka i gospodarz wskazał jej wysokie krzesło z połączanym oparciem i obiciem w cętki.

Araminta usiadła na brzegu, splatając dłonie na kolanach. Jej palce były zimne, a serce waliło jak oszałałe.

- Naprawdę jesteś kucharzem? - spytał markiz, patrząc jej głęboko w oczy. - Czy to przypadkiem nie jakiś żart wymierzony we mnie?

- Nie... wasza miłość. To ja wczoraj gotowałam... I mam nadzieję, że jesteś, panie, zadowolony.

- Oba posiłki były doskonałe - odparł markiz. - Ale jak to możliwe, że jesteś już tak doświadczona i tyle potrafisz w tak młodym wieku?

Araminta się uśmiechnęła.

- Gotuję już od kilku lat, wasza miłość... I miałam dobrych nauczycieli.

- To jest oczywiste, ale... - markiz urwał w połowie zdania. - Kiedy jego królewska mość dowie się o tym, naprawdę dostanie ataku!

- Może zatem lepiej byłoby nie mówić mu o tym - nieśmiało zaproponowała Araminta.

- Kto o tobie wie? - spytał Wayne.

- Tylko... generał.

- W takim razie najlepiej będzie, jeśli wszystko zostanie tak jak jest. Nie sądzę jednak, by udało nam się utrzymać ten sekret zbyt długo.

Araminta nic nie powiedziała, a po chwili markiz kontynuował:

- Major Brownlow, na moje polecenie, miał cię dzisiaj zapytać, czy zostaniesz u nas na stałe. Odpowiada ci nasza propozycja?

- Obawiam się, że nie, wasza miłość. Byłabym jednak szczęśliwa, gdybym mogła tu zostać do końca przyszłego tygodnia, z wyjątkiem jutrzejszego wieczoru.

- A dlaczegóż to nie możesz być tutaj jutro wieczorem? - zapytał markiz.

- Ponieważ otrzymałam propozycję przygotowania kolacji dla lorda Rothinghama.

- Do diabła! Wiedziałem, że coś knuje, gdy wczoraj patrzyłem na niego! - wykrzyknął markiz. - Musisz odmówić!

- Obawiam się, że nie będzie to możliwe - odparła chłodno Araminta. - Już przekazałam przez generała, że przyjmuję propozycję jego lordowskiej mości.

- Uważasz, że jego oferta była pierwsza?

- Tak, wasza miłość.

Markiz wyglądał na zirytowanego; zmarszczył brwi.

Araminta patrzyła na niego z lękiem. Miała znacznie więcej do powiedzenia, więc nie chciała go denerwować.

Markiz podjął decyzję.

- Bardzo dobrze - zaczął. - Idź do Rothinghama, jeśli musisz. Potem jednak oczekuję, że będziesz pracowała dla mnie tak długo, jak tylko to będzie możliwe. Wydaje mi się, że najlepiej będzie, jeśli przeprowadzisz się tutaj.

- Nie, to wykluczone... - powiedziała szybko Araminta.

- Poza tym mogę przygotowywać tylko kolacje.

- A co z obiadami? Pokręciła głową.

- Nie, wasza miłość.

- Zapewne uważasz, że skoro tak dobrze gotujesz, to możesz dyktować warunki, nieważne jak niewygodne dla pracodawcy?

Było coś pogardliwego w jego tonie i to nie podobało się Aramincie.

- Sam pan powiedział: ja dyktuję warunki. Mogę tylko wyrazić żal, że są niewygodne.

- I nie zamierzasz ich zmienić dla mnie?

- Nie, wasza miłość.

Czuła, że markiz zastanawia się, czy nie odesłać jej do diabła, ponieważ odważyła się mu przeciwstawić.

Jest okrutny, nieludzki i bezlitosny! - powtarzała sobie w duchu. Jeżeli nawet mogłabym zrobić to, o co mnie prosi, odmówiłabym z czystej przekory.

Uniosła nieco brodę i spojrzała na niego prowokacyjnie.

Ich oczy się spotkały i poczuła, że markiz siłą woli chce ją zmusić do posłuszeństwa.

Patrząc tak na niego, zdecydowała, że nigdy mu nie ulegnie. Jednocześnie była prawie pewna, że Wayne słyszy szalone bicie jej serca.

- Doskonale - oznajmił markiz. - Przyjmuję twoje warunki. Mam nadzieję, że praca w Wayne House spodoba ci się i zostaniesz u nas przynajmniej do końca sezonu.

- Nie sądzę, aby to było możliwe.

- Dlaczego? - padło ostre pytanie.

- Ze względów... osobistych.

- Przypuszczam, że chodzi o małżeństwo.

- Nie... Nie, nic podobnego - pospieszyła z wyjaśnieniem Araminta.

- Czy możesz zatem wyjaśnić nieco dokładniej, dlaczego nie możesz zostać tutaj, dopóki nie wyjadę z Londynu?

- Przykro mi, wasza miłość, ale nie mogę. Postaram się dogadzać panu do końca przyszłego tygodnia... Potem muszę wyjechać.

Markiz zacisnął usta. Araminta wiedziała, o czym pomyślał.

Ponieważ nie chciała go więcej drażnić, spytała cicho:

- Czy możemy porozmawiać na inny temat?

- Oczywiście.
  - Kiedy przyszedłam tu po raz pierwszy, by przygotować kolację, przywiozłam ze sobą kilka gotowych dań.
  - Powiedziano mi o tym. Jest to nieco dziwne, ale nie zamierzam ingerować w twoją pracę w najmniejszym nawet stopniu.
  - Dziękuję - uśmiechnęła się Araminta - nie o tym jednak chciałam rozmawiać.
  - Zatem o czym?
  - Zanim udałam się na kolację z resztą służby, składniki do creme brulee włożyłam do chłodziarki.
  - Creme brulee - powtórzył markiz. - Mój ulubiony pudding!
  - Powiedziano mi o tym później - rzekła Araminta. - I podejrzewam, że właśnie dlatego, gdy mnie nie było, do creme brulee dosypano trucizny!
- Jeżeli jej zamierzeniem było wywołać u markiza szok, to w pełni jej się to udało. Wpatrywał się w nią z niedowierzaniem.
- Trucizny! - wykrzyknął.
  - Tak, wasza miłość. Kot, który zaczął lizać miskę z jajkami i śmietaną, zdechł prawie natychmiast.
  - Czy to znaczy, że ktoś chciał mnie zabić?
  - Tak, wasza miłość.
  - I wiesz, kto to jest?
  - Pański poprzedni kucharz, ale na zlecenie kogoś innego.
  - Kogo?
  - Lorda Yeomana!
- Markiz zeszywniał, a po chwili zapytał:
- Skąd o tym wiesz? Kto ci to powiedział?
  - Kiedy byłam tu ostatnim razem - wyjaśniła Araminta
- lord Yeoman czekał na mnie w dorożce. Powiedział mi, co uczynił, a ponieważ pierwsza próba skończyła się

niepowodzeniem, usiłował mnie przekupić, bym zrobiła to jeszcze raz!

- Szczeniak! Każę go aresztować! - wybuchnął markiz.

- Gdy mu odmówiłam - ciągnęła Araminta - groził, że się zastrzeli. Wydaje mi się, że faktycznie zrobiłby to, gdybym go nie przekonała, że jest to głupie rozwiązanie.

- Sądzisz, że uwierzę w tę bajeczkę? - spytał markiz.

- To prawda - odparła Araminta. - Jeśli nie znajdzie innego wyjścia, jestem pewna, że się zastrzeli. Wiem, że woli ze sobą skończyć, niż prosić rodziców o sprzedaż domu, aby uzyskać pieniądze, które jest panu winien.

- Ta cała historia jest niedorzeczna! Ktoś powinien go ocucić! - krzyczał markiz. - Yeoman nie ma najmniejszego prawa straszyć cię czy tak histeryzować!

- Histeryzuje, bo jest w rozpaczach! Ma chorego ojca. Lord Yeoman obawia się, że sprzedaż domu zabije jego rodziców.

- To jego problem, nie twój - oświadczył markiz.

- Już jest mój - odpowiedziała Araminta - ponieważ lord Yeoman jest bardzo młody i bez wątpienia bardzo głupi.

Markiz milczał. Dziewczyna mówiła dalej:

- Jak wielu młodych ludzi, przyjechał do Londynu, by się rozerwać. Traf chciał, że wasza miłość rzucił wyzwanie, któremu nie potrafił się oprzeć.

- Co masz na myśli? - Zapewne musi pan wiedzieć, że bezwzględność i reputacja gracza, który nigdy nie przegrywa, podniecają młodych... Chcą takiemu dorównać... i próbując - niszczą siebie!

W głosie Araminty słychać było prawdziwe przejęcie. Markiz patrzył na nią uważnie i dopiero po chwili się odezwał:

- Lord Yeoman musi być twoim bardzo dobrym przyjacielem.

- Nawet o nim nie słyszałam.... aż do wczoraj.



- Dlaczego zatem tak bardzo przejmujesz się jego problemami?

- Ponieważ jest młody, ponieważ nie jest jedynym młodym człowiekiem, którego doprowadził pan, markizie, do bankructwa. Jeśli się zabije, a jestem pewna, że może do tego dojść w każdej chwili, wasza miłość będzie za tę śmierć odpowiedzialny.

- Czy naprawdę sądzisz, że powinienem poczuwać się do odpowiedzialności za każdego młodego głupca, który wyrzuca przy stole karcianym nie należące do niego pieniądze?

- Wasza miłość ich prowokuje i... dlatego jest to nierówna rywalizacja.

- Co masz na myśli, mówiąc: nierówna?

- Pan może sobie pozwolić na przegraną. Nie ryzykuje nic, co jest dla pana ważne. Ale oni ryzykują wszystko... nie tylko pieniądze, ale całą przyszłość, a być może i życie!

- Nie każę im ze mną grać - bronił się markiz.

- Tu nie chodzi o słowa - odparła Araminta. - Chodzi o to, że panu wszystko się zawsze udaje, więc oni chcą być tacy sami. I dlatego próbują się z panem zmierzyć. Nie zdają sobie sprawy, że pańskie bogactwo, władza, pewność siebie z góry skazują ich na przegraną.

Aramincie załamał się głos. Me chciała wybuchnąć płaczem, wstała więc i podeszła do okna, starając się odzyskać samokontrolę.

Markiz nie poruszył się, cały czas jednak ją obserwował. Po chwili zapytał cicho:

Czego ode mnie oczekujesz?

Araminta odwróciła się ku niemu.

Jej oczy były wilgotne, po policzkach spływały łzy, a drobne usteczka lekko drżały.

- Proszę pana o anulowanie długu lorda Yeomana - powiedziała. - Przecież to dla pana tak niewiele znaczy. W gruncie rzeczy niczego pan nie traci.

Odetchnęła głęboko.

- Jeżeli pan to uczyni, markizie, nie tylko uratuje mu pan życie, ale także wykaże hojność i wyrozumiałość - cechy, o które nikt wcześniej pana nie podejrzewał.

Cóż za szczerość, panno Bouvais - odrzekł markiz, uśmiechając się krzywo. Zapadła cisza.

- Bardzo mi przykro - powiedziała Araminta. - Proszę mi wybaczyć, jeśli obraziłam waszą miłość.

- Nieczęsto się zdarza, bym słyszał prawdę o sobie - rzekł markiz. - Z tego, co przed chwilą usłyszałem, wnioskuję, że nie masz o mnie najlepszej opinii.

- Moja opinia nie ma tu najmniejszego znaczenia - oświadczyła Araminta. - Rozmawialiśmy o lordzie Yeomanie.

- Nigdy w życiu - powiedział markiz - nie proszono mnie o coś równie niezwykłego. Być może nie tylko powinienem spełnić twoją prośbę, ale także obiecać, że ilekroć będę siadał do gry, poproszę moich przeciwników o pokazanie świadectw urodzenia, by przekonać się, czy są do tego wystarczająco dorośli?

Był cyniczny, ale oczy Araminty się rozjaśniły. - Czy naprawdę anuluje pan dług lorda Yeomana? - spytała z niedowierzaniem.

- Nie mam chyba innego wyjścia - odparł markiz. - Muszę zrobić to, o co mnie prosisz, albo skazać tego młodego idiotę na śmierć. Jak słusznie zauważyłaś, miałbym go na sumieniu. Jeżeli je mam.

- Myślę, że tak.

Gdy mówił, Araminta podeszła do niego i teraz stała przed nim, patrząc mu w oczy.

Przez chwilę spoglądali tak na siebie, potem markiz powiedział wolno:

- Jeżeli spełnię twoją prośbę, to będę miał prawo poznać prawdę o tobie.

- Nie mogę jej wyznać!

Nie wiedziała dlaczego, ale nie mogła przestać na niego patrzeć.

Jego oczy także były szare, tyle że jaśniejsze i bardziej surowe. Ich spojrzenie przenikało do głębi. Czowała się tak, jakby zaglądał jej do serca. Powiedziała sobie jednak, że to tylko dziewczęca wyobraźnia każe jej tak myśleć.

On wygląda tak wspaniale! - pomyślała. I wcale nie jest taki straszny, jak o nim mówią. Darował dług lordowi Yeomanowi i muszę być mu za to wdzięczna!

- Dlaczego nie możesz opowiedzieć mi o sobie? - spytał markiz.

- Nie ma o czym mówić.

- Wiem, że to nieprawda, i jestem coraz bardziej zaniepokojony.

- Bardzo mi przykro. Był pan bardzo uprzejmy i łaskawy, chciałabym spełnić pańską prośbę, ale niestety - nie mogę.

- Dlaczego? - spytał jeszcze raz markiz.

- Dlatego, że muszę zachować tajemnicę. Nie chodzi tylko o mnie, ale także o kogoś... innego.

Spuściła oczy. Jej ciemne rzęsy stanowiły kontrast dla bladych policzków.

Markiz nic nie powiedział, a po chwili Araminta zaczęła nerwowo:

- Wydaje mi się, że powinnam wrócić do kuchni. Nie wiem, ile osób zostało zaproszonych na dzisiejszą kolację, ale jeszcze nic nie jest przygotowane.

- Zawrzemy umowę - oświadczył markiz.

- Umowę? - powtórzyła nerwowo Araminta, podnosząc ku niemu wzrok.

- Uczciwą - dodał uspokajająco markiz. - Odnajdę lorda Yeomana, powiadomię go o anulowaniu długu i wyślę go z powrotem na wieś. Musi trochę dorosnąć, nim znowu zasiądzie do kart.

Araminta klasnęła.

- To byłoby... cudowne z pańskiej strony! Lord Yeoman jest w klubie „White's” i czeka na wiadomość ode mnie.

- Zobaczą się z nim osobiście - obiecał markiz. - To znaczy wtedy, kiedy ty dotrzymasz swojej części umowy.

- Co mam zrobić?

- Chcę, byś wieczorem przygotowała kolację tylko dla mnie - oświadczył. - A potem chcę z tobą trochę porozmawiać. Czy proszę o zbyt wiele?

- Nie - zgodziła się niepewnie Araminta. - Wydaje mi się, że nie.

- Ale wolałabyś tego nie robić?

- Nie o to chodzi... Po prostu, ja nigdy...

Już chciała powiedzieć, że nigdy nie była sam na sam z mężczyzną, ale zaraz przypomniała sobie, za kogo się podaje. Wszak kucharka nigdy nie poprosiłaby o damę do towarzystwa, a jej wahanie byłoby dla markiza zupełnie niezrozumiałe.

Araminta była pewna, że to niekonwencjonalne zaproszenie wzbudzi wiele komentarzy wśród służby - nieczęsto bowiem się zdarza, by markiz spędzał wolny czas z dziewczyną z kuchni.

Wayne, jakby czytając w jej myślach, powiedział:

- Masz rację. Nie powinniśmy rozmawiać tutaj. Czy zatem pozwolisz zabrać się na kolację? Jest wiele miejsc, gdzie można spokojnie porozmawiać i wypić kieliszek szampana.

Mama byłaby przerażona!, pomyślała Araminta. Ale po chwili zdała sobie sprawę, że jej matka nigdy się o tym nie dowie, a jeżeli dzięki temu ma uratować lorda Yeomana, nie może odmówić.

Oczy markiza spoczywały na jej twarzy. Jakby rozumiejąc jej wahanie, odezwał się cicho:

- Obiecuję nie zatrzymywać cię dłużej, niż sama będziesz miała na to ochotę.

- Dziękuję. Z przyjemnością przyjmuję pańskie zaproszenie.

Dygnęła i skierowała się ku drzwiom. Gdy już miała je otworzyć, nie mogła się oprzeć pragnieniu obejrzenia się.

Markiz stał tam, gdzie go zostawiła, i patrzył na nią.

- Mam nadzieję, że wasza miłość zdaje sobie sprawę - powiedziała cicho - iż mogę przyjść ubrana tylko tak jak teraz i że może się pan wstydzić mojego wyglądu.

- Nie będę się wstydził - zapewnił ją markiz. - Z kolei, żebyś ty nie czuła się zawstydzona, pójdziemy do jakiegoś cichego, spokojnego miejsca.

- Bardzo dziękuję.

Dygnęła jeszcze raz i otworzyła drzwi.

Gdy tylko wyszła na zewnątrz, poczuła się jak osoba wrzucona do burzliwego morza, której w cudowny sposób udało się nie utonąć.

## Rozdział 5

Przez szybkę Araminta widziała jasno oświetlone wejście i upudrowanego lokaja otwierającego drzwi powozu.

- To wygląda wspaniale - powiedziała nieśmiało. Markiz, siedzący obok niej, uśmiechnął się.

- Nie ma się czym denerwować - odrzekł. - Nikt' nas nie zobaczy.

Nie wiedziała, co miał na myśli, aż do chwili, gdy jej oczom ukazały się szerokie schody prowadzące na pierwsze piętro.

Znajdował się tam długi korytarz, z licznymi drzwiami po obu stronach. Prowadzący ich mężczyzna otworzył jedne z nich i powiedział z obcym akcentem:

- Mam nadzieję, że spodoba się tutaj waszej miłości.

- Wystarczająco - uciał krótko markiz.

- Natychmiast przyślę maitre d'hotel, panie - dodał mężczyzna, uniżenie się kłaniając.

Araminta rozejrzała się wkoło i jej pierwotne zaniepokojenie przeszło w zaskoczenie tym, co ujrzała.

Znajdowali się w małym kwadratowym pokoiku ze ścianami pokrytymi tapetą w kwiaty i oknem przysłoniętym aksamitnymi zasłonami w kolorze rubinu.

Pod ścianą stała olbrzymia, wygodna sofa z jedwabnymi poduszkami, a na środku stół przykryty koronkowym obrusem. Na stole paliły się dwie świece.

Spojrzała pytająco na markiza.

- Powiedziałem ci, że nikt nas nie zobaczy.

- Myślałam, że pójdziemy do restauracji...

- I jesteśmy w restauracji - odparł. - Mam nadzieję, że jedzenie będzie ci smakowało... Gość może tutaj, jak widzisz, zamówić także cabinet particulier.

- To dziwne - powiedziała Araminta prawie do siebie.

Gdy wchodzili na górę, słyszała dochodzące z oddali głosy i muzykę. Była pewna, że na dole jest mnóstwo ludzi, być może w dużej restauracji, takiej, do której bałaby się wejść.

W każdym razie, myślała, będąc tu sam na sam z markizem, nie muszę się wstydzić mojej prostej sukienki.

Markiz wziął od niej płaszcz i położył go na krześle przy drzwiach.

Gdy po skończonej kolacji w Wayne House Araminta spytała, czy może się umyć, zaprowadzono ją do pustej sypialni w piwnicy. Była skromnie umeblowana, ale czysta i wyposażona w umywalkę oraz lustro, przy którym mogła poprawić włosy.

Umyła się dokładnie, cały czas myśląc, jakby to było wspaniale mieć jakąś ładną suknię. Wprawdzie wychodząc z domu, włożyła najładniejszą, jaką miała, ponieważ zamierzała rozmawiać z markizem, wiedziała jednak, że w porównaniu z damami, z którymi Wayne zwykł przebywać, wygląda bardzo ubogo.

A zresztą, czy to ważne, jak wyglądam? - spytała samą siebie. Przyproceedził mnie tutaj tylko dlatego, że odpuściwszy dług lordowi Yeomanowi, uważa, iż należy mu się moja wdzięczność.

Jednocześnie czuła, że musi sprawić, by markiz zaczął ją podziwiać jako kobietę.

Była zaskoczona swoimi uczuciami do niego.

Tak mocno go nienawidziła za to, jak postąpił z Harrym, przygotowała się na nieustępliwą z nim walkę, tym bardziej że skrzywdził również lorda Yeomana.

A teraz nie mogła uwierzyć, że skapitulował tak szybko i że uratowała przynajmniej jednego młodego człowieka od płacenia za swoją głupotę.

Była przekonana, że markiz będzie nalegał - tak jak obiecał - by lord Yeoman wrócił na wieś do swoich rodziców.

Jakkolwiek by jednak było, młodzieniec dostał nauczkę i już nigdy więcej nie będzie się zachowywał w tak nieodpowiedzialny i nierozsądny sposób.

Markiz był bardzo łaskawy i muszę okazać mu wdzięczność, postanowiła.

Po kolacji do kuchni przyszedł lokaj i oznajmił:

- Pan powiedział, że jedzie w tym samym kierunku co panienka i że mam ją zabrać do domu naszą kareta.

- To bardzo uprzejmie z jego strony - odparła chłodno Araminta.

Gdy jednak wchodziła po schodach na górę, czuła na sobie pytające spojrzenia służby kuchennej.

Podszedł do niej Henson i oświadczył tonem, w którym - jak jej się wydawało - dźwięczała nuta pogardy: - Markiz nie jest jeszcze całkowicie gotów. Lepiej jednak, by panienka wsiadła do powozu, żeby nasz pan nie musiał czekać.

- Dobrze, panie Henson - odparła.

Przed frontowymi drzwiami stał powóz, ozdobiony herbem Wayne'ów.

Ledwo wsiadła, zaraz ujrzała markiza w jasno oświetlonym hallu.

Jego widok onieśmielił ją.

Araminta często widywała ojca i wielu sąsiadów ubranych w stroje wizytowe, ale nigdy sobie nawet nie wyobrażała, że mężczyzna może wyglądać tak wspaniale i tak dystyngowanie.

Doskonale dobrany krawat świetnie harmonizował z frakiem, który leżał na nim jak druga skóra.

Czemu ja nie mam żadnej ładnej sukni?, żałowała Araminta.



Pieniądze, za które mogłabym sprawić sobie jakąś modną garderobę, muszę oddać markizowi! Gdyby wiedział, jak przez niego cierpię!

Potem, starając się być rozsądną, zmusiła się do myślenia o ich wzajemnych stosunkach w kategorii pracownicy i pracodawcy. Markiza nie powinno obchodzić, jak wygląda czy też jak nie wygląda.

Mimo to bardzo się martwiła o swój wygląd, szczególnie teraz, gdy nie okrywał jej już płaszcz. Markiz, w swym wspaniałym ubraniu, zdawał się wypełniać sobą cały pokój, tak że trudno było patrzeć na cokolwiek oprócz niego.

- Czy dużo jest takich pokoi? - spytała dziewczyna. Zalekniona, bojąc się jego wzroku, czuła, że musi coś powiedzieć.

- Sporo - odparł markiz. - I jest na nie olbrzymie zapotrzebowanie.

- Czyje? - zaciekawiała się Araminta.

- Ludzi takich jak ja i my, którzy nie chcą być przez nikogo widziani - wyjaśnił markiz. - W większości wypadków chodzi o mężczyzn, którzy pragną spędzić miłe chwile z jakąś damą, a nie mają chęci, by ich żony się o tym dowiedziały.

Araminta nic nie odrzekła, toteż markiz dorzucił: - Sprawiasz wrażenie zaszokowanej. Prawdę mówiąc, nie jestem... zaszokowana. Jestem zaskoczona! Moi rodzice byli bardzo szczęśliwym małżeństwem i prawdopodobnie dlatego nie zdawałam sobie sprawy, że są mężczyźni, którzy oszukują swoje żony w ten sposób.

Markiz podstawił jej krzesło, na którym usiadła.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi i pojawił się kelner z menu. Markiz wziął od niego kartę.

- Czy jadłaś już kolację? - spytał Aramintę. Pokręciła głową.

Tak była zajęta gotowaniem dla niego i pragnieniem dogodzenia mu, że zupełnie zapomniała o głodzie.

- Nalegam zatem, byś spróbowała niektórych specjałów, z których słynie Louis. Czy mam zamówić za ciebie?

- Tak, proszę - zgodziła się Araminta. - Nie jestem jednak bardzo głodna.

Markiz złożył zamówienie płynną francuszczyzną i kelner opuścił pokój, cały czas się kłaniając. Kim jest Louis? - spytała Araminta.

- Francuzem, który przyjechał do Anglii i otworzył tę bardzo dziś znaną i cenioną restaurację.

- Słyszałam, że po rewolucji wielu doskonałych kucharzy opuściło Francję - powiedziała.

- Louis jest jednym z nich - potwierdził markiz. - Pracował dla księcia de Chamois. Jeżeli książę jest jeszcze pośród żywych, w co wątpię, to i tak nie byłoby go stać na korzystanie z usług tak drogiego kucharza.

A po krótkiej przerwie dodał z uśmiechem:

- Uchodzi za mistrza w tym, co robi, ale muszę stwierdzić, że nie uważam go za należącego do tej samej kategorii co ty.

- Dziękuję.

- Bardzo mi smakowała dzisiejsza kolacja.

- Cieszy mnie to.

Araminta nieco się martwiła, że markiz mógłby uznać kolację za zbyt mało wyszukaną.

Mięso, które znalazła w chłodziarce, było - według jej opinii - nie najlepsze, ale tego samego dnia przysłano ze wsi wielki kosz kurczaków, jaj i warzyw. Zdecydowała się więc uwieńczyć kolację creme brulee, chociaż mógł się on markizowi nieprzyjemnie kojarzyć.

- Obawiam się, że nie zdołam zjeść czegokolwiek - oświadczył markiz - ale chcę, byś ty się dobrze bawiła i zapomniała o swojej pracy.

Stół był mały i markiz usiadł obok Araminty, a nie - jak było w zwyczaju - naprzeciwko.

Spojrzała na niego i - podobnie jak w powozie - jego bliskość wywołała w niej dziwny, rozkoszny dreszcz.

- Jak masz na imię? - spytał.

- Araminta.

- Niezwykłe i śliczne!

Zaczerwieniła się.

- Mówiłaś, że jesteś zdziwiona, iż dżentelmeni tutaj przychodzą. Zapewne zdajesz sobie sprawę, że większość małżeństw jest nieszczęśliwych?

- Jestem przekonana, że to nieprawda! - odparła - Chyba że... w Londynie.

- Sądzisz, że na wsi jest inaczej? - Z pewnością. Mężczyźni mieszkający na wsi nie mają tyle wolnego czasu, by marnować go na hazard czy spotkania z jakimiś damami.

Mówiła z przekonaniem, ale w głosie markiza pojawiła się nutka drwiny, gdy odpowiedział:

- Jesteś bardzo surowa w swych sądach i nietolerancyjna, co należy do nieodłącznych cech młodości.

- Być może chodzi o to, że nasze wymagania są wyższe, ponieważ nie pozbawiono nas jeszcze złudzeń.

- Tak, to możliwe - zgodził się markiz. - Wiele lat upłynęło od czasu, kiedy miałem jeszcze jakieś złudzenia.

Araminta zastanawiała się, czy to było to, co Harry i lord Yeoman opisywali jako jego powściągliwość czy też pogardę dla wszystkich.

Kelner przyniósł butelkę szampana w srebrnym wiaderku wypełnionym lodem.

Nalał nieco do kieliszka markiza, ten spróbował i skinieniem głowy zezwolił na napełnienie kieliszka Araminty.

- Lubisz szampana? - spytał.

- Nieczęsto go piłam - przyznała dziewczyna. - Zwykle przy specjalnych okazjach, takich jak urodziny czy gwiazdka.

Pomyślała, że markiz może być zaskoczony, dodała więc:

- Mój ojciec wolał czerwone wino, ale nawet na taki luksus nie mogliśmy sobie zbyt często pozwolić.

- Twoja rodzina jest biedna?

- W porównaniu z panem - bardzo biedna.

- Jestem pewien, że nie jesteś wystarczająco silna, by pracować tak ciężko jak obecnie.

- Tak, to jest męczące - przyznała Araminta - ale jakoś daję sobie radę.

- Wydaje mi się, że to za wiele dla ciebie.

- Nie będę pracowała tak ciężko, gdy wyjadę pod koniec tygodnia.

- Gdzie wyjeżdżasz?

Zerknęła na markiza, jakby obawiając się, że chce ją zdemaskować, i odparła wymijająco:

- Na wieś.

- I nie wychodzisz za mąż?

- Już mówiłam, że nie.

- Wielu mężczyzn musiało cię prosić o rękę. Araminta wybuchnęła śmiechem.

- Szczerze mówiąc... nikt!

- Musisz zatem mieszkać na bezludnej wyspie albo w okolicy zamieszkaney przez ślepców - zawyrokował markiz.

Już miała ponownie się roześmiać, ale napotkała jego wzrok i śmiech zamarł jej na ustach.

- Araminto, jesteś bardzo piękna - powiedział łagodnie markiz.

Pierwszy raz zwrócił się do niej po imieniu. Nie chodziło jednak o to; to wyraz jego szarych oczu sprawił, że - nie wiadomo, dlaczego - poczuła się nieco zakłopotana i przestraszona.

Z ulgą powitała wejście kelnera, który przyniósł jedzenie.

Po rosole podano danie, któremu Araminta przyglądała się z dużym zaciekawieniem.

- To Poulet Supreme Louis - wyjaśnił markiz. - Specjalność tego przybytku. Byłbym rad usłyszeć twoją opinie o tym.

Sam nic nie jadł, tylko bawił się znajdującymi się na stole czarnymi oliwkami i orzechami.

Araminta skosztowała dania z kurczaka.

- Bardzo dobre!

- Taka pochwała z ust mistrza! - uśmiechnął się markiz.

- Jedyne zastrzeżenie, jakie mogę mieć, dotyczy nazwy.

Markiz uniósł brwi.

- To nie powinno się nazywać Poulet Supreme Louis. Pierwszy człon nazwy powinien brzmieć: Lapin.

- Królik! - wykrzyknął markiz. - A to łajdak! Niewiele osób potrafi wyczuć różnicę, a przecież królik jest znacznie tańszy od kurczaka.

Zaśmiał się.

- Zaraz poślę po Louisa i powiem mu, że jego oszustwo zostało wykryte!

- Proszę, nie... - wtrąciła szybko Araminta. - Proszę tego nie robić. To takie kłopotliwe, a poza tym naprawdę niewiele osób zauważy różnicę.

Była pewna, że markiz będzie obstawał przy swoim, prosiła go więc dalej:

- Proszę...

- Nie zrobię niczego wbrew twojej woli - oświadczył markiz. - Muszę przyznać, Araminto, że masz na mnie dziwny wpływ.

- Jak to? - zainteresowała się dziewczyna.

- Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek zmienił zamiar pod wpływem kobiety. W ciągu ostatnich kilku godzin dwukrotnie ci ustąpiłem...

- Mam wrażenie, że niewystarczająco podziękowałam panu za łaskawość dla lorda Yeomana. Czy bardzo się zdziwił?

- Był zdumiony! - odpowiedział markiz. - Prosił mnie, bym przekazał ci jego najszczerze wyrazy wdzięczności.

- Czy wraca na wieś?

- To jeden z warunków anulowania długu.

- Wiedziałam, że pan to zrobi, markizie.

- Skąd ta pewność?

- Przypuszczałam, że zechce pan pomniejszyć swoją hojność, żądając od niego czegoś w zamian.

- Tak jak zażądałem od ciebie?

- Nie było aż tak trudno zadośćuczynić pańskiej prośbie.

- Miałem jednak wrażenie, że byłaś niechętna mojemu zaproszeniu na kolację.

- Ponieważ nigdy przedtem...

- Nigdy przedtem nie jadłaś posiłku sam na sam z mężczyzną?

- Tak!

- I żaden mężczyzna nigdy ci się nie oświadczył? Pokręciła głową.

- I nikt cię jeszcze nie całował? Araminta lekko drgnęła i się zaczerwieniła.

- Oczywiście, że... nie - powiedziała szybko.

- Jesteś bardzo młodą osobą - zaczął markiz - a mimo to masz wiedzę kulinarną, której pozazdrościłby ci każdy kucharz, nawet o dwadzieścia lat starszy. Jak to możliwe?!

- Obiecał pan, że nie będziemy rozmawiali o mojej pracy - przypomniała mu Araminta.

- Ale nie mogę się powstrzymać od zadawania ci pytań na twój temat - oświadczył markiz. - Znowu, Araminto, chcesz mnie powstrzymać od tego, na co mam ochotę.

- A na co ma pan ochotę?

- Lepiej cię poznać i zrozumieć, dlaczego jesteś taka, jaka jesteś.

- Wolałabym, byśmy porozmawiali o... panu.

- To nieskończenie nudne - odparł markiz - ale niech będzie tak, jak chcesz. Czego pragniesz się dowiedzieć?

Spojrzała na niego.

Markiz z kieliszkiem szampana w ręku, wygodnie rozparty na krześle sprawiał wrażenie bardzo zrelaksowanego.

Nie mogła zrozumieć, jak to się działo, że gdy mówił do niej, serce biło jej szybciej i coś ścisnęło ją za gardło.

- Ciekawa jestem, dlaczego... dlaczego traktuje pan wszystkich tak, jakby stał pan na szczycie olbrzymiej góry, a reszta ludzi patrzyła na pana z dna doliny - powiedziała w końcu.

Markiz wyglądał na zaskoczonego. Wyprostował się na krześle i spytał ostro:

- Z kim o mnie rozmawiałaś?

- Z nikim - odparła Araminta. - Słyszałam, że zawsze trzyma się pan na uboczu i jest trochę... inny. I zgadzam się z tą opinią.

- Ciekaw jestem, jakie masz ku temu podstawy? Zapadła cisza, którą po chwili przerwała Araminta.

- Tu nie chodzi o pański wspaniały wygląd, pieniądze czy wpływy... Wrażenie, jakie pan sprawia, wynika raczej z pańskiej osobowości.

Widziała, że markiz słucha jej bardzo uważnie.

- Nie wyrażam się zbyt precyzyjnie - dodał załamując rękę.

- I uważasz mnie za nieprzyjemną osobę? - spytał ostro markiz.

- Za nieprzyjemną? Nie, może trochę... wzbudzającą strach, ale zarazem intrygującą. Jak już powiedziałam, to sprawia, że różni się pan od innych mężczyzn.

- Zaskakujesz mnie! - wykrzyknął markiz. - Ile masz lat?

- Prawie dziewiętnaście.

- Pragnę cię zapewnić, Araminto, że jeżeli ja różnię się od pozostałych mężczyzn, to żadna inna dziewczyna w twoim wieku nie jest do ciebie choć trochę podobna.

- Naprawdę? - zdziwiła się. - Mam nadzieję, że to nieprawda.

- Dlaczego? - spytał markiz.

- Ponieważ chcę, by... Urwała w pół zdania.

Zdała sobie sprawę, iż pochłonięta rozmową z markizem, nie bardzo zastanawiała się nad tym, co mówi.

Zapomniała, że nie było dla niej miejsca w towarzyskim świecie Londynu i że pod koniec tygodnia wraca do nudy Bedfordshire. Tam będzie miała do czynienia z ludźmi, których zna od lat.

- By co? - dopytywał się markiz.

- Och, to nie ma znaczenia - zachnęła się Araminta. - I znowu mówiliśmy o mnie!

- Zadałem ci pytanie - przypomniał markiz - a ty odpowiedziałaś na nie w sposób dla mnie absolutnie zaskakujący.



- Mogę jeszcze o coś spytać?
- Proszę bardzo - zgodził się markiz.
- Dlaczego marnuje pan swój cenny czas na hazard, wygrywając pieniądze, które nie są panu potrzebne i które w żaden sposób nie zmieniają pańskiego życia?

Po krótkiej chwili zastanowienia markiz odpowiedział:

- Po prostu w ten sposób spędzam czas. Muszę przecież coś robić.

- Nie wydaje się panu, że to idiotyczny sposób zabijania czasu, który tak inteligentna osoba jak pan mogłaby znacznie lepiej wykorzystać?

- Co sugerujesz?

- Ma pan posiadłość na wsi - powiedziała Araminta. - Jestem pewna, że zdaje pan sobie sprawę z kryzysu, w jaki popadła wieś od zakończenia wojny?

Na twarzy markiza pojawił się wyraz zaskoczenia, dziewczyna tymczasem mówiła dalej:

- Historia wykazuje, że zawsze tak jest po wojnie. Chłopi byli niezbędni jako żołnierze, a teraz się o nich zapomina i importuje żywność z zagranicy tańszą od rodzimej produkcji.

Mówiła poważnym głosem:

- Wielu najemców zwolniono i teraz głodują. Banki albo zbankrutowały, albo w ogóle nie udzielają pożyczek. Czy ktoś nie powinien zabrać głosu w imieniu tych ludzi i uświadomić rządowi ich tragedię?

Markiz odstawił kieliszek.

- Skąd o tym wszystkim wiesz?

- Ponieważ mieszkam na wsi - odrzekła dziewczyna. - Rozmawiam z wieśniakami, widzę, co się dzieje. Boli mnie serce, gdy - nie zebrawszy plonów - ponownie zaorują ziemię.

Nie dodała, że Bedfordshire było tym hrabstwem, z którego pochodziło najwięcej produktów, które widziała na Covent Garden.

Pamiętała, co przed śmiercią mówił jej ojciec na temat chłopów, a ci, których znała od dziecka, zawsze byli radzi mieć kogoś, kto by ich wysłuchał.

- Uważam Izbę Lordów za wyjątkowo nudne miejsce - powiedział markiz, jakby się broniąc.

- Ale to chyba ciekawsze - grać ludźmi niż kartami? - spytała pogardliwie Araminta.

Wszedł kelner, by zabrać naczynia.

Napełnił filiżanki kawą i postawił przed markizem kieliszek brandy. Ku zaskoczeniu dziewczyny obszedł pokój, przyciemniając wszystkie światła, z wyjątkiem świecznika stojącego przy dużej sofie i świec na stole.

Wyszedł, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

Araminta nagle poczuła się dziwnie i trochę nieswojo.

Cienie, które zawładnęły pokojem, stwarzały atmosferę zagrożenia, a światło padające na sofę wydawało się jej zaproszeniem, którego nie rozumiała.

Upiła szampana i powiedziała nieco nerwowo:

- Robi się późno... Powinnam już wracać do domu.

- Jest jeszcze wcześniej - zapewnił ją markiz. - I jest mnóstwo rzeczy, które chciałbym ci powiedzieć.

- To może zabrzmieć nieuprzejmie - odrzekła wolno - ale wydaje mi się, że nie powinnam tu być... sam na sam z panem.

- Dlaczego?

- Nigdy przedtem nie byłam w restauracji - wyznała - chociaż oczywiście o nich słyszałam. Nie przypuszczałam, że tak wyglądają... Ani tego, że przychodzą tu ludzie, którzy nie chcą być przez nikogo razem widziani...

- Czy robimy coś złego? - spytał markiz. - Nie... ale być może nie będzie dla pana najlepiej, gdy ludzie się dowiedzą, że byliśmy tu razem.

- Zapewniam cię, że każdy z moich znajomych uznałby mnie za ogromnego szczęściarza, któremu udało się spędzić wieczór z kimś tak pięknym i atrakcyjnym.

Było w jego głosie coś takiego, co sprawiało, że nabrała przekonania, iż nie jest to ton, jakim rozmawia się na towarzyskich przyjęciach.

Wydało jej się, że otaczające ich ściany zbliżają się do niej coraz bliżej, z minuty na minutę, i ogarnęła ją nagląca potrzeba ucieczki.

Odsunęła krzesło od stołu i wstała. - Jestem panu bardzo wdzięczna za wielkoduszność, którą okazał pan lordowi Yeomanowi. Dotrzytałam mojej części umowy, a więc, czy mogę już odejść?

- Przypuśćmy, że powiem, iż musisz zostać tu trochę dłużej i nie pozwolę, byś teraz odeszła? - spytał markiz.

Araminta poczuła się tak, jakby jej serce nagle przestało bić. Spojrzała na markiza i wyraz jego twarzy sprawił, że wstrzymała oddech. Powiedziała cicho:

- Obiecał pan, że będę mogła odejść, kiedy zechcę. Proszę dotrzymać danego słowa...

- Od początku naszej znajomości wszystko toczyło się po twojej myśli - powiedział markiz. - Teraz chyba mój ruch?

Ciągle siedział, a mimo to Araminta miała wrażenie, że góruje nad nią. Wydawało jej się, że dostrzegła błysk w jego oczach, ale równie dobrze mogło to być odbicie świecy.

- Proszę - powtórzyła. - Nie podoba mi się tutaj. Nie potrafię wyrazić tego słowami, ale czuję, że nie powinnam tu być.

Oczekiwała jego sprzeciwu, lecz on uśmiechnął się i powiedział łagodnie:

- Masz rację, Araminto. To nie jest odpowiednie miejsce dla ciebie, ale nie mogliśmy pójść nigdzie indziej, by być sami.

Wstał, wziął jej płaszcz leżący na krześle obok drzwi i położył go na jej ramionach. Przez chwilę jego mocne dłonie spoczywały na jej barkach tak, jakby była jego więźniem. Po sekundzie się odezwał:

- Czy mogę dodać do twych licznych umiejętności i tę: unikania trudnych sytuacji?

Nie wiedziała, o co mu chodzi, i gdy tylko uwolniła się z jego rąk, ruszyła ku drzwiom.

Markiz otworzył je przed nią i oboje wyszli na korytarz.

Gdy schodzili po schodach, hałas i muzyka stały się niemal ogłuszające. W hallu markiz wziął ją pod rękę i poprowadził do wyjścia.

Podjechał powóz i gdy wsiedli, Araminta uświadomiła sobie, że woźnica czeka, żeby podała swój adres.

- Gdzie mieszkasz? - spytał markiz. Araminta się zawahała.

- Zatrzymałam się na Russell Square trzydzieści sześć.

Wiedziała, że księżę Bedford mieszka po przeciwnej stronie placu.

Gdy lokaj zamknął drzwiczki, zaczęła się zastanawiać, co zrobić, by markiz nie dowiedział się, że nie może jawnie wejść do domu.

- Czy mieszkasz u przyjaciół? - spytał.

- Tylko do końca tygodnia - wyjaśniła.

- Mam nadzieję, że dobrze o ciebie dbają. Londyn może być bardzo niebezpieczny dla kogoś tak uroczego jak ty.

- Wszyscy są bardzo uprzejmi.

- Tak jak ja?

- Już powiedziałam, jaka jestem panu wdzięczna.

- I dobrze bawiłaś się dzisiejszego wieczoru, chociaż nie chcesz zostać ani chwili dłużej?

- Rozmowa z panem była przyjemnością - zapewniła Araminta. - Proszę jednak przyjąć do wiadomości, że to się już nie powtórzy.

- Dlaczego nie?

Zawahała się. Najłatwiej byłoby powiedzieć, że służba uważałaby za dziwne, iż markiz spotyka się ze swoją kucharką. Taka odpowiedź nie byłaby jednak zupełnie szczerą.

Chodziło o coś więcej... Czuła, że nie wolno jej za bardzo angażować się w tę znajomość. Była świadoma, że stąpa po grząskim gruncie.

Markiz, jak gdyby odgadując jej myśli, rzekł:

- Czy naprawdę uważasz, że rozmawiamy ze sobą ostatni raz? Mam wrażenie, że wspomnienie twojego głosu nie będzie dawało mi spokoju.

Araminta milczała. Markiz zaś mówił dalej.

- Dałaś mi dużo do myślenia. Zaskoczyłaś mnie i oszołomiłaś, powiem więcej: oczarowałaś mnie, czego - uwierz mi - nigdy żadnej kobiecie nie udało się dokonać.

Zerknęła na niego i szybko odwróciła wzrok, gdyż markiz siedział znacznie bliżej, niż się tego spodziewała.

Gdy powóz skręcał, ich ramiona dotknęły się; doznała dziwnego uczucia, którego do końca nie rozumiała.

- Jeszcze cię zobaczę, Araminto - zapewnił markiz. - Możesz być tego absolutnie pewna!

- Wszyscy w Wayne House będą plotkowali na nasz temat - powiedziała cicho.

- Niech plotkują!

- To błąd!

- Nie mój - odparł markiz. - Ja myślę o sobie. Jeżeli zależy ci na tym, bym zmienił styl życia i nie zapomniał o pewnych rzeczach, o których dzisiaj wspomniałaś...

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że zamierza zająć się chłopami, to znaczy...

- Czy mam ci złożyć obietnicę, że się tym zajmę? Muszę jednak o tym z tobą porozmawiać. Nie mogę się zgodzić z twoimi argumentami, nie przedyskutowawszy ich.

- Proszę zrozumieć, że to trudne - wymamrotała.

- Przeszkody istnieją tylko po twojej stronie - powiedział markiz. - Jeżeli chodzi o mnie, nie ma żadnego problemu. Chcę się z tobą spotkać, Araminto, a co więcej - zrobię to!

Stanowczość w jego głosie zapierała dech w piersi.

Jechali w milczeniu. Wydawało jej się - chociaż markiz nawet się nie poruszył - że siedzi bliżej niż poprzednio. Niemalże czuła jego obejmujące ją ręce i w nie znany jej sposób przyciągające ją bliżej i bliżej...

Wydawał się panować nad nią, a mimo to wcale się go nie bała; była raczej dziwnie podniecona w sposób, jakiego jeszcze nigdy nie doświadczyła.

Powóz zatrzymał się znacznie wcześniej, niż się spodziewała, i Araminta doszła do wniosku, że restauracja musi się znajdować bliżej Russell Square aniżeli Park Lane.

Wyjrzała przez okno i zobaczyła - jak przewidywała - że stoją po przeciwnej stronie placu.

- Czy lokaj ma zadzwonić do drzwi? - spytał markiz.

- Nie, nie...! Wszyscy już śpią. Mam własny klucz - wyjaśniła szybko.

Lokaj otworzył drzwiczki i markiz wysiadł, by pomóc Aramincie.

Rozmyślnie dłużej przytrzymała jego dłoń, mówiąc:

- Dobranoc i jeszcze raz dziękuję za wszystko. Markiz pochylił się i pocałował jej dłoń. Jego usta ledwo musnęły

koniuszki jej palców, ale dziewczynie wydawało się, że przeszył ją gorący płomień, docierając do najdalszych zakamarków jej jestestwa.

Potem szybkim krokiem pobiegła nie po schodach prowadzących do drzwi wejściowych, lecz przez żelazną bramę, ku schodom prowadzącym do sutereny.

Była pewna, że markiz nie pójdzie za nią, i po chwili rzeczywiście usłyszała trzaśnięcie drzwiczek i stukot kół odjeżdżającego powozu.

Czekała, aż była zupełnie pewna, że nikt jej nie zobaczy - wówczas z powrotem weszła po schodach na górę.

Plac był pusty, lecz ciągle miała wrażenie, że markiz stoi u jej boku.

Prześladuje mnie!, pomyślała przerażona.

Zacząła biec, ale nawet wtedy wiedziała, że nie ma już dla niej ucieczki.

Następnego ranka Araminta z samego rana udała się na rynek.

Poprzedniego wieczoru, gdy wróciła do domu, obudziła Hannah i powiedziała jej, co postanowiła kupić na kolację u lorda Rothinghama.

- Generał zostawił dla ciebie wiadomość - poinformowała ją Hannah. - Będzie dwadzieścia osób o dość wczesnej porze.

- Myślałam już o kilku daniach - oznajmiła Araminta - ale może będziemy musiały zmienić menu, gdy zobaczymy, jaki mamy wybór.

Szczęśliwym trafem większość potrzebnych im produktów była dostępna na rynku.

Lord Rothingham prosił o egzotyczne i niezwykle dania. Teraz, gdy jadłospis był gotów, Araminta pomyślała, lekko się uśmiechając, że lord nie będzie miał żadnych powodów do narzekania na przeciętność przygotowanych przez nią potraw.

- Wiem, co powiedziała by papa na widok twojego menu - wykrzyknęła Caro, zobaczywszy sprawunki Araminty.

- A mianowicie?

- Że planujesz prostacki bal dla żarłoków! Araminta się zaśmiała.

- Właśnie to robię! Nigdy nie spotkałam lorda Rothinghama, lecz on sprawia wrażenie idioty zazdrosnego o osiągnięcia sąsiada.

- Na pewno wydałaś mnóstwo jego pieniędzy - zauważyła Caro.

- Jestem pewna, iż to typ człowieka, który jest przekonany, że im więcej wyda, tym lepiej zostanie obsłużony - powiedziała Araminta z pogardą w głosie.

Robienie zakupów trwało dłużej, niż zakładały, ponieważ Araminta postanowiła kupić prawdziwy rosyjski kawior i zanim im się to udało, musiały odwiedzić kilka różnych miejsc.

Wskutek tego lady Sinclair zainteresowała się, gdzie są Hannah i Araminta, i Caro musiała wyjaśnić powód ich nieobecności.

- Gdzie się podziewałaś, moje dziecko? - spytała matka, gdy Araminta w końcu się pojawiła.

Na szczęście dziewczyna zawczasu przygotowała sobie odpowiedź.

- Czy Caro nie powiedziała ci, mamo, że Harry dziś wieczorem wydaje kolację dla przyjaciół i obiecałam mu ugotować niektóre potrawy?

Lady Sinclair wyglądała na zaskoczoną, Araminta tymczasem mówiła dalej:

- Jest znacznie taniej, gdy zakupy robi się bezpośrednio na rynku. Jestem pewna, że to rozumiesz.



- Oczywiście - odparła lady Sinclair. - Domyślam się, że Harry'ego nie stać na zakupy w tych drogich sklepach w Mayfair.

- Też tak sędzę - przytaknęła skwapliwie Araminta.

Podczas ich nieobecności Caro zdołała przygotować słodczyce, które z pewnością zaintrygują lorda Rothinghama i zachwyca księcia regenta.

Tym razem zrobiła ogromną pozłacaną królewską koronę, a wokół niej wszystko, co stanowiło hobby jego wysokości.

Znajdowała się więc tam małeńka cukrowa replika królewskich pawilonów z Brighton, obrazki w ramkach z piernika i kolorowe objets d'art, wykonane z marcepana.

Na miano prawdziwego arcydzieła zasługiwały greckie boginie, których nagość skrywały lekkie draperie.

- Caro, jesteś genialna! - wykrzyknęła z podziwem Araminta. - Jeżeli to nie zadowoli lorda Rothinghama, to znaczy, że nic go nie zadowoli!

- Pracowałam nad tym ostatniej nocy, aż zasnęłam przy stole - powiedziała Caro. - Dzisiaj też wzięłam się do pracy od razu po waszym wyjściu.

- Są doskonale - zapewniła Araminta. - Mam tylko nadzieję, że nie połamią się w drodze do Park Lane.

- Są mocniejsze, niż wyglądają.

- Gdybyśmy mieli więcej pieniędzy, brałabyś lekcje rzeźby. Jestem pewna, że zrobiłabyś fortunę!

- Niestety, nie można rzeźbić w cukrze - odparła Caro - a na żadne inne materiały nas nie stać.

Araminta objęła ją i mocno przytuliła do siebie.

Marzyła, aby bogato wyjść za mąż i potem pomóc siostrze.

Niestety, kłopoty Harry'ego przekreślały ich nadzieje. Araminta nie była jedyną, która cierpiała w wyniku jego głupoty i nieodpowiedzialności.

- Tak mi przykro - powiedziała, wiedząc, że Caro rozumie.

Araminta bardzo się lękała pracy u lorda Rothinghama. Przyzwyczaiła się do pracy w Wayne House i niepokoiła ją potrzeba zaczynania wszystkiego od początku. Wkrótce się przekonała, że było się czego obawiać. Nie tylko że kuchnie były ciemne i duszne, a wyposażenie staroświeckie, ale także panował tu brud, służba zaś była gburowata i niechętna do pomocy.

Stwierdziła, że w tym wypadku nie zwolniono kucharza tak jak Gustave - lecz po prostu kazano mu się jej przyglądać i uczyć przyrządzania nowych potraw.

To nie zapowiadało najlepszej atmosfery pracy.

Co więcej, trudno jej było pokazać wszystko, co potrafiła, nieprzyjaznym jej sługom.

Próbowała być miła, ale kucharz był najwyraźniej niezadowolony z pojawienia się w swoim królestwie kogoś tak młodego, i to w dodatku kobiety!

Młodszy pomocnicy i lokaje okazali się jako tako przydatni, natomiast podkuchenne i pomywaczki były nadąsane, a nawet - w odczuciu Araminty - głupkowate.

Na szczęście wraz z Hannah większość pracy wykonały wcześniej i teraz pozostawało już tylko ostateczne gotowanie potraw.

Służba nie mogła się powstrzymać od okrzyków zachwyty, zobaczywszy przywiezione przez Aramintę słodczyce. Lokaje, którzy wnieśli je do jadalni, powiedzieli, że ustawione na środku stołu, robią wyjątkowe wrażenie.

Araminta uznała, że najstosowniejszymi kwiatami do przybrania stołu będą storczyki.

Wszystkie potrawy ułożono na złotych półmiskach i goście także mieli jeść ze złotych talerzy.

Araminta przygotowała bliny z kawiozem i wiedziała, że to jedno danie nie będzie już wymagało zbyt wiele pracy.

Przygotowała także przy pomocy Hannah potrawę, którą zawsze uważała za największe osiągnięcie kulinarne. Robiło się ją z dzikiego ptactwa, ale ponieważ nie było jeszcze sezonu polowań, Araminta kupiła na targu Leadenhall młodego indyka.

Do niego włożyła gęś, do gęsi - perliczkę, do niej gołębia i wreszcie do samego środka - przepiórkę.

Po raz pierwszy pokusiła się o przygotowanie tego dania, a gdy już je skończyła, z zadowoleniem stwierdziła, że wykonała swoje zadanie na piątkę.

Złoty talerz, na którym położono indyka, ozdobiła truflami, ostrygami i grzybami, tworząc przepiękną, cieszącą oko kompozycję.

Niełatwo było znaleźć składniki do dań, których zażyczył sobie lord Rothingham.

Zdecydowawszy się na bażanta w liściach winogron i dziką kaczkę z wiśniami gotowaną w czerwonym winie, Araminta postanowiła dodać potrawę, która mogła bardziej zirytować lorda, niż go zadowolić. Jednocześnie jednak odwoływała się do jego poczucia humoru i spełniała warunek niezwykłości.

- Co to jest? - spytała Caro przed wyjściem siostry. Zaglądała do miski, w której było mięso, posolone i garnirowane warzywami niczym pot - au - feu.

- Zgadnij! - zaproponowała Araminta.

- Nie mam pojęcia - odparła Caro - ale widzę, że dodałeś do sosu madery.

- To Oreilles a la Rouennaise - wyjaśniła Araminta.

- Oreilles? - powtórzyła Caro. - Chyba nie masz na myśli świńskich uszu?

Wyraz twarzy Araminty wskazywał, że to była prawda.

- Nie możesz tego postawić przed księciem regentem! - jęknęła.

- Taki właśnie mam zamiar - oświadczyła siostra - Nie ma paw, nie sądzę, żeby łabędź był godny uwagi, a jedyne strusie w Londynie znajdują się w zoo.

Caro zaczęła się śmiać.

- Uszy świni! Jesteś niepoprawna! Możesz być pewna, że po czymś takim lord nigdy więcej nie poprosi, byś dla niego gotowała.

- Nic nie szkodzi - odparła Araminta. - Do końca tygodnia jestem zajęta u markiza.

- Aż spłacimy dług Harry'ego? - poważnym głosem spytała Caro.

- Dokładnie tak - przytaknęła Araminta.

I przyrzekła sobie w duchu, że już nigdy potem nie zobaczy markiza.

Zastanawiała się, dlaczego ta myśl była aż tak niepokojąca.

## Rozdział 6

Araminta podniosła swoją sakiewkę, którą uprzednio położyła na płaszczu, i przywiązała ją jedwabną tasiemką do przegubu dłoni.

W środku znajdowały się pieniądze, które zwrócono jej za produkty zakupione na kolację u lorda Rothinghama, ale honorarium za wieczór jeszcze jej nie zapłacono.

Nie było już nic więcej do zrobienia, ponieważ pomywaczki zmyły wszystkie naczynia, które ze sobą przywiozła.

Dowiedziała się od jednego z lokajów, że goście lorda już się udali na bal do księżnej Beaufort.

- Jego wysokości smakowała kolacja - powiedział lokaj.  
- Spróbował każdego dania, jakie było na stole.

- Miło mi to słyszeć - odparła Araminta. Zbliżyło się do niej kilku służących.

- Zastanawiam się - powiedziała nieśmiało - czy ktoś z was nie zechciałby zapytać sekretarza jego lordowskiej mości, czy mogę otrzymać moje honorarium, gdyż pragnę już pójść do domu.

- Kazano mi zaprowadzić panienkę na górę - powiedział lokaj. - Tam panienka odbierze pieniądze.

Araminta spojrzała na niego zaskoczona.

Być może, pomyślała, sekretarz lorda Rothinghama nie może powierzyć takiej kwoty służącym.

Przez cały czas, kiedy gotowała w tej ciemnej, brudnej kuchni, powtarzała sobie, że czterdzieści funtów, które otrzyma, pomoże szybciej wyprowadzić Harry'ego z kłopotów.

- Czy sekretarz może przyjąć mnie teraz? - spytała. - Myślę, że tak - padła odpowiedź. - Pokażę drogę.

Idąc za nim, Araminta myślała, że im prędzej stąd wyjdzie, tym będzie dla niej lepiej.

Zdała sobie sprawę, jak nieprzyjemna może być praca służącej, i z uczuciem ulgi uświadomiła sobie, że od następnego tygodnia nigdy więcej nie będzie musiała występować w takiej roli.

Gdy znaleźli się na górze, spostrzegła, że - w przeciwieństwie do Wayne House - korytarze tu były wąskie, słabo oświetlone, a meble, mimo iż sprawiały imponujące wrażenie, były znacznie gorszej jakości niż u markiza.

Ogólnie jednak rzecz biorąc, nie bardzo interesowały ją ruchomości lorda. Była zmęczona, chciała odebrać swoją należność i jak najszybciej znaleźć się w domu.

Lokaj przystanął.

- Tutaj miałem przyprowadzić panienkę - powiedział i otworzył drzwi.

Araminta weszła do środka i stwierdziła, że nie jest to pokój sekretarza, ale raczej salon.

W dalekim końcu, plecami do kominka, stał mężczyzna, którego nie trzeba było jej przedstawiać: lord Rothingham.

Wyglądał dokładnie tak, jak go sobie wyobrażała: rumiany czterdziestolatek. Był ubrany według najświeższej mody i miał na sobie mnóstwo biżuterii. Spojrzała na niego zaskoczona.

- Proszę wejść, panno Bouvais. Jak sama widzisz, specjalnie czekałem, by się z tobą zobaczyć - przywitał ją tonem, który od razu jej się nie spodobał.

Dziewczyna powoli podeszła w jego kierunku.

Gdy była dostatecznie blisko, zauważyła, że miał wytrzeszczone oczy i głębokie bruzdy pod nimi, co nadawało mu wygląd rozpustnika.

- Miałem rację! - stwierdził, gdy stanęła na dywaniku przed kominkiem. - Z bliska jesteś jeszcze piękniejsza niż z daleka!

Araminta nie zrozumiała.

- Z daleka?

- Widziałem cię - oznajmił lord z uśmiechem - jak wchodziłaś bocznym wejściem do Wayne House.

Nic nie odrzekła, on zaś mówił dalej:

- Doniesiono mi, że markiz ma niezmiernie urodziwego kucharza, który - choć wydało mi się to niemożliwe - jest nie mężczyzną, lecz kobietą!

Zapadła cisza. Lord Rothingham uważnie przyglądał się Aramincie.

- Kto panu o tym doniósł? - zapytała, ponieważ czuła, że musi coś powiedzieć.

- Służba plotkuje, najdroższa. Przypadek sprawił, że jeden z moich lokajów „chodzi” - o ile jest to dobre określenie - z jedną z pomocy kuchennych markiza.

Araminta zaśmiała się krótkim, nieprzyjemnym śmiechem.

- Zapewne zdajesz sobie sprawę, iż wprowadziłaś nieco zamieszania do Wayne House. Muszę natomiast przyznać, że gotujesz wybornie!

- Cieszy mnie, że jesteś, panie, zadowolony. - Wydawało mi się uzasadnione, byś zapłatę za dzisiejszy wieczór otrzymała z moich rąk.

Mówiąc to, lord Rothingham wyciągnął przed siebie kopertę. Araminta wzięła ją i była przekonana, że może już się oddalić.

- Dziękuję, milordzie. Wsadziła kopertę do sakiewki.

- Nie zobaczysz, co jest w środku?

- Nie ma chyba takiej potrzeby? - odpowiedziała pytaniem na pytanie. - Generał poinformował mnie o kwocie, którą obiecał pan zapłacić.

- Spełniłem moją obietnicę - przytaknął lord - a ponadto dołożyłem jeszcze dziesięć gwinei, ponieważ wydaje mi się, że na nie zasłużyłaś.

- To bardzo uprzejme z pańskiej strony - odparła Araminta - lecz zupełnie niepotrzebne. Wystarczy mi uzgodnione wcześniej czterdzieści.

Mówiąc to, postanowiła wyjąć z koperty dziesięć gwinei i oddać je lordowi.

Jakkolwiek bowiem zatrzymanie ich byłoby dla niej korzystne, czuła niewytłumaczalną odrazę do przyjmowania od Rothinghama dodatkowych pieniędzy.

- Myślałem, że będziesz zadowolona - oznajmił - i miałem nadzieję, że będziesz chociaż trochę wdzięczna.

- Jestem wdzięczna, milordzie. Bardzo... bardzo dziękuję.

- Jakieś niemrawe te twoje podziękowania - zawyrokował lord.

W jego głosie pobrzmiwała groźna nutka. Araminta pospiesznie dygnęła i powiedziała:

- Jeszcze raz dziękuję, ale proszę pozwolić mi już iść.

- Nie tak szybko! - zawyrokował lord. - Chyba jesteś mi coś winna? Nie tylko za moje szczodre pourboire, ale także za to, że przez ciebie tracę bal u księżnej.

- Muszę iść - powtórzyła szybko Araminta.

Już odwracała się ku drzwiom, gdy lord Rothingham mocno chwycił ją za nadgarstek.

- Nie ma pośpiechu! - powiedział. - Jesteś bardzo ładna, moja droga. Prawdę mówiąc, myślałem o tobie od chwili, kiedy ujrzałem cię po raz pierwszy.

Dziewczyna próbowała wyrwać się z uścisku, lecz lord nie puszczał.

- Proszę... proszę pozwolić mi odejść!

Chciała, by jej słowa brzmiały zimno i dostojnie, lecz głos zdradzał strach i przerażenie.

- Musisz nauczyć się odwzajemniać uprzejmość uprzejmością - oświadczył Rothingham.

Przyciągnął ją do siebie i objął drugą ręką.



Araminta zaczęła się szamotać.

Mężczyzna był znacznie silniejszy, niż się spodziewała, i chociaż z nim walczyła, przyciągał ją coraz bliżej i bliżej, aż dotknęła jego piersi, i objął ją dwiema rękami.

- Jesteś zachwycająca! - orzekł. - Odnoszę wszakże wrażenie, że mimo iż jesteś doskonałym kucharzem, to możesz się ode mnie nauczyć o wiele więcej w innej sztuce!

- Proszę pozwolić mi odejść! - wyjąkała. Lord zaśmiał się, a był to śmiech triumfu. Zamknął ją w stalowym uścisku, sprawiając, że czuła się bezradna wobec jego brutalnej siły. Jego usta błędziły po jej twarzy w poszukiwaniu ust.

Odwracała głowę, wykręcała ją, ale wiedziała, że prędzej czy później on ją pokona, że to tylko kwestia czasu.

Czuła, jak jego gorące i chciwe usta przesuwają się po jej policzkach.

Ponieważ napawało ją to obrzydzeniem, jakiego jeszcze nigdy nie doświadczyła, ostatkiem sił wciąż jeszcze walczyła. Niemalże nadludzkim wysiłkiem zdołała odepchnąć go od siebie i, ciężko dysząc, pobiec w drugi kąt salonu. Serce waliło jej niczym potężny kofar.

Lord Rothingham się zaśmiał.

- Nie uciekniesz mi, moja czarodziejko! Będziesz moja, bo służba nie wypuści cię z domu.

Araminta stanęła za ciężkim fotelem.

Łapiąc oddech, patrzyła, jak lord powoli zbliża się do niej. Wiedziała, że jest naprawdę groźny.

Na jego grubych ustach pojawił się złowieszczy uśmiezek, a jego oczy nieco się zwęziły.

Wiedziała, że to, co chciał z nią zrobić, było tak nikczemne, tak obrzydliwe, że wołała raczej umrzeć, niż mu ulec.

Zerknęła na drzwi, czując, że nie rzucał słów na wiatr, kiedy mówił, iż jej nie wypuści. Służba, której od początku nie

lubiła, z pewnością odmówiłaby ich otworzenia, skoro tak rozkazał pan.

Był coraz bliżej. Wiedziała, że za chwilę znowu ją złapie i że tym razem może nie być ucieczki.

Poczuła na policzku lekki przeciąg i z krzykiem, jaki wydaje przestraszone zwierzę, rzuciła się w kierunku oszklonych drzwi prowadzących do ogrodu.

Czuła miękką trawę pod stopami, ale zdawała sobie sprawę, że goniący ją lord Rothingham jest tylko o krok.

Ogród był mały i wiedziała, że trudno jej będzie znaleźć kryjówkę.

Co więcej, światło księżyca w połączeniu ze światłem bijącym z okien domu odbierało nadzieję, że skryją ją ciemności i w panującym mroku lord nie zdoła jej odnaleźć.

Biegła na oślep przed siebie, byle dalej od tego domu, dalej od goniącego ją mężczyzny. Nagle, ku swemu przerażeniu, ujrzała przed sobą mur.

Zaraz jednak przypomniała sobie, że za murem jest ogród markiza.

Miała jeszcze tylko kilka sekund, ciężkie kroki lorda coraz bardziej bowiem się zbliżały.

Przy murze stał ciężki metalowy walec, którego ogrodnicy używali do wyrównywania trawnika. Podbiegła do niego, wskoczyła nań i z ulgą stwierdziła, że od przejścia na drugą stronę dzieli ją jedynie pół metra.

Mieszkając na wsi od dziecka wchodziła na drzewa, przechodziła przez mury i ploty. Przejście na drugą stronę nie było więc dla niej trudne. Podciągnęła się do góry i przeskoczyła.

Podarła suknię, ale to nie miało teraz żadnego znaczenia.

Była już po drugiej stronie; gdy usłyszała głos lorda:

- Wiem, gdzie się schowałaś, najmilsza, i nie uciekniesz mi.

Jego pewność sprawiła, że przestraszyła się, iż nawet tutaj może ją dosięgnąć i chwycić w swe wstrętne ramiona.

Chciała krzyczeć o pomoc, ale udało jej się wydobyć tylko cichy szloch. Zaczęła biec w kierunku jasno oświetlonego Wayne House, wiedząc, że tam będzie bezpieczna.

Zobaczyła kilka stopni, prowadzących z ogrodu wprost do jednego z pokoi. Ciągłe przerażona, kierowana strachem, wbiegła po nich i wpadła do pokoju.

Rozpoznała bibliotekę Wayne House. Gdy tak stała, starając się złapać oddech i nerwowo się rozglądając, otworzyły się drzwi i do środka wszedł markiz.

Przyglądał się jej zdumiony.

Bez chwili zastanowienia, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, Araminta podbiegła ku niemu.

- Pomóż mi! Proszę!... Pomóż mi... - wyrzuciła ciężko dysząc i szukając ratunku w jego ramionach.

- Co się stało? - spytał markiz.

Jego głos i poczucie bliskości pozwoliło jej wyjąkać jedno urywane zdanie:

- L... lord Rot... Rothingham... Chce... chce mnie... złapać!

- Rothingham?! - wykrzyknął markiz. - Cóż on takiego zrobił? Co się stało, Araminto?

- Chciał mnie... pocałować! Powiedział, że mu nie ucieknę! B... boję się!

- Ale uciekłaś mu i nie ma się już czego bać. Jesteś bezpieczna. Zaopiekuję się tobą.

Poczuła ulgę. Spojrzała na niego i dopiero teraz zdała sobie sprawę, że jest w jego objęciach. Przybliżył swoje usta do jej ust.

Przez chwilę czuła tylko zdziwienie. Potem, gdy jego usta, namiętne i uparte, zaczęły ją całować, zrozumiała, że to było

to, czego pragnęła od momentu, gdy go ujrzała po raz pierwszy.

Czuła się jak w nieznanym niebie, a cudowność tego, co się działo, było jak gorąca fala przepływająca przez jej ciało, zatapiająca serce i usta.

Ramiona markiza zacisnęły się i przyciągnął ją jeszcze bliżej.

Gdy tak zatopił swe usta w jej ustach, poczuła, jakby jakaś nieziemski siła pozbawiła ją serca i duszy.

Nigdy przedtem nie doświadczała takiego radosnego uniesienia; nie wierzyła, że coś takiego może w ogóle istnieć.

To miłość!, uświadomiła sobie. Wierzyłam, że kiedyś ją znajdę!

Markiz całował jej oczy, policzki, szyję i znowu usta...

Za każdym razem, kiedy jej dotykał, drżała od nowych i cudownych doznań, w których było coś duchowego i niebiańskiego doskonałego.

Wreszcie markiz wyprostował się i spojrzał na nią.

- Kocham cię - wyszeptała.

- Już wczoraj wiedziałem, co do ciebie czuję - odrzekł on - ale bałem się powiedzieć ci o tym.

- Niczego nie rozumiałam - wymamrotała dziewczyna.

Przytulił ją mocniej.

- Gdybym przypuszczał, że ta świnią przestraszy cię, nie pozwoliłbym ci tam pójść.

- Obserwował mnie z okna...

- Zapomnij o nim - poprosił markiz. - To się już nigdy nie powtórzy, obiecuję ci!

Poprowadził ją do sofy i usiedli blisko siebie. Araminta położyła głowę na jego ramieniu.

- Kiedy po raz pierwszy uświadomiłaś sobie, że mnie kochasz? - spytał.

- Kiedy mnie... pocałowałeś - wyszeptała, czerwieniąc się.

- I czy twój pierwszy pocałunek był taki, jakiego oczekiwałaś?

- Był cudowny... o wiele cudowniejszy, niż mogę to wyrazić słowami.

Zawahała się i niepewnie przyglądając mu się swymi szarymi oczyma, spytała:

- A czy dla ciebie też był... cudowny?

- Najwspanialszy z pocałunków, jakim kiedykolwiek obdarzono mnie w życiu - odpowiedział. - Przez całą noc nie spałem, myśląc o tobie.

- Ty też nie opuszczałeś moich myśli. Nie zdawałam sobie jednak sprawy, że to miłość. Markiz się uśmiechnął. - Jesteś, najdroższa, bardzo inteligentna, ale jest jeszcze mnóstwo rzeczy, których mogę cię nauczyć, i przyznaję - będzie to najbardziej podniecająca lekcja, jakiej kiedykolwiek udzielałem.

- Naprawdę? - spytała.

Przypomniała sobie lorda Rothinghama i się wzdrygnęła.

- Gdybyś nie mieszkał tak blisko, gdyby nie udało mi się uciec...

- Nie myśl już o tym - poradził jej markiz. - Zapomnij o wszystkim, co się wydarzyło. To moja wina. Gdybym wczoraj powiedział to, co chciałem powiedzieć, nic podobnego by się nie wydarzyło i w ogóle byś nie gotowała dla Rothinghama.

- Już nie będę musiała... gotować dla obcych - powiedziała Araminta.

Myślała o pięćdziesięciu funtach, które miała w sakiewce. Była pewna, że ta suma oraz pieniądze, które mieli w domu, wystarczą, by spłacić dług Harry'ego.

Przez chwilę zastanawiała się, czy powinna wyjawic markizowi, dlaczego pracowała i dlaczego przyjęła zaproszenie lorda Rothinghama.

Rychło jednak doszła do wniosku, że byłoby to równoznaczne z prośbą o anulowanie długu, co uważała za poniżające.

Ponieważ go kochała, nie mogła przyjmować od niego jałmużny.

Ponieważ go kochała, dopiero po spłaceniu długu będzie mogła mu powiedzieć, co zmusiło ją do podjęcia pracy.

- O czym myślisz? - spytał markiz. - Jeżeli nie o mnie, to będę zły!

Uśmiechnęła się do niego. Była tak szczęśliwa, że cały pokój zdawał się wypełniony złotym światłem.

- Trudno... nie myśleć o... tobie.

- Tak jak ja mogę myśleć tylko o tobie. Jego usta zmysłowo przesuwaly się po jej czole niczym po jedwabiu. Potem, podniecony jej delikatnością, zaczął znowu ją całować, tak że cały pokój zawirował Aramincie przed oczami i nie mogła już o niczym myśleć, tylko czuła...

Całował jej szyję i poczuła płomień biegnący jej żyłami, będący przyjemnością graniczącą z bólem.

Pragnęła skryć twarz w jego ramieniu, ponieważ wstydziła się swojego podniecenia.

- Jesteś taka piękna - wyszeptał markiz. - Twoje oczy to tajemnicze jeziora, w których widzę twe serce. - Ono... należy do ciebie. - Chcę całować cię od stóp do głów. Namiętność w jego głosie sprawiła, że Araminta się zaczerwieniła.

- Muszę... iść do domu - wymamrotała. Powiedziała to wbrew sobie, ponieważ nie miała najmniejszej ochoty opuszczać go w takiej chwili.

- Nie mogę znieść myśli, że chcesz mnie teraz zostawić - poskarżył się markiz. - Zupełnie niespodziewanie pojawiłaś się w moim życiu i od razu wypełniłaś je tak, że nie mogę już myśleć o nikim innym!

- Ty także wypełniasz moje życie.

- Oczarowałaś mnie, a jednocześnie zainspirowałaś - oznajmił markiz. - Żadnej kobiecie przed tobą nie udało się tego dokonać.

- Cieszy mnie to...

- Och, moja najśłodsza, pragnę cię!

W jego słowach była głębia uczucia, która ją onieśmielała.

- Naprawdę muszę już iść.

- Zawiozę cię do domu. Ale jutro znowu się spotkamy i porozmawiamy o naszych planach.

Araminta wstała.

Markiz podszedł do dzwoneczka przy kominku, lecz ona powstrzymała go:

- Nie! Proszę... Nie mogę pozwolić, by służba widziała mnie w takim stanie.

Markiz spojrział na nią, jakby dopiero teraz zauważył, że szamotanina z lordem Rothinghamem doprowadziła jej ubranie i fryzurę do opłakanego stanu.

Jeden rękaw u sukni był na w pół oderwany, sama suknia zaś - brudna od wspinania się na mur i rozdarta w kilku miejscach.

Araminta przyglądała się sobie z przerażeniem.

- Zostawiłam gdzieś mój płaszcz...

- Wyglądasz uroczo - zapewnił markiz. - Tysiąc razy piękniej od wszystkich kobiet, które do tej pory znałem.

Uśmiechnął się do niej czule i mówił dalej:

- Będziemy bardzo ostrożni. Z ogrodu jest ukryte wyjście na ulicę. Wyjdziemy właśnie tamtędy i znajdziemy dorożkę, którą zawiozę cię do domu.

- Dziękuję - powiedziała Araminta. - Nie chcę, by ktokolwiek w tym domu wiedział o tym, co się wydarzyło.

- Nie będą wiedzieli - uspokoił ją markiz. - Możesz być pewna, że lord Rothingham także o tym nie będzie rozpowiadał, bo wyszedłby na głupca. Jeżeli jednak spróbuje pisnąć słówko, będzie miał ze mną do czynienia!

Z jego głosu emanowały zdecydowanie i nie ukrywana złość.

Jeszcze raz objął Aramintę i rzekł:

- A może nawet powinniśmy być mu trochę wdzięczni za to, że pomógł ci uświadomić sobie, iż będę cię chronił przed wszelkimi niebezpieczeństwami?

- Myślę, że to anioł stróż mi pomógł...

- Ty sama wyglądasz jak anioł - odparł markiz. - I zawsze nim będziesz: aniołem - opiekunem mojego sumienia.

- Kiedyś ci powiedziałam, że je masz - przypomniała mu Araminta, słabo się uśmiechając.

- Nie byłem tego taki pewien - odparł - ale dzięki tobie odnalazłem do niego drogę.

- Należymy do siebie - wyszeptała Araminta. - Chyba już nie można być bliżej siebie, niż jesteśmy w tej chwili.

Jego usta błędziły po jej ustach... Zrzuciła mu ręce na szyję i przyciągnęła do siebie.

Markiz całował ją dziko i namiętnie, ale dziewczyna się nie bała. Spojrzał jej głęboko w oczy.

- Kocham cię - wyszeptała.

- Chcę, byś powtórzyła to nie raz, lecz tysiąc razy - odparł. - Wtedy uwierzę, że to prawda.

Objął ją i razem podeszli do okna. Markiz wziął klucz leżący na biurku.

- Jutro - oznajmił - zabiorę cię do domu, który mam w Chelsea. Nie jest to wprawdzie miejsce, w którym chciałbym



zbyt długo przebywać, ale będzie nam tam dobrze, moja najdroższa.

Pocałował jej włosy, nim zaczął mówić dalej:

- Dom w Chelsea stoi pusty, a ty będziesz tam bezpieczna.

Araminta znieruchomiała.

- Nie... nie rozumiem.

- Przecież chcemy być razem dzień i noc - wyjaśnił markiz. - Nie sądzę, byś mogła mnie codziennie odwiedzać, mieszkając u przyjaciół.

Araminta stała nieruchomo.

Czuła, jakby jakaś ogromna lodowata dłoń chwyciła jej serce i kropla po kropli wyciskała całą znajdującą się tam radość.

- Czy prosisz, abym... - nie dokończyła.

- Ofiaruję ci moją opiekę - powiedział markiz. - Staram się wyjaśnić, że skoro należysz do mnie, nikt nie będzie cię obrażał ani napastował, tak jak Rothingham.

Przytulił ją mocniej.

- Będziesz moja i wiem, że zawsze będziemy szczęśliwi.

Przez moment Aramincie wydawało się, że zapada się w ciemność i zaraz straci przytomność.

Z olbrzymim wysiłkiem podjęła spacer w kierunku okna.

Głos markiza wydawał się dochodzić z bardzo daleka. Słyszała go jak przez mgłę.

- Wydam polecenie majorowi Brownlowowi, by kupił albo wynajął dom gdzieś niedaleko. Może w Shepherds Market albo gdzieś na jednej z uliczek przy Berkeley Square,

Po krótkiej pauzie ciągnął dalej:

- Gdy tylko skończy się sezon, pojedziemy za granicę. Chcę cię zabrać do Paryża, Rzymu, może do Grecji.

Przyciągnął ją jeszcze bliżej.

- A na pewno odwiedzimy Wenecję. To idealne miejsce dla zakochanych.

Szli teraz po gładkim trawniku, po którym nie tak dawno temu biegła w panice.

Gdzieś w połowie muru otaczającego ogród była furтка wychodząca na cichą uliczkę, która odchodziła od Park Lane.

Markiz wyciągnął z kieszeni klucz i otworzył zamek.

Araminta jęknęła.

- Co się stało?

- Upuściłam chusteczkę - wyjaśniła. - Leży tam, na trawniku.

Wyjęła ją z sakiewki, kiedy przemierzali ogród, i teraz widziała ją w świetle księżyca niczym białą plamę na zielonej trawie.

- Zaraz ją przyniosę - powiedział markiz. Furтка wychodząca na ulicę była otwarta i Araminta stała w niej, gdy on tymczasem odwrócił się i ruszył po jej chusteczkę.

Nie biegł, ale szedł szybko, z wdziękiem sportowca.

Podniósł chusteczkę i przyłożył ją do ust.

Miała słodki, świeży zapach, który kojarzył mu się z wiosennymi kwiatami.

Gdy odwrócił się, ciągle wachając chusteczkę, spostrzegł, że Araminty nie ma - musiała wyjść na ulicę.

Tylko kilka sekund dzieliło go od wyjścia, ale uliczka była pusta.

Spojrzał w kierunku Park Lane, sądząc, że dziewczyna tam właśnie skierowała swe kroki w poszukiwaniu dorożki.

Zaskoczony jej zniknięciem, rozglądał się na wszystkie strony, myśląc, że w otaczającej go ciemności trudno byłoby dostrzec nawet jej białą suknię.

Wokół panowały cisza i pustka.

Markiz stał chwiejnie, ciągle się rozglądając, i po raz pierwszy naprawdę się zląkł.

Araminta biegła wzdłuż muru szybciej niż kiedykolwiek.

Skrećiwszy na lewo, znalazła się w otoczeniu starych stajni. Ciągłe biegnąc, skrećiła jeszcze raz, aż była pewna, że zgubiła pościg.

W końcu znalazła się na jakimś placu, gdzie stało kilka dorożek, Konie spokojnie jadły owies z przyczepionych do pysków worków.

Wsiadła do pierwszej z nich i gdy woźnica nieco zaspanym głosem spytał ją, dokąd chce jechać, podała adres.

Gdy tylko dorożka ruszyła, skryła twarz w dłoniach i zdała sobie sprawę, że każdy, nawet najdrobniejszy, nerw jej ciała drży od nieopisanego bólu.

Araminta była niewinna i mieszkając na wsi, niewiele wiedziała o rozrywkach arystokracji.

Słyszała oczywiście, że królowie, tacy jak Karol II mieli kochanki. Z podręcznika do historii dowiedziała się, jaką rolę grała Nell Gwynn w jego życiu.

Wiedziała także, że madame de Pompadour i madame de Maintenon były faworytami królów francuskich którzy mieli żony.

Nigdy jednak nie zdarzyło się, by jakikolwiek mężczyzna, którego znała, zaoferował swojej ukochanej dom w którym mieszkaliby razem niczym mąż i żona.

Zrozumiała, czego chciał od niej markiz, i nie czuła się poniżona, lecz zaskoczona i zraniona.

Kochała go i oddała mu serce w chwili, gdy pocałował ją po raz pierwszy. W swej naiwności sądziła, że on czuje to samo.

Zrozumiała, że nie było zbyt dużej różnicy między tym, co chciał zrobić lord Rothingham, a tym, co zamierzał uczynić markiz.

Jak mogłam być tak głupia, tak naiwna? - pytała samą siebie. Jak mogłam uwierzyć, że ktoś taki jak markiz zainteresuje się kobietą, którą znał dotychczas tylko jako służącą, i będzie miał na myśli coś innego niż...

Przypomniła sobie wszystko, co do tej pory słyszała o niemoralności i złym prowadzeniu się.

Nigdy by nawet nie przyszło jej do głowy, że coś takiego może jej dotyczyć, może się jej przydarzyć, dlatego nigdy specjalnie się nie interesowała tymi sprawami.

Czytała wprawdzie o rozpustnych kobietach, ale były to tylko fikcyjne postacie, a nie ludzie z krwi i kości. Mężczyźni, których kochały i którzy je kochali, w niczym nie przypominali markiza.

Nie wiedziała dokładnie, co robi kobieta i mężczyzna, kiedy się kochają. Wiedziała tylko, że prawdziwa miłość jest święta i błogosławiona przez Boga.

To, co proponował jej markiz i co próbował zrobić lord Rothingham, było złe i nikczemne - było pokusą szatana.

Zamknęła oczy.

Nie płakała. Czuła się wysuszona niczym pustynia.

Kocham go, powiedziała do siebie. Ale to, co on czuje do mnie, to nie miłość.

Londyn przestał być dla niej miejscem dobrej zabawy, przestał być Eldorado, do którego z taką radością przyjechała z Bedfordshire. Był strasznym, groźnym, nieczystym miastem - tak jak gabinet w restauracji, do którego wczoraj zaprowadził ją markiz.

To, co się wydarzyło, nie zraniło jej fizycznie, ale jej psychika była obolała i poszarpana. Tak jak suknia, niegdyś śnieżnobiała, teraz zbrukana i podarta... Gdy dorożka się zatrzymała, wstydziła się zapłacić, żeby przypadkiem woźnica nie dostrzegł, w jakim znajduje się sianie.

Wbiegła po schodach ku drzwiom.

Zamykając je za sobą, czuła, że zamyka je przed czymś, co chciało się wedrzeć do jej duszy i ciała i - gdyby była nieostrożna - zniszczyć ją.

Przez chwilę stała w hallu oświetlonym tylko jedną świecą znajdującą się na stoliczku przy schodach. Rozpoznała leżący tam kapelusz. Należał do Harry'ego.

Pobiegła do salonu i otworzyła szeroko drzwi. W środku siedzieli Caro i Harry i rozmawiali.

Gdy tylko zobaczyli, w jakim jest stanie, poderwali się na równe nogi.

- Araminto! Co się stało? - krzyknęła Caro.

Araminta jednak patrzyła tylko na Harry'ego i zrywając wstążeczki, którymi sakiewka była przywiązana do jej nadgarstka, podbiegła ku niemu.

- Pięćdziesiąt funtów, Harry! Razem z tym, co mamy, powinno wystarczyć! Już dłużej nie mogę! To... to niemożliwe, zupełnie niemożliwe! Musimy wracać do domu!

## Rozdział 7

Generał, zjadłszy śniadanie, usiadł w fotelu i zaczął czytać „The Morning Post”. Po chwili do pokoju wszedł Hawkins i oznajmił:

- Właśnie przybył markiz Wayne, sir!

- Teraz?! - wykrzyknął generał, zerkając ze zdziwieniem na zegar.

Nie był przyzwyczajony do tak wczesnych wizyt...

- Bardzo dobrze, Hawkins. Wprowadź jego lordowską mość - powiedział z nie ukrywaną niechęcią.

Po kilku sekundach w drzwiach pojawił się markiz, jak zawsze doskonale ubrany, ale generałowi wydało się, że dzisiaj wygląda na bardziej chudego niż zwykle i że na jego twarzy maluje się wyraz, którego nigdy przedtem tam nie widział.

- Proszę nie wstawać, generale - odezwał się markiz, widząc, że generał podnosi się z fotela. - Przepraszam za tak wczesne najście.

Generał nic nie odrzekł, tylko jeszcze głębiej zatopił się w fotelu i utkwiał swe przenikliwe oczy w twarzy gościa. Nie było wątpliwości, że markiz wygląda inaczej niż dziesięć dni temu, kiedy go widział ostatnio.

- Przychodzę do pana w rozpaczy - powiedział Wayne po chwili.

Nie usiadł. Na jego twarzy pojawiła się ekspresja, której generał nie rozumiał.

- Mówiłem już panu, Wayne - odparł szorstko gospodarz - że nie mam najmniejszego zamiaru wyjawić miejsca pobytu Araminty Bouvais. Gdyby chciała, żeby pan wiedział, gdzie ona jest, niewątpliwie sama by się z panem skontaktowała.

Markiz niespokojnie przemierzał pokój, jakby zastanawiając się nad czymś. Po chwili rzekł:

- Nie byłem z panem zupełnie szczery, generale. Zapewne kiedy rozmawialiśmy ostatnio, odniósł pan wrażenie, że chcę odnaleźć pannę Bouvais, ponieważ nie dotrzymała umowy o pracę u mnie w charakterze szefa kuchni.

Generał nic nie powiedział, po chwili więc markiz ciągnął dalej:

- Nie interesuje mnie jej umiejętność gotowania - interesuje mnie ona jako kobieta!

Sprawiał wrażenie, że wypowiedzenie tych słów kosztowało go wiele wysiłku.

- Bez względu na to, co panem powoduje, sytuacja, jeśli chodzi o mnie, w niczym się nie zmieniła.

- Ale ja muszę ją odnaleźć! - wykrzyknął markiz. Po chwili nieco się opanował i dodał:

- Wiem, że pan mnie nie lubi, generale. Zawsze był pan prawym i sprawiedliwym człowiekiem, ale zdawałem sobie sprawę, że w naszych wzajemnych stosunkach nie mu ciepła.

- Był pan dobrym żołnierzem - wtrącił generał.

- A teraz, kiedy już nie jestem pod pańskim dowództwem, uważa pan, że nie łączy nas nic oprócz przynależności do tego samego klubu?

Generał milczał. Markiz ciągnął dalej:

- Ale ja rozpaczliwie potrzebuję pomocy i pan jest jedyną osobą, która może mi jej udzielić.

W głosie markiza brzmiało błaganie, które nie uszło uwagi generała, przywykłego do wysłuchiwanie próśb.

- Bardzo mi przykro, markizie Wayne - odrzekł nieco uprzejmiej generał - ale dałem słowo honoru, a chyba nie sądzi pan, że je złamię.

- Od czasu, kiedy się ostatnio widzieliśmy - odezwał się markiz, jakby nie usłyszał, co powiedział generał - odbyłem podróż do Yorkshire.

Zobaczył zdziwienie w oczach generała i wyjaśnił:

- Pojechałem odwiedzić Yeomana. Nie wiem, czy panu wiadomo, ale Araminta namówiła mnie, bym anulował mu dług. - Markiz zaśmiał się krótko, a w jego śmiechu nie było ani krzty humoru.

- Nikt z wyjątkiem Araminty nie potrafiłby nakłonić mnie do zrobienia takiej rzeczy! W dodatku zrobiłem to z przyjemnością! Ale Yeoman przysiągł milczenie, zupełnie jak pan, i nie powiedział mi, gdzie ona jest.

Markiz wziął głęboki oddech, zanim dodał:

- Dom, w którym zostawiłem ją tej nocy, kiedy jedliśmy kolację, jest pusty. Od trzech lat nikt w nim nie mieszka.

Uniósł ręce w geście bezradności.

- Dokąd jeszcze mam pójść? Gdzie jeszcze mam jej szukać, jeżeli pan mi nie pomoże?

Z postawy generała wywnioskował, że nie zmieni on swej decyzji.

Markiz nerwowo przechadzał się po pokoju.

- Chcę panu coś powiedzieć - odezwał się cicho, - Coś, czego jeszcze nikomu nie zdradziłem.

- Słucham - odparł generał.

- Kiedy miałem siedemnaście lat - zaczął markiz - ojciec chciał mnie wysłać w podróż dookoła Europy, ale ponieważ trwała wojna z Napoleonem, okazało się to niemożliwe. Ojciec więc zatrudnił guwernera, którego zadaniem było towarzyszenie mi podczas wakacji.

Po chwili milczenia markiz kontynuował opowieść:

- Roland Hindley miał dwadzieścia cztery lata i był najbardziej odczytanym i interesującym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Jego rodzice byli biedni, musiał zarabiać na życie udzielaniem korepetycji.

Markiz jeszcze raz przemierzył pokój.

- Roland był znakomitym sportowcem. Uprawiał szermierkę, był doskonałym strzelcem i pięściarzem. Ponadto



jeździł konno tak wybornie, że wstydzilem się przy nim dosiąść konia.

Wayne zerknął na generała, jakby chcąc się upewnić, czy ten go jeszcze słucha.

- Nie mogliśmy pojechać do Europy, ale przemierzyliśmy razem całą Wielką Brytanię. Polowaliśmy w Irlandii i Szkocji, wspinaliśmy się na Snowdon... Wszystko, co robiłem z Rolandem, sprawiało mi ogromną radość. Stał się moim bratem, którego, jako jedynak, nigdy przecież nie miałem. Pobudzał mój umysł i sprawił, że polubiłem przedmioty, które przedtem uważałem za nudne.

Był z nami aż do ostatniego roku mojego pobytu w Eton, kiedy to przyjechał do Wayne na Boże Narodzenie.

Markiz zamilkł na kilka sekund, po czym znów podjął temat:

- Musi pan wiedzieć, że mój ojciec był o wiele starszy od matki. Wyszła za niego, gdy miała zaledwie siedemnaście lat, a ja urodziłem się rok później.

Była tak piękna i wesoła, że sprawiała wrażenie niewiele starszej ode mnie. - Głos markiza stał się ostry: - Uważam, że w młodości byłem bardzo tępy. W te święta mój ojciec był chory i leżał cały czas w łóżku, ale dom zdawał się wypełniony szczęściem.

Markiz wydawał się spoglądać w przeszłość, gdy mówił dalej:

- Matka przychodziła do mnie i Rolanda, gdy jeździliśmy na łyżwach, zjeżdżała z nami na sankach i galopowała konno przez las. Wieczorami siadaliśmy wokół pianina i śpiewaliśmy stare ballady przy jej akompaniamencie.

- Nie podejrzewałem niczego - głos markiza teraz nieco drżał - aż do chwili, kiedy pewnego wczesnego ranka znalazłem liścik wsunięty pod drzwi mojego pokoju.

- Uciekli razem! - wykrzyknął generał.

- Wyjechali do domu Rolanda w Kornwalii. Matka prosiła, bym poinformował ojca, że ona już nie wróci.

- To było raczej okrutne - zauważył generał.

- Chciałem ją zatrzymać - powiedział markiz. - Ubrałem się i pospieszyłem do stajni, ale okazało się, że ona i Roland wyjechali o świcie.

Markiz odwrócił się od generała i pustym wzrokiem wpatrywał się w okno.

- Pojechałem za nimi. Wyprzedzili mnie o godzinę...

- Co się stało?

- Ostry mróz w nocy spowodował, że drogi były bardzo oblodzone. Powóz, którym jechali moja matka i Roland, zderzył się na zakręcie z dyliżansem, jakieś dwadzieścia pięć kilometrów od domu.

- Byli ranni!

- Więcej; oboje byli martwi!

Zapadła długa cisza, którą w końcu przerwał generał:

- Co pan zrobił?

- Wróciłem do domu, powiedziałem ojcu, że planowaliśmy w trójkę odwiedzić sąsiednie miasteczko. Matka i Roland udali się tam wcześniej powozem, a ja - ponieważ jechałem konno - mogłem wyruszyć później.

- Niczego nie podejrzewał?

- Absolutnie niczego. Tak samo zresztą jak wszyscy - odparł markiz. - Nikt nie wątpił nawet przez chwilę w prawdziwość moich słów.

Generał czekał.

- Powiedziałem to panu - odezwał się markiz po chwili - żeby pan zrozumiał, dlaczego przyrzekłem sobie, że już nigdy nie dam się tak zranić.

- Czuł się pan zdradzony, oszukany? - dopytywał się generał.

- Oczywiście - odparł szorstko markiz. - Moja własna matka gotowa była mnie porzucić; człowiek, którego kochałem jak brata i z całym młodzieńczym idealizmem uwielbiałem jak bohatera, chciał zniszczyć mój dom i zburzyć szczęście mojego ojca! Co mogłem wtedy czuć?! Jak się panu wydaje?

Generał nic nie odrzekł, a po chwili markiz na nowo podjął wątek, tym razem mówiąc nieco ciszej:

- Może teraz rozumie pan, dlaczego ludzie mówią, że zawsze zachowuję dystans, trzymam się na uboczu albo, jak to określiła Araminta - z dala od życia.

Jeszcze raz zwrócił się w kierunku okna.

- To, co wtedy się wydarzyło, miało na mnie olbrzymi wpływ. Właśnie dlatego - i jest to prawda - nigdy nie zalecałem się do zameżnych kobiet ani też nie zwracałem uwagi na względy, jakimi niektóre z nich mnie darzyły. W rzeczy samej, jeżeli chodzi o kobiety, ograniczyłem się do Cypryjek, które znają reguły gry.

Oczy generała spoczęły na tyle głowy Wayne'a.

Teraz rozumiał, dlaczego tak wiele pięknych dam Beau Monde z taką goryczą wyrażało się o markizie. Nie ma przecież nic bardziej obraźliwego dla kobiety niż odrzucenie przez mężczyznę jej zalotów.

Znowu zapadła cisza.

- Nigdy nie powiedziałem kobiecie, że ją kocham, ponieważ nigdy żadnej nie kochałem. Aż do teraz...

Cisza.

- Chciałem miłości - Bóg jeden wie, jak jej pragnąłem - ale nie potrafiłem się do tego przyznać przed sobą.

Generał chciał coś powiedzieć, lecz markiz ciągnął dalej:

- Dlatego nie rozumiałem, co Araminta dla mnie znaczy, dopóki jej nie straciłem.

- A co ona dla pana znaczy? - spytał generał. Markiz odwrócił się i stanął przed nim, jakby był żołnierzem pod jego rozkazami.

- Pragnę się z nią ożenić! Czy powie mi pan teraz, gdzie mogę ją znaleźć?

- Mówi to pan, nie znając nawet jej rodziny?

- To nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia - odparł markiz. - Liczy się tylko ona.

Generał spojrział na niego ze współczuciem. Miał do czynienia z mężczyznami przez całe życie i wiedział, kiedy byli szczerzy. Wiedział, kiedy mówili prosto z serca, kiedy mówili prawdę...

- Dałem słowo i doskonale zdaje pan sobie sprawę, że nie mogę go złamać - powiedział wolno sir Bracknell. - Mogę jednak zasugerować, że być może młody Sinclair zechciałby panu pomóc.

- Sinclair? Czy chodzi o Harry'ego Sinclaira, który był mi winien pieniądze? Brownlow doniósł mi, że spłacił on już swój dług.

- Tak, Harry Sinclair. Jego adres bez wątpienia znajdzie pan w księgach klubu.

Markiz westchnął głęboko; wydawało się, że to westchnienie dobyło się z samego dna jego duszy.

- Dziękuję, generale. Jeżeli odnajdę Aramintę, nigdy nie będzie pan żałował okazanej mi pomocy.

Wyszedł z pokoju, jakby nagle zaczęło mu się spieszyć. Generał w zadumie odprowadził go spojrzeniem.

Nigdy przedtem markiz Wayne nie wydawał mu się tak sympatyczną osobą.

- Posłuchaj! Książka taty jest już gotowa! - wykrzyknęła triumfalnie Caro.

- Zastanawiam się tylko, czy ktokolwiek zechce ją kupić - powiedziała Araminta.

- Dlaczegoż by nie? - zdziwiła się Caro. - Przede wszystkim książki pani Glass są już przestarzałe, a poza tym, jak sama niedawno zauważyłaś, ludzie o wiele bardziej interesują się teraz gotowaniem niż jeszcze kilka lat temu.

- Pozostaje nam zatem spróbować - w głosie Araminty nie było jednak słyhać wielkiej nadziei. - Harry może ją zawieść do wydawcy.

- W tej chwili nie stać Harry'ego na podróż do Londynu - odparła Caro. - Wyślijmy ją pocztą.

- Tak, oczywiście - zgodziła się Araminta. Otworzyły się drzwi.

- O wilku mowa - uśmiechnęła się Caro. Do pokoju wszedł Harry.

- Jeżeli masz mnie na myśli, to nie ma o czym mówić. W tej zapadłej dziurze wszystkie dni są takie same!

- Uważaj, by nie usłyszała cię mama - poprosiła go Araminta. - Wiesz przecież, jak się martwi, kiedy jesteś nieszczęśliwy. A poza tym boli ją głowa.

- Czemu nie mogę znaleźć sobie niczego do roboty? - gniewnie spytał Harry. - Mam zamiar zapomnieć na chwilę o mojej dumie i zapytać pana Uptona, czy pozwoliliby mi zająć się końmi, które kupił w zeszłym tygodniu.

- Jestem pewna, że się zgodzi - odparła Caro. - Sam jest zbyt zajęty.

- Tak właśnie myślałem - powiedział Harry. - Zwariuję, jeżeli nie znajdę sobie czegoś do roboty.

- Zatem idź porozmawiać z panem Uptonem - wtrąciła się Araminta. - On ma do ciebie słabość od czasu, kiedy byłeś małym chłopcem.

- Pozwolił mi polować na jego terenie, kiedy tylko zechcę.

- Dlaczego więc, na miłość boską, nie pójdziesz upolować czegoś na obiad?! - zapytała z wyrzutem Caro.

- Pora roku jest nieodpowiednia.

- Wystarczyłyby zajęc. Prawda, Araminto?

Araminta milczała. Myślała o tym, jak markiz śmiał się, kiedy odkryła, że Poulet Supreme Louis zrobiono z zająca, a nie z kurczaka.

Po chwili powiedziała sobie, że nie ma sensu myśleć więcej o tym, co wydarzyło się w przeszłości. Czas zastanowić się nad przyszłością.

- Zajęc byłby świetny. Nawet byle gawron stanowiłby odmianę...

- Widzę, że wam obu zależy, abym miał zajęcie - rzekł Harry z uśmiechem. - Po południu zatem odwiedzę pana Uptona. I zabiorę strzelbę - dodał.

- Tylko na nią uważaj - odezwał się głos od drzwi.

- Jestem bardzo ostrożnym strzelcem, Hannah - odparł Harry, gdy stara służąca weszła do pokoju.

- Mam nadzieję - wymamrotała. - Nigdy nie lubiłam broni, tych paskudnych, niebezpiecznych rzeczy.

Przyniosła szklankę mleka i postawiła ją przed Araminta.

- Och, nie! - wykrzyknęła dziewczyna. - Naprawdę nie mogę już pić więcej mleka.

- Właśnie, że je wypijesz - orzekła stanowczo Hannah. - Już zwięzłam twoje suknie o pięć centymetrów... Strasznie wychudłaś. Jeżeli mi nie wierzysz, popatrz w lustro.

- To prawda, Araminto - wtrąciła się Caro. - Za bardzo zeszczuplałaś, a jesz tyle, że nawet mysz by zdechła.

- Przestańcie mnie zmuszać - prosiła Araminta. Podniosła jednak szklankę do ust i posłusznie wypila całe mleko.

Hannah wzięła puste naczynie i otworzyła drzwi.

- Na obiad robię twój ulubiony pasztecik pasterski, Araminto. Mam nadzieję, że będzie ci smakował.

Ruszyła w głąb korytarza, gdy nagle usłyszeli jej okrzyk zdziwienia:

- Mamy jakiegoś gościa! Paniczu - skierowała pytanie do Harry'ego - czy oczekujesz dzisiaj kogoś?

Harry wybiegł na korytarz.

- Dobry Boże! - wykrzyknął. Caro szybko dołączyła do niego.

- Spójrz na te konie - powiedziała. - I na ten faeton! Harry, kto to jest?

- Wydaje mi się, jestem pewien - poprawił się brat - że to markiz Wayne.

Araminta, która do tej pory siedziała nieporuszona przy stole, poderwała się na równe nogi. Podbiegła do rodzeństwa i zaczęła krzyczeć:

- On nie może się dowiedzieć, że tu jestem! Nie wolno wam powiedzieć, kim jestem! Harry, obiecaj mi, przysięgnij, że nie wiesz nic o panie Bouvais! Brat milczał. Po chwili Araminta oznajmiła:

- Pójdę schować się w ogrodzie, tak by nie mógł mnie nawet zauważyć. Bogu dzięki, że on nie może zobaczyć mamy. Harry, obiecaj mi i bądź ostrożny... Uważaj na to, co mówisz.

Wypowiadając ostatnie słowa, biegła już w kierunku drzwi ogrodowych znajdujących się w tylnej części domu, po czym zniknęła z pola widzenia.

Puściła się biegiem przez krzaki rosnące wokół źle przystrzyżonego trawnika i popędziła ku potokowi w dalszej części ogrodu.

Znajdowała się tam altanka, w której dzieci chowały się, gdy były małe. Drewnianą ławeczkę otaczały kwitnące krzewy, pachnące kapryfolium i róże.

Dalej było kilka nierównych stopni prowadzących nad wodę, gdzie kiedyś we trójkę łapali małe rybki i puszczały papierowe łódeczki.

Gdy w końcu Araminta znalazła się w altance, była zdyszana, ale przyspieszone bicie serca nie było tylko wynikiem szybkiego biegu.

Dlaczego markiz do nas przyjechał?, zastanawiała się. I jak się dowiedział, gdzie mnie szukać?

Zaraz jednak doszła do wniosku, że Wayne'owi niewątpliwie chodzi o Harry'ego.

Ale przecież sześćset funtów zostało przekazane majorowi Brownlowowi prawie dwa tygodnie temu...

Może Harry wpakował się w inne tarapaty?

A może był winien więcej pieniędzy?

Mieli wprawdzie jeszcze drobną sumkę pozostałą ze sprzedaży cennego pierścionka zaręczynowego lady Sinclair, lecz była ona przeznaczona na czarną godzinę, gdyby ktoś zachorował lub gdyby Harry nie mógł dłużej wytrzymać na wsi i musiał pojechać do miasta.

Więcej już nie mamy!, pomyślała Araminta z przerażeniem.

Usiadła na ławeczce i zaczęła się zastanawiać, jak by zareagował markiz, gdyby zastał ją siedzącą w salonie, do którego wprowadziłaby go Hannah,

Jako że przypuszczalnie przyjechał do Harry'ego, byłby zaskoczony, a może nawet nieco zażenowany jej widokiem.

Nikt się nie dowie, postanowiła, ile wycierpiałam przez te ostatnie tygodnie...

Każdej nocy długo płakała przed zaśnięciem.

Każdej nocy w ciemności swojej sypialni widziała jego przystojną twarz, wpatrzona w nią jego szare oczy, czuła obeszalną moc jego ust.



Czasami rozłąka była tak bolesna, że gotowa byłaby wrócić do Londynu i przystać na wszelkie zaoferowane jej warunki, byleby tylko móc przebywać obok niego.

Potem jednak tłumaczyła sobie, że nawet jej miłość nie przetrwałaby w takich warunkach.

Jeżeli cierpiała teraz, to cierpiałaby jeszcze bardziej, gdyby doczekała momentu, kiedy znudzony jej osobą markiz odprawiłby ją.

Ale trudno zachować rozsądek i postępować logicznie, gdy całe ciało wyrywa się do niego, gdy łzy strumieniami płyną po policzkach, a usta rozpaczliwie powtarzają:

- Kocham cię! Kocham...

Siedząc na drewnianej ławeczce, Araminta wpatrywała się w strumień połyskujący w promieniach słońca. Wydawało jej się, że dla niej przyszłość jest już na zawsze pozbawiona wszelkiej nadziei, najdrobniejszego nawet promyka.

Czekała ją ciągła bieda, samotność i ten uporczywy, piekący ból, który zawsze pozostaje po stracie czegoś szczególnie cennego.

Trudno jej było wysiedzieć w kryjówce.

Chciała pobiec do domu, zajrzeć przez okno, choćby przez chwilę popatrzeć na markiza. Potem już nigdy go nie zobaczy.

Usłyszała odgłos kroków i pomyślała, że to musi być Harry, który przyszedł jej oznajmić, iż markiz już odjechał.

By ukryć łzy, wstała i podeszła do brzegu strumienia.

Usłyszała, jak ktoś przedziera się przez krzaki.

- Czy już odjechał? - spytała cicho. Żadnej odpowiedzi.

Odwróciła się i ujrzała nie Harry'ego, lecz markiza stojącego o krok od niej.

Zdawało się jej, że jest jeszcze wyższy i przystojniejszy niż wtedy, kiedy widziała go ostatnim razem. Gdy ich spojrzenia się skrzyżowały, nie mogła się ruszyć, nie mogła nawet oddychać...

- Araminto!

Mimo że jego głos był cichy i głęboki, słysząc w nim było jakąś niepohamowaną radość.

- Odnalazłem cię! Odnalazłem cię, kiedy już prawie straciłem nadzieję!

- Co... co tu robisz?

Trudno jej było mówić i pomyślała, że markiz mógł nie usłyszeć jej pytania. Usłyszał je, ale nie zrozumiał.

- Harry powiedział mi o twojej kryjówce.

- Zakazałam mu mówić... Uśmiechnął się słabo.

- Faktycznie, próbował wyprzeć się znajomości z tobą, ale gdy tylko wprowadzono mnie do salonu, było to niemożliwe.

Araminta wyglądała na zdziwioną.

- Nad kominkiem wisi twój portret.

- To portret... mamy...

- Jesteś do niej bardzo podobna.

Wydawało jej się, że rozmawiają jakby we śnie: usta mówiły zupełnie co innego, niż chciały wyrazić serca.

- Dlaczego przyjechałeś zobaczyć się z Harrym? - spytała w końcu.

- Liczyłem na to, że pomoże mi odnaleźć ciebie. Chciałem bowiem, Araminto, prosić cię o przebaczenie.

Ponieważ nie mogła już dłużej patrzeć mu w oczy, odwróciła się i utkwiała spojrzenie w migocącym strumieniu.

Poczuła, że zbliżył się do niej.

- Proszę, przebacz mi, najdroższa - odezwał się cicho. - Przebacz mi i pozwól sobie powiedzieć, jak bardzo mi wstyd.

Araminta nie poruszyła się, on zaś po chwili dodał:

- Zachowałem się jak pospolity cham i nie mam na to żadnego usprawiedliwienia, może oprócz tego, że nigdy przedtem nie spotkałem nikogo takiego jak ty i nigdy, aż do teraz, nie byłem zakochany.

Araminta wstrzymała oddech.

Stała nieruchomo, jakby się bała, że najmniejsze poruszenie spowoduje, iż czar pryśnie.

W głosie markiza pobrzmiwała nuta, której nigdy przedtem nie słyszała. Przepelniony uczuciem jego głos brzmiał niczym jakaś dziwna, magiczna muzyka.

- Kocham cię, moja najdroższa Araminto. Życia mi nie starczy, by wyrazić, jak bardzo! Czy jesteś gotowa spędzić ze mną całe życie?

Ona ciągle trwała w bezruchu.

- Proszę cię, byś została moją żoną, najdroższa - nalegał markiz.

Araminta odwróciła się, by spojrzeć na niego szeroko otwartymi oczami. Jej usta nieco drżały.

- Dlaczego prosisz akurat mnie?

- Ponieważ nie mogę bez ciebie żyć - powiedział. - Ponieważ byłem na tyle głupi, że nie rozumiałem, ile dla mnie znaczysz, dopóki nie zniknęłaś.

Zbliżył się do niej nieco, ciągle jednak jej nie dotykając.

- Czy potrafisz zapomnieć o tym, co było? Czy możemy cofnąć się do chwili, kiedy cię pocałowałem? To był dla mnie pierwszy raz, kiedy odkryłem, że pocałunek może być tak cudowny...

Spojrzała mu głęboko w oczy.

- Czy jesteś... jesteś pewien, że chcesz właśnie mnie? - spytała ledwo słyszalnym głosem.

Markiz wydał odgłos będący na pół śmiechem, na pół jękiem, delikatnie ją objął i przyciągnął do siebie.

- Nie wiesz, jakie tortury przeszedłem, myśląc o tobie i zastanawiając się, czy jeszcze kiedykolwiek cię ujrzę. Myślałem, że mnie nienawidzisz.

Araminta milczała.

- Czy chociaż trochę za mną tęskniłaś, najmilsza? - spytał delikatnie.

- Chciałam umrzeć! - wyszeptała dziewczyna.

- Moja najdroższa! Kochanie! Nigdy sobie nie wybaczę, że uczyniłem cię nieszczęśliwą choć przez moment!

Markiz powoli pochylił swoją głowę i jego usta odnalazły jej usta.

Pocałował ją tak, jakby całował kwiat, dopiero potem, gdy poczuł dreszcz przechodzący przez jej ciało, jego pocałunki stały się bardziej namiętne, bardziej natarczywe.

- Kocham cię! Kocham cię, Araminto, całym sercem i całą duszą!

Pocałował ją jeszcze raz.

Teraz miała wrażenie, jakby jej się oddał, i cudowne uczucie bycia w jego ramionach jeszcze się pogłębiło, stało się bardziej ekstatyczne, niż kiedykolwiek to sobie wyobrażała.

W ich bliskości było coś niemalże świętego.

Araminta płakała ze szczęścia...

Markiz pocałował ją jeszcze raz. Było to tak zniewalające, że uchwyciła się go kurczowo, jakby w każdej chwili mógł zniknąć.

Tulił ją w swych ramionach, mówiąc przy tym:

- Nie mogę już bez ciebie żyć! Kiedy za mnie wyjdiesz? Kiedy będziemy mogli być razem?

- Chcę być z tobą - odparła nieśmiało Araminta.

- Tak, to dobra odpowiedź, moja najdroższa. Wydaje mi się, jakbym czekał na ciebie całą wieczność.

- Myślałam, że... że już nigdy cię nie zobaczę.

- Szukałem cię, uwierz mi - odparł markiz. - Prędzej czy później odnalazłbym cię, a gdybyś umarła, też wiedziałbym o tym.

Zaśmiał się krótko.

- Nie spałem po nocach, przypominając sobie nasze rozmowy. Widziałem twoją twarz, patrzyłem ci w oczy i czułem twoje usta pod moimi.

- I ja... - wyszeptała Araminta, lecz zaraz zamilkła.

- Co chciałaś powiedzieć?

Dziewczyna zaczerwieniła się i wtuliła twarz w jego ramię.

- Ja też... też czułam w nocy twoje pocałunki - wyszeptała.

Markiz przycisnął ją mocniej; prawie poczuła ból.

- Nasze myśli były blisko, ale to nie wystarcza, najdroższa. Chcę cię trzymać w ramionach, chce, by\* należała do mnie. Muszę być pewien, że jesteś tylko moja.

- Też tego pragnę.

- Powiedz, że mnie kochasz. Tak bardzo pragnę to usłyszeć!

- Kocham cię...

- I przebaczasz mi?

- Wiesz, że tak.

- Chciałem paść przed tobą na kolana, byś zobaczyła, jak bardzo tego żałuję.

- Wolałabym, żebyś raczej mnie objął.

- Chcę mieć cię całą. Pragnę, by każda, najdrobniejsza cząstka ciebie stała się moją własnością. Na zawsze.

- Jestem twoja, wiesz o tym. Należę do ciebie.

- Kochanie, moja najdroższa!

Markiz całował ją tak, że niemal straciła oddech. Potem spojrzał w jej błyszczące oczy.

Nigdy nie przypuszczał, że kobieta może dać tyle szczęścia.

- Kocham cię - powiedział i zabrzmiało to bardziej jak przysięga niż proste stwierdzenie faktu. Przytulił policzek do

jej twarzy. - Pójdziemy porozmawiać z Harrym? Jeżeli wrócił.

- Jeżeli wrócił?! - zdziwiła się Araminta. - Gdzie pojechał?

- Na przejażdżkę - odparł markiz, - Pozwoliłem mu jeździć na każdym koniu z mojej stajni, jeśli tylko pobłogosławi naszemu małżeństwu.

Spojrzał na nią uważniej i dodał:

- Harry mi opowiedział, jaka byłaś dzielna, zbierając pieniądze, by spłacić jego dług. Czy przeznaczenie mogło nam zgotować dziwniejszy sposób poznania się? Pracowałeś dla mnie, by zwrócić z zarobionych u mnie pieniędzy dług Harry'ego!

- Chciałam ci o tym powiedzieć - zaczęła Araminta - ale wiedziałam, że próbowałbyś anulować dług, a on przecież był... honorowy i musiał zostać spłacony.

- Nie zamierzam żałować, że wygrałem pieniądze od Harry'ego - oznajmił markiz - z tego prostego powodu, że inaczej bym cię nie poznał. Obiecuję jednak, że kiedy się pobierzemy, nie będę marnował czasu przy stołach gry, mając ciebie u boku.

Zobaczył oczekiwanie w jej oczach i dodał:

- I oczywiście, walcząc o słuszną sprawę w Izbie Lordów.

- Zrobisz to?

- Już przygotowałem przemówienie na temat stanu rolnictwa - odpowiedział. - Miałem mnóstwo czasu w czasie podróży do Yorkshire.

- Do Yorkshire?

- Zapewniam cię, że lord Yeoman dotrzymał słowa - markiz się uśmiechnął. - Nie wyjawiał, gdzie zawiózł cię tego wieczora.

Araminta westchnęła.

- Zdaje się, że zadałeś sobie mnóstwo trudu przeze mnie.

- Nigdy w życiu nie czułem się tak nieszczęśliwy! A ponieważ za wszystko mogłem winić tylko siebie, stałem się bardzo skromny, Araminto.

- Nie chcę, byś się zmieniał! Kocham cię takim, jaki jesteś. Wydaje mi się, że kochałam cię przez całe życie i że zawsze byłeś obok mnie.

Uśmiechnęła się i mówiła dalej:

- Znamy się tak krótko, a mam wrażenie, jakby...

- Stanowimy jedną całość - powiedział cicha markiz. - Gdy mnie zostawiłaś, czułem się, jak gdyby ubyła połowa mnie samego. Teraz znowu jestem cały.

Pocałował ją namiętnie. W jego pocałunku było coś władczego. Przeszedł ją dreszcz.

- Pozwól mi na siebie popatrzeć - poprosił, zwalniając uścisk. - Chcę się upewnić, że jesteś taka sama, jaką pamiętam, i jeszcze tysiąc razy piękniejsza!

- Jestem nieco zakłopotana. - Araminta się zaczerwieniła.

- Jesteś taka śliczna - rzekł markiz. - Nic nie może zmienić ani poprawić twojej urody. Powinnaś jednak mieć suknie, z których zrezygnowałaś dla Harry'ego - najpiękniejsze suknie z Londynu i Paryża.

Jeszcze raz przytulił ją do siebie i oznajmił:

- Nasz miodowy miesiąc spędzimy w Paryżu. Potem pojedziemy do Rzymu i Wenecji. Będę szczęśliwy, mogąc przedstawić cię moim przyjaciołom.

- Być może - zaczęła nieśmiało Araminta - oni pomyślą sobie, że powinieneś wziąć za żonę kogoś znaczniejszego, kogoś z towarzystwa, do którego należysz?

- Moi prawdziwi przyjaciele będą szczęśliwi, że znalazłem kobietę, którą kocham i która mnie kocha - odrzekł poważnie markiz. - Zdanie reszty jest bez znaczenia.

- Tak bardzo cię kocham - szepnęła Araminta.

- I ja cię uwielbiam. Nigdy się tak nie czułem, najdroższa. Odnalazłem to, czego większość ludzi nie, potrafi znaleźć.

Jego usta były bardzo blisko jej ust, gdy powiedział:

- To jest coś, czego większość ludzi pragnie, do czego tęskni i czego szuka. To miłość - prawdziwa miłość, która zespala dwoje ludzi tak, że stają się jednością.

- I to właśnie spotkało nas!

- To stanie się absolutne i nieodwołalne, gdy się pobierzemy - obiecał markiz. - Ponieważ odnaleźliśmy prawdziwą miłość, przysięgam ci, że będziemy zawsze szczęśliwi.

Mówiąc ostatnie słowo, znów położył swe usta na jej wargach.

- Już nigdy więcej nie będę spragniona miłości - wyszeptała.

Potem on podniósł ją do góry, w złote blaski słońca. Było to tak promienne, entuzjastyczne i pełne ekstazy, że nie ma słów, które opisałyby cudowność i doskonałość najczystszej miłości.